STAWKA WYBORÓW PREZYDENCKICH

Andrzej Nowak o wyborze między „cywilizacją życia” a „cywilizacją śmierci”

Minister zdrowia zdradza, dlaczego wszedł do polityki

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 25/378 15–21 CZERWCA 2020

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

JAK SALOMON MOREL, OPRAWCA Z OBOZÓW W ŚWIĘTOCHŁOWICACH I JAWORZNIE, UNIKNĄŁ KARY?

Czy Chiny są państwem komunistycznym

Rak lewactwa

CHOROBA Z USA DOCIERA DO POLSKI – POSTĘPOWCY USPRAWIEDLIWIAJĄ PRZEMOC I KRADZIEŻE

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829 Nakład: 59 000 egzemplarzy

POMAGAJ RAZEM Z NAMI.

PODZIEL SIĘ PUNKTAMI!

Wspieraj walkę z koronawirusem.

FUNDACJA

LOTOS

lotosnavigator.pl

eprasa.pl 7463047971

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Mechanizm rewolucji

Wielka fala walki z rasizmem dotarła do Polski. Jej pierwszym efektem ma być usunięcie z listy lektur szkolnych „W pustyni i w puszczy". Dzisiaj to na szczęście niemożliwe, ale za kilka lat? Może się okazać, że ta piękna książka, pokazująca szlachetność, ofiarność, zniknie w otchłaniach niebytu. Że to dzieło, pełne ciepła, miłości, troski, a także kunsztownych i niezrównanych opisów afrykańskiej przyrody, wyląduje na indeksie ksiąg zakazanych utworzonym przez lewicowych szaleńców. Podobny los spotkał już, czytam, „Przeminęło z wiatrem", które zostało usunięte z listy filmów dostępnych na HBO. Obalane są pomniki ludzi uznawanych za rasistów, a kiedy nie da się ich tak po prostu zburzyć, pisze się po nich sprayem.

Mechanizm działania wszędzie jest taki sam: grupka radykałów rozpoczyna akcję i przy wsparciu równych im poziomem intelektualnym propagandzistów medialnych dokonuje lub przynajmniej próbuje dokonać przewrotu. Jak to się właściwie dzieje? W jaki sposób przypadek karygodnego nadużycia władzy przez policjanta w Minneapolis w stosunku do jednego człowieka, czarnego George'a Floyda, ma spowodować zniknięcie z listy polskich lektur powieści Henryka Sienkiewicza? Czy Sienkiewicz promował zabijanie czarnych przez białych policjantów? Czy Staś Tarkowski i Nel Rawlison zabijali Murzynów – określenie, które, jak się dowiaduję, też ma ulec likwidacji? Dlaczego prawdziwy obraz wyzwolenia Kalego spod władzy Arabów ma być rasistowski? Albo, z innej beczki, czy obraz relacji czarnych z białymi na plantacjach bawełny w Georgii pokazany w „Przeminęło z wiatrem" jest nieprawdziwy?

Lewicowi inkwizytorzy na takie pytanie nie odpowiadają. Oni mają swoje pojęcie rasizmu, ukute w latach 60. i 70. na uniwersytetach amerykańskich i europejskich, które służy im jako wzorzec z Sèvres, na którego podstawie oceniają całą przeszłość. Tak samo feministki mają swoje pojęcie równości kobiet, a genderyści tego, na czym polega płeć. Wszystkie te konstrukty ideolodzy rzutują w przeszłość i wymagają od minionych pokoleń, aby stosowały się do tej dzisiejszej miary, uznanej za obiektywną, słuszną i jedyną wiążącą. Wyłącznie pod tym kątem oceniają dzieła sztuki, osiągnięcia literatury. Mają swoje trybuny, nazywane dla niepoznaki gazetami, takie jak „Gazeta Wyborcza", która oczywiście pierwsza ruszyła w bój ze Stasiem i z Nel, lub portalami, i tam szerzą swoją propagandę.

Ostatnia fala wzburzenia doskonale pokazuje system. Najpierw są niewielkie grupki, nawet kilkuosobowe, pewne tego, że otaczający ich świat pełen jest zła, nieprawości, rasizmu, ksenofobii, homofobii itd., przemocy i niegodziwości. Wszędzie czai się niesprawiedliwość, a niesprawiedliwość to nierówność, równość zaś to absolutna tożsamość jednostek. Wszędzie tam, gdzie żyją biali mężczyźni, dominuje nieprawość. Przyszła do nas z przeszłości, jest jak grzech pierworodny niegdyś dla katolików. Żeby ją pokonać, trzeba przezwyciężyć przeszłość. Adepci nowych ideologii postępu nie są w stanie rozumować, nie potrafią używać argumentów racjonalnych. Nie martwi ich to, że są nierozumiani, że czasem się ich wyśmiewa albo na ich widok puka się w czoło. Wiedzą, że słuszność jest po ich stronie. Są pewni, że przyszłość przyzna im rację, że dziejowy postęp musi się dokonać, a oni uchwycili jego znaczenie. Dlatego nie muszą niczego tłumaczyć. W ich własnym środowisku miazmaty ideologii uchodzą za mądrość. Zdobywają zwolenników, wykrzykując emocjonalne hasła, które mają przyciągnąć do nich naiwnych wrażliwców i pięknoduchów. Komórki rewolucyjne powoli opanowują system społeczny. Zwykle zaczynają od wydziałów humanistycznych na uniwersytetach i od dużych redakcji. Antyrasizm, antyksenofobizm, antyhomofobizm rozprzestrzeniają się tak jak ogień – za pośrednictwem żaru. Skupiony w małych grupkach żar porywa innych, początkowo obojętnych. Żeruje na realnych, choć niebotycznie rozdmuchanych zdarzeniach, zafałszowanych statystykach, wyjętych z kontekstu faktach. Pasja, z którą działają wtajemniczeni, sprawia, że nie można już dyskutować ani deliberować, natychmiast trzeba się włączyć do walki z dziejową niesprawiedliwością. Ten, kto myśli i zadaje pytania, jest wrogiem. Trzeba go zawstydzić i zagonić w kozi róg.

Tak to wygląda w Ameryce, tak to wygląda w Europie Zachodniej. W Polsce jeszcze nie. Na razie jeszcze nie. Wszystko przed nami. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 7463047971

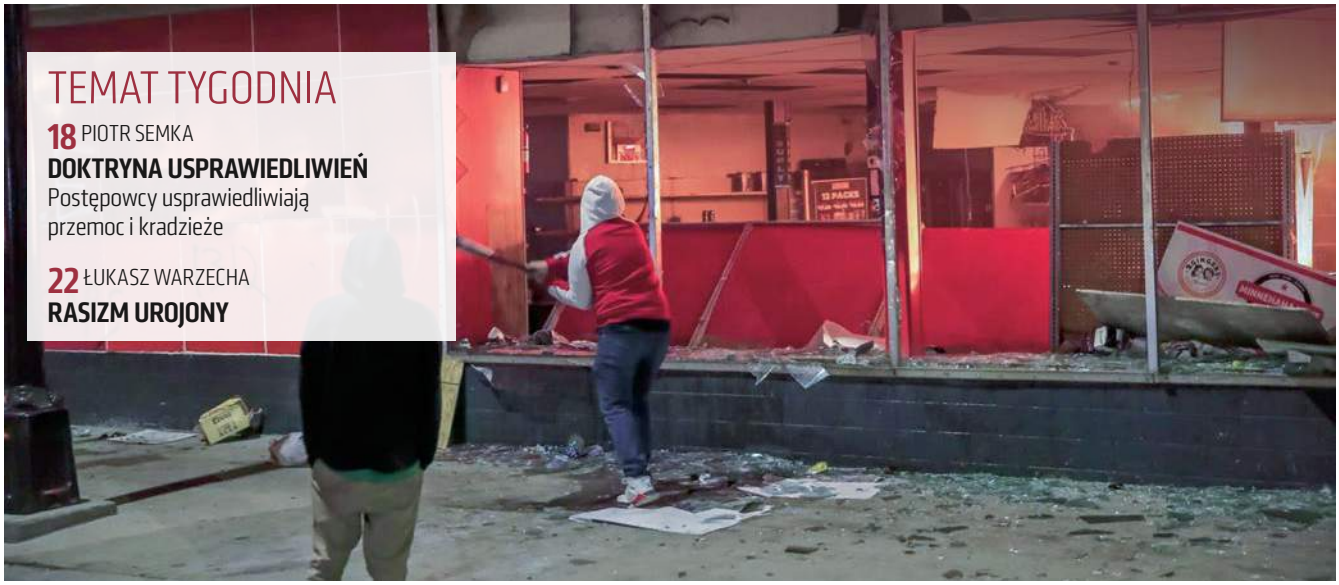

TEMAT TYGODNIA

18 PIOTR SEMKA
DOKTRYNA USPRAWIEDLIWIEŃ
Postępowcy usprawiedliwiają przemoc i kradzieże

22 ŁUKASZ WARZECHA
RASIZM UROJONY

KRAJ

24 ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM NOWAKIEM
TE WYBORY TO STARCIE CYWILIZACJI
Andrzej Duda hołduje polityce pragmatycznej

28 MARCIN MAKOWSKI
„STAN ALERTU"

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KONFEDERACJA PRZED SZANSĄ

34 ROZMOWA Z PROF. ŁUKASZEM SZUMOWSKIM
WYCHODZIMY Z EPIDEMII OBRONNĄ RĘKĄ

38 ROZMOWA Z LECHEM OBARĄ
TO NIEMCY MAJĄ PROBLEM Z PRAWORZĄDNOŚCIĄ

KULTURA

40 PIOTR GOCIEK
WIEK LOVECRAFTA
Renesans amerykańskiego klasyka

42 WITOLD REPETOWICZ
BLISKOWSCHODNIA WOJNA INFORMACYJNA

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ROZMOWA Z PROF. JAKUBEM POLITEM
KAPITALIŚCI PAŃSTWA ŚRODKA
Czy Chiny są krajem komunistycznym?

HISTORIA

62 ROZMOWA Z ANNĄ MALINOWSKĄ
DEMON ZŁA
Czarna historia Salomona Morela

64 ANNA MANDRELA
KTO WYDAŁ ROTMISTRZA?

ŚWIAT

70 JACEK PRZYBYLSKI
Z NIEMIEC DO FORTU TRUMP?
Polska zabiega o amerykańskich żołnierzy

74 OLIVIER BAULT
ZAMACH NA WŁOSKĄ DEMOKRACJĘ

76 PIOTR WŁOCZYK
KARMAZYNOWY WYPŁYW

78 KAROL KAŹMIERCZAK
KAPCIOWA REWOLUCJA?

EKONOMIA

82 TOMASZ CUKIERNIK
TARCZA (NIE)IDEALNA
Jak państwo pomogło przedsiębiorcom

86 ŁUKASZ ZBORALSKI
DAĆ PIENIĄDZE CZY PRACĘ?

STYL

90 JOANNA BOJAŃCZYK
DETEKTYW RODZINNY
Poradnik genealoga

O ZDROWIU

92 KATARZYNA PINKOSZ
CHOROBA, KTÓRA ZABIERA ODDECH
Pierwsze polskie wytyczne diagnostyki i leczenia IPF

FELIETONY:

SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (16), ZYCHOWICZ, KOPER (68), PRZYBYLSKI (80), GABRYEL, WARZECHA (88), KOMUDA (94), ZALEWSKI, MAKOWSKI (97), ROSZKOWSKI (98)

eprasa.pl 7463047971

W POLSCE NAJLEPIEJ.

Rodzinny pobyt w jednym z naszych nadmorskich hoteli jest gwarancją udanego wypoczynku i świetnej zabawy. Wszystkie pokoje są w pełni wyposażone w aneks kuchenny (zmywarka, lodówka, czajnik oraz zestaw naczyń), dzięki czemu bezpiecznie przygotujesz wspólny posiłek dla całej rodziny.

GOLDEN TULIP MIĘDZYZDROJE RESIDENCE to przyjazny rodzinie hotel znajdujący się w zaciszu lokalizacji Wolińskiego Parku Narodowego, doskonały dla osób pragnących spędzić wakacje w kameralnym gronie.

GOLDEN TULIP GDAŃSK RESIDENCE to komfortowy obiekt położony przy piaszczystej plaży, niedaleko Starego Miasta i sopockiego molo, którego oferta umożliwia miłe spędzenie czasu w rodzinnej atmosferze.

Najlepsze oferty znajdziesz zawsze na naszych stronach internetowych.

Golden Tulip Międzyzdroje Residence
ul. Gryfa Pomorskiego 79 | 72-500 Międzyzdroje
tel. +48 91 350 86 00
reception@goldentulipmiedzyzdroje.com
WWW.MIEDZYZDROJEGOLDENTULIP.PL

Golden Tulip Gdańsk Residence
ul. Piastowska 160 | 80-358 Gdańsk
tel. +48 58 511 56 00
reception@goldentulipgdanskresidence.com
WWW.GDANSKGOLDENTULIP.PL

GOLDEN TULIP

PLAYTIME. ANYTIME.

eprasa.pl 7463047971

Drodzy Czytelnicy!

Zachęcając do przesyłania listów do redakcji, przypominamy nasz adres e-mailowy: listy@dorzeczy.pl.

„Starcy w zamrażarce", Agnieszka Wójcik, „DRz" 23/2020

Wielkie dzięki za umieszczenie artykułu „Starcy w zamrażarce" i gratulacje za jakość wypowiedzi autora.

Sytuacja w domach starców na Zachodzie – mieszkam od pół wieku w Belgii – jest podobna, a często jeszcze gorsza niż w Polsce. Belgia bije wszelkie rekordy śmiertelności na skutek pandemii COVID-19.

Porównanie sytuacji w Belgii i Polsce jest przerażające.

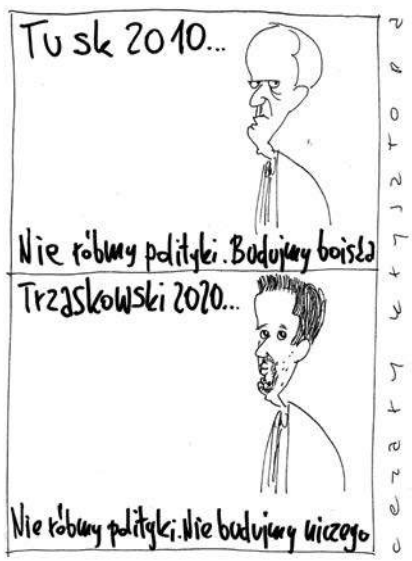

Zakażenia w stosunku do liczby mieszkańców: w Belgii 1/200, w Polsce: 1/1700. Podobnie ze śmiertelnością: Belgia 1/1100 mieszkańców; Polska 1/38 000 mieszkańców! Te koszmarne „wyniki" belgijskie są rezultatem statystyk, które biorą pod uwagę hurtem wszystkie wypadki śmiertelne w umieralniach dla seniorów, a stanowią one prawie 50 proc. zgonów, z tego raptem 25 proc. sprawdzonych jako efekt COVID-19. Niemniej jednak różnica jest kolosalna i dlatego tym bardziej uderza mnie musztra w polskich domach trzeciego wieku. Rygor administracyjny i policyjny w Belgii był i jest dużo bardziej elastyczny i pragmatyczny niż w Polsce.

Serdecznie pozdrawiam
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

„Sekret generałowej Zajączkowej", Anna Popek, „DRz" 23/2020

Czytając Pani artykuł w ostatnim numerze „Do Rzeczy", odkryłem kilka błędów faktograficznych.

1. Józef Zajączek ur. 1 listopada 1752 r. w Kamieńcu Podolskim od urodzenia posiadał herb Świnka, więc nie było potrzeby mu go nadawać powtórnie.

2. W 1812 r. pod Berezyną granat rosyjski zdruzgotał mu prawą nogę w kolanie (amputacji dokonał naczelny chirurg Larrey), w 1815 r. nie mógł walczyć z Rosją, nie tylko z powodu kalectwa, lecz także z braku rosyjskiej armii w ostatniej kampanii Napoleona oraz z przyczyny całkowitego przejścia do obozu rosyjskiego.

3. 24 grudnia 1815 r. wraz z ogłoszeniem Konstytucji Królestwa Polskiego Zajączek otrzymał powołanie na jego namiestnika.

4. W 1818 r. Rosją nie mógł rządzić car Mikołaj I, gdyż nadal rządy sprawował Aleksander I (do roku 1825). To on nadał państwu Zajączkom tytuł książęcy oraz podwyższył roczne uposażenie namiestnika o 50 tys. zł.

[...]

Z wyrazami szacunku
dr Cezary Granicki z Będzina (napoleonista)

Od autorki

Dziękuję za przesłanie uściśleń dotyczących życia i kariery wojskowej Józefa Zajączka. W swoim tekście skupiłam się na legendzie jego pięknej żony, generałowej Zajączkowej, oraz faktach z jej życia, które dla nas, współczesnych, mogą być inspirujące. Tak modna ostatnio krioterapia, dieta warzywna oraz morsowanie stosowane przez generałową przyniosły dobre efekty zarówno dla jej zdrowia, jak i urody. Verba docent, exempla trahunt – słowa uczą, przykłady pociągają. Dzięki generałowej sama zaczęłam morsować i już odczuwam korzyści z tego płynące, pokazuję więc jej przykład innym, aby zachęcić do dbania o zdrowie.

Z wyrazami szacunku
Anna Popek

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Sandra Skibniewska, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express").

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Carlos Gonzalez/Minneapolis Star Tribune/TNS/ABACAPRESS/PAP**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA — spółka notowana na GPW — POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

FIRMA RODZINNA

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 59 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania

eprasa.pl 7463047971

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Tęczowe qui pro quo

Jak to bywa w środowisku Strajku Kobiet i aktywistów LGBT, pomysły happeningów pojawiają się nagle i nabierają rozpędu dzięki dynamice sieci internetowej.

Dwie aktywistki feministyczne w przededniu Święta Bożego Ciała zaczęły rozpowszechniać wezwania do wieczornego „Tęczowego disco" pod pałacem prezydenckim. Jak ogłosiły, miała to być „spontaniczna akcja w odzewie na podpisanie przez prezydenta Andrzeja Dudę Karty Rodziny. Ma na celu wsparcie społeczności LGBT".

Sam pomysł jest typowy dla nowej lewicy, która specjalizuje się w imprezach łączących promowanie zmian obyczajowych z klimatem dobrej zabawy, który pomaga przyciągnąć młodzież. Na podobnej zasadzie Jerzy Owsiak najpierw wylansował pozornie jak najdalszą od polityki Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy, a dopiero potem zaczął faszerować Przystanki Woodstock poprawnymi politycznie gośćmi.

Ciekawe było co innego – szybka i histeryczna reakcja polityków Koalicji Obywatelskiej.

Pierwszy był Paweł Rabiej, wiceprezydent Warszawy: „Prawicowi działacze szykują dziś w Warszawie prowokację. Tęczowe disco pod pałacem, by skompromitować społeczność LGBT. To prowokacyjna akcja w najgorszym kremlowskim stylu. NIE DAJCIE SIĘ W TO WCIĄGNĄĆ! Powiemy dość 28 czerwca przy urnach".

Równie pryncypialna była Małgorzata Adamowicz, eurodeputowana KO.

„Uwaga! NIE dajcie się wykorzystać PiS-owskiej propagandzie! »Tęczowe disco« pod pałacem prezydenckim to ustawka! Na pewno będą tam wulgarni prowokatorzy i zrobią z Was »zboczeńców«. Jak tam pójdziecie, Duda wygra wybory! Jego sztab już otwiera szampany!".

Odezwał się wreszcie Tomasz Lis: „TVP, prowokatorzy z PiS i partia Razem zapraszają".

Posądzane w tak ostry sposób organizatorki zaczęły kontrofensywę. Aktor Jacek Poniedziałek zaczął rozpaczliwie przekonywać, że pomysłodawczynie akcji nie są prowokatorkami, a Adrian Zandberg wyśmiał Lisa i Rabieja. Ostatecznie pod pałacem zgromadziło się ok. 30 osób, wliczając w to siwowłosą weterankę demonstracji KOD.

Cała historia rzuciła ciekawe światło na świat opozycji. Po pierwsze, politycy Koalicji Obywatelskiej, ciągle ostrzegając wszystkich przed wszechwładnymi ponoć służbami ministra Mariusza Kamińskiego, zaczęli w końcu dopatrywać się w każdej niekonsultowanej z nimi akcji groźnej prowokacji.

Pod drugie, cała sprawa pokazuje, jak bardzo Borysowi Budce i jego kolegom zależy na lansowaniu wizerunku Rafała Trzaskowskiego jako statecznego, umiarkowanego centrysty.

Maskarada roznegliżowana została wezwaniami Pawła Rabieja – na razie nie okazywać swoich intencji. Powiemy „dość" dopiero przy urnach 28 czerwca.

Jak można zrozumieć, do tego czasu Trzaskowski ma stosować metodę mimikry. A gdy już wygra, dopiero da ognia.

I jeszcze ciekawy akcent. Na stronie wydarzenia „Tęczowe disco" chęć uczestnictwa zgłosiło aż 6 tys. osób. Pod pałacem zjawiło się tylko parę dziesiątek „tancerzy". Nikomu nie można dziś już ufać. ©℗

FOT. ANDRZEJ GRYGIEL/PAP

NISZCZYCIELSKIE BURZE I NAWAŁNICE

Nagła zmiana pogody sprawiła, że przez Polskę przetaczają się gwałtowne burze oraz ulewne deszcze. W ubiegłym tygodniu silny wiatr zrywał dachy z domów, uszkadzał elewacje domów, budynków gospodarczych oraz łamał drzewa. W niektórych miejscach powalone drzewa i konary uszkodziły samochody. Doszło też do pożarów wywołanych przez uderzenia pioruna. Dużo pracy mieli strażacy, którzy wyjeżdżali do usuwania wiatrołomów oraz do zalanych budynków i dróg. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 7463047971

PŁYWANIE W KISIELU

Bezpieczeństwo jako luksus

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Polska polityka jest coraz bardziej proekologiczna – w sensie, coraz więcej w niej recyklingu. Jak młodsze rodzeństwo „donaszające" ubrania po starszych nasze partie podchwytują stare pomysły przeciwników (dajmy na to, wybory korespondencyjne, których w 2018 r. PO broniła „jak niepodległości", a PiS uważał je za niedemokratyczne, gdy ostatnio odwrotnie), retorykę, nie brzydzą się nawet, jak pokazał właśnie Rafał Trzaskowski, sięgać po hasła przeciwnika z poprzednich kampanii.

Ochrona Jarosława Kaczyńskiego nie jest jakimś bizantyjskim przepychem – jest koniecznością

Są też jednak pomysły, których używa w nieskończoność wciąż ta sama partia, wracając do nich z uporem pijanego trzymającego się płotu. Jednym z nich jest regularnie ponawiane przez PO oskarżenie, że PiS wydaje pieniądze, i to niemałe, na osobistą ochronę Jarosława Kaczyńskiego. Właśnie w ubiegłym tygodniu podjęła ten temat po raz enty, z oskarżycielskimi minami wyliczając, ile to pieniędzy podatników idzie na „goryli" Prezesa.

Jest to tak podłe i głupie, że trudno bardziej. Ochrona polityka, zwłaszcza tak ważnego, nie jest jakimś bizantyjskim przepychem – jest koniecznością. To szczucie (pomijam już, że na kogoś, kogo psychopatyczny stronnik opozycji usiłował już zamordować, ostatecznie zabijając niższego rangą członka PiS) już raz doprowadziło do tragedii. Prezydent Gdańska, Paweł Adamowicz, chodził bez ochroniarza. Dostosował się do narzucanej przez lewicowo-liberalne media mody, dał się sterroryzować tefałenowską demagogią, że kto ma ochronę, ten „boi się społeczeństwa". Może obawiał się, że PO będzie wyszydzać go tak jak Kaczyńskiego, że „chowa się za plecami goryli"? Bo PO do samej śmierci tępiła go jako wroga, patrona zrobiła sobie zeń dopiero potem.

Skutek znamy: bezbronnego prezydenta Gdańska zaszlachtował publicznie zwykły rzezimieszek. Dyrygenci „antyochroniarskiej" propagandy są jednymi z najbardziej winnych tej śmierci – obok odpowiedzialnego za organizacyjny „tupolewizm" imprezy Owsiaka. Dlatego tak zgodnie wypierają swą winę, przypisując ją innym.

Okazuje się, że ta lekcja nikogo niczego nie nauczyła, argument „ma ochronę, cóż to za rozrzutność" wraca jak bumerang. Głupota, czy może podnoszący go liczą na jakiegoś kolejnego Cybę? ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

W tyle za Chińczykami

Duże zło, którym są koronawirus i nadchodzący kryzys, mogło przynieść dużo dobrego. Ktoś wreszcie w rządzie obudził się i zauważył, że obok seniorów i maluchów są też w Polsce przedsiębiorcy. A oprócz przedsiębiorców, którzy codziennie próbują związać koniec z końcem, są też tacy, którzy mają pomysł na rozwój polskiej gospodarki, na odbudowę polskiego przemysłu chemicznego, farmaceutycznego, medycznego, mają pomysły na wykorzystanie myśli naukowej polskich uniwersytetów.

Polskich inwestorów miał wesprzeć jeden z filarów Tarczy Antykryzysowej zapowiadany przez premiera Morawieckiego służący wsparciu inwestycyjności. I co? I jajco. Jak zapowiedział wiceminister rozwoju Marek Niedużak, kolejnych tarcz nie będzie. Czyli zaspokojono potrzeby pracowników, małych i średnich przedsiębiorców, samorządów, ale o rozwoju polskiej nauki i biznesu zapomniano. Po co bowiem pamiętać – myśli pewnie urzędas jeden z drugim – skoro to tak nieduża grupa, że na głosy wyborcze się nie przekłada?

Tymczasem wystarczy zapytać np. w regionalnych oddziałach ARP, jak polskie pomysły technologiczne przepadają, bo albo nie ma na nie pieniędzy, albo dziś obowiązujące procedury wymagają od naukowca, inwestora wyłożenia tak dużej części wkładu własnego, że ten, finansując wcześniejsze badania naukowe, już nie może sobie na to pozwolić. Więc odsyłany od Annasza do Kajfasza w końcu machnie ręką, sprzeda projekt Niemcom, Chińczykom czy Rosjanom, a sam pojedzie pracować na zmywak. Technologię dalej będziemy sprowadzać z Chin, inwestować w kretyńskie pianobary czy automaty z podpaskami (to nie żart). Do czasu kolejnego kryzysu i kolejnych, niestety, tylko deklaracji. ©℗

eprasa.pl 7463047971

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Włosi już bez alibi

Epidemia koronawirusa zaczęła się dla Italii fatalnie. Europejscy partnerzy pokazali Włochom proszącym o pomoc środkowy palec. Najpierw pani Lagarde oświadczyła, że kierowany przez nią Europejski Bank Centralny nie został powołany po to, by rozwiązywać problemy Italii. Potem premier Conte, gdy usłyszał, co mają mu do zaproponowania przywódcy unijni w walce ze skutkami koronawirusa, zerwał teleszczyt. Mówiąc krótko, Unia pokazała, że nie jest żadną Unią, a lista szczytnych wartości i zasad, które rzekomo leżą u jej podstaw, nadaje się do kosza.

Wiele się jednak zmieniło. Najpierw posypała głowę popiołem pani Lagarde i jej bank skupuje teraz mało co warte włoskie papiery dłużne aż miło i po bardzo przyjaznych dla Italii cenach. Niedługo potem szefowa Komisji Europejskiej pani von der Leyen przeprosiła Włochów i przedstawiła ambitny plan stworzenia Funduszu Odbudowy, w którym znalazły się naprawdę ogromnej wartości subwencje i kredyty. Zapewne nie byłoby to możliwe, gdyby pani kanclerz nie zmieniła w tych sprawach zdania. Tak czy inaczej w Italii nawet ludzie, którzy na dźwięk słów „Unia Europejska" toczą pianę, teraz noszą panią Lagarde na rękach, a i przyjaźniejszym okiem spoglądają na Komisję Europejską. Jakkolwiek oceniać, ilekolwiek by narzekać, że Fundusz Odbudowy jeszcze nie gotów i ruszy dopiero w przyszłym roku, piłeczka wylądowała na korcie Włochów.

Paradoks chce, że najgłębszy kryzys w powojennej historii Italii jest też jej ogromną szansą. Polega na tym, że Włosi mogą na ruinach wybudować swoje państwo od nowa: państwo obecnie przeżarte rakiem biurokracji, korupcji, w którym omijanie przepisów, prawa i podatków podniesiono do rangi sztuki, państwo finansowego i społecznego rozziewu między północą a południem, państwo, w którym stan infrastruktury woła o pomstę do nieba. Most w Genui nie runął przypadkiem.

To ogromne wyzwanie spada niestety na chwiejny i niezbyt kompetentny rząd. Trzymajcie kciuki za Italię! Jest piękna i tego warta. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Żony Cezara

Zapraszam państwa na wycieczkę do obiektywnych mediów niezaangażowanych politycznie. Tych, które chętnie rozliczają innych, bo same są jak żona Cezara. „Te wybory nie są równe, dlatego dziś na Wyborcza.pl, a jutro w całym drukowanym nakładzie zamieszczamy formularz PKW. Wydrukuj lub wytnij, zbierz podpisy, powiedz DOŚĆ ograniczaniu praw wyborczych w Polsce" – napisał Jarosław Kurski.

Co ciekawe, na mówieniu DOŚĆ przypadkowo skorzystał zwłaszcza jeden z polityków opozycji. „Oj, my się musimy wam koniecznie podpisać. Mamy kartę z gazety. Podpisy zebrane na stacji benzynowej w Nowym Targu na karcie z »Gazety Wyborczej« dla Rafała Trzaskowskiego. Radość i moc :)" – stwierdził Sławomir Nitras, publikując kilka zdjęć sympatyków z „Wyborczą".

W tym samym czasie ciekawe zdjęcie opublikowała dziennikarka „Newsweeka" Renata Kim. Stoi na nim obok bannera Andrzeja Dudy, przemalowanego sprayem na Adolfa Hitlera. „Fajne dziennikarstwo. Teraz już nie wypada pisać krytycznie o TVP" – rzucił Marcin Dobski. „Kurczę, jakie dziennikarstwo? Jestem na Podkarpaciu prywatnie" – odpisała Kim.

Jeszcze ciekawszą fotografię ustawionych w rzędzie tysięcy osób zamieścił natomiast „Sok z Buraka", opatrując ją następującym komentarzem: „Taka kolejka do złożenia podpisu dla Rafała Trzaskowskiego wczoraj pod katowickim Spodkiem. Jest moc". Gdy zwróciłem uwagę, że to ludzie czekający na wejście na turniej gier komputerowych w Katowicach w 2015 r., w odpowiedzi usłyszałem: „To był taki żart".

A to już, zapewniam, nie jest żart, tylko autentyczny tweet. „Nie zwalniając kroku i w milczeniu, Jarosław Kaczyński przeszedł sejmowym korytarzem obok reporterki, która pytała go, kogo w czwartek w Sejmie nazwał »hołotą«" – relacjonował TVN24.

Na koniec, z nieco innej beczki. Nasz ulubieniec, pierwszy demokrata III RP, prof. Wojciech Sadurski. „Pani Dziemianowicz-Bąk nie była w stanie powiedzieć, czy Lewica poprze Trzaskowskiego w II turze. Jasne, Duda będzie was ułaskawiał. Duda już zbiera korzyści z ochłapa dla Śpiewaka. Chce mi się rzygać na taką Lewicę. Ja, lewicowiec" – wyznał. ©℗

eprasa.pl 7463047971

Wiele osób się zastanawia, co jest lepsze: praca na etacie, umowa-zlecenie, własna działalność gospodarcza, a może założenie spółki. Z każdą z tych form wiążą się zarówno korzyści, jak i wady. Jakie?

Etat, zlecenie czy własna firma?

eprasa.pl 7463047971

FOT. ADOBE STOCK

Według opublikowanego w styczniu 2020 r. przez Główny Urząd Statystyczny raportu „Aktywność ekonomiczna ludności Polski: III kwartał 2019 roku" w trzecim kwartale 2019 r. liczba osób pracujących na własny rachunek wyniosła aż 1,3 mln (prowadzących działalność gospodarczą i niezatrudniających innych pracowników).

MARZENIE O STABILIZACJI

Na koniec 2018 r. zatrudnionych na podstawie stosunku pracy w Polsce było blisko 11,8 mln osób – według „Rocznika Statystycznego Pracy 2019" opublikowanego przez GUS w marcu 2020 r. Umowa o pracę kojarzy się ze stałymi godzinami pracy, poczuciem bezpieczeństwa wynikającym ze stabilnych zarobków i odkładania oszczędności w postaci obowiązkowych składek na przyszłą emeryturę. Nie bez znaczenia jest też bezpłatny dostęp do usług opieki zdrowotnej oraz coroczny urlop wypoczynkowy.

Zgodnie z art. 22 par. 1 Kodeksu pracy „przez nawiązanie stosunku pracy pracownik zobowiązuje się do wykonywania pracy określonego rodzaju na rzecz pracodawcy i pod jego kierownictwem oraz w miejscu i czasie wyznaczonym przez pracodawcę, a pracodawca – do zatrudniania pracownika za wynagrodzeniem".

Jednym z najistotniejszych elementów wspólnych dla podstawowych rodzajów umowy o pracę (wyróżnia się trzy główne: na okres próbny, na czas określony, na czas nieokreślony) jest gwarancja minimalnego wynagrodzenia za pracę, które w 2020 r. wynosi 2,6 tys. zł brutto.

Pracodawca ma też obowiązek odprowadzania za pracownika składek, w tym: emerytalnej, rentowej, zdrowotnej, chorobowej i wypadkowej. Składki wraz z potrącaną zaliczką na podatek dochodowy co prawda pomniejszają wysokość wynagrodzenia netto, ale dzięki nim zatrudniony objęty jest pełną opieką z tytułu opłacanych ubezpieczeń. I tak na przykład konto ubezpieczonego pracownika w ZUS systematycznie zasilane jest comiesięcznymi wpłatami powiększającymi kapitał przeznaczony na emeryturę, a przez objęcie ubezpieczeniem rentowym ma on możliwość uzyskania świadczenia w razie utraty zdolności do pracy. Dzięki ubezpieczeniu zdrowotnemu ubezpieczony jest uprawniony do bezpłatnej opieki medycznej w ramach Narodowego Funduszu Zdrowia. W razie choroby osoba zatrudniona ma prawo do skorzystania ze zwolnienia lekarskiego i otrzymania za czas niezdolności do pracy wynagrodzenia chorobowego i/lub zasiłku chorobowego. Po urodzeniu dziecka zyskuje natomiast uprawnienie do zasiłku macierzyńskiego.

Kodeks pracy określa także normy czasu pracy i sposób obliczania wynagrodzenia za nadgodziny, a ponadto gwarantuje pracownikom liczne uprawnienia, takie jak: prawo do urlopu wypoczynkowego, prawo do urlopu macierzyńskiego, ojcowskiego, wychowawczego; obowiązek zapewnienia przez pracodawcę bezpiecznych i higienicznych warunków pracy; ochronę przed rozwiązaniem umowy o pracę np. dla kobiet w ciąży i osób w wieku przedemerytalnym; rozwiązanie umowy z zachowaniem okresu wypowiedzenia w zależności od rodzaju umowy: od trzech dni (przy umowie na okres próbny nieprzekraczający dwóch tygodni) do trzech miesięcy (przy umowie na czas nieokreślony). Na straży praw pracowniczych stoi Państwowa Inspekcja Pracy, do której zatrudniony może zgłosić skargę w razie ich naruszenia. Spory w zakresie prawa pracy pomiędzy pracownikiem a pracodawcą rozstrzyga natomiast sąd pracy.

UMOWY-ZLECENIA

Inną formą, preferowaną szczególnie przez osoby, które zamiast pracowniczych przywilejów cenią sobie np. dużą swobodę w zakresie organizowania pracy czy też brak wyznaczonych godzin jej wykonywania, jest praca na podstawie umowy-zlecenia. Odmiennie niż w przypadku zatrudnionych na etat regulują ją przepisy Kodeksu cywilnego.

Stanowią one, że przedmiotem umowy-zlecenia jest zobowiązanie jednej osoby (zleceniobiorcy) do wykonania określonej czynności prawnej (np. usługi) dla innego podmiotu (zleceniodawcy) w określonym czasie. Przy odpłatnej umowie-zleceniu określona jest minimalna stawka godzinowa, która, tak jak to się dzieje przy umowie o pracę, gwarantuje zleceniobiorcy minimalny poziom wynagrodzenia za godzinę. W 2020 r. wynosi ona 17 zł brutto.

Należy również podkreślić, że przedmiot umowy-zlecenia jest inny względem przedmiotu stosunku pracy. W przypadku, gdy są one tożsame, osoba może mieć roszczenie o ustalenie stosunku pracy. Nie chodzi zatem wyłącznie o preferencje co do formy zatrudnienia, lecz także o przedmiot tego stosunku prawnego.

Jeżeli dana umowa-zlecenie stanowi jedyne źródło dochodu zleceniobiorcy, to zleceniodawca obowiązany jest do odprowadzania za taką osobę składki emerytalnej, rentowej i zdrowotnej (wymóg ten nie dotyczy jednak studentów do 26. roku życia), z tym że objęcie ubezpieczeniem chorobowym ma charakter dobrowolny z perspektywy zleceniobiorcy. Przyjmujący zlecenie zostaje więc objęty ubezpieczeniem, pod warunkiem że złoży w tej sprawie wniosek do zleceniodawcy. Dłuższy niż przy umowie o pracę jest tu natomiast tzw. okres wyczekiwania, po którym

eprasa.pl 7463047971

zleceniobiorca może skorzystać z płatnego zwolnienia lekarskiego – przysługuje mu ono po 90 dniach nieprzerwanego okresu ubezpieczenia. Należy przy tym pamiętać, że chociaż pobierane są składki na przyszłą emeryturę wypłacaną przez ZUS, to okres wykonywania umowy-zlecenia, będącej umową cywilnoprawną, a więc nieregulowaną przepisami Kodeksu pracy, nie jest brany pod uwagę przy liczeniu stażu pracy uprawniającego do przejścia na emeryturę. Co ważne, okresy, w których odprowadzane są składki na ubezpieczenia społeczne, niezależnie, czy to ze stosunku pracy, czy z umowy cywilnoprawnej, wlicza się do tzw. okresów składkowych dających prawo do emerytury. Mimo oskładkowania umowy-zlecenia na zasadach podobnych jak w przypadku umowy o pracę nie ma możliwości zaliczenia okresu zatrudnienia na jej podstawie do stażu pracy, od którego zależą uprawnienia pracownicze, takie jak urlop wypoczynkowy.

Zatrudnionemu na podstawie takiej umowy nie przysługują uprawnienia określone w Kodeksie pracy, o ile sama umowa nie zawiera stosownych postanowień w tym zakresie. Tak więc zleceniodawca nie ma obowiązku udzielania płatnego urlopu wypoczynkowego, gwarantowania zleceniobiorcy uprawnień związanych z rodzicielstwem czy zapewniania ochrony przed wypowiedzeniem umowy. Umowa obowiązuje tylko do wskazanego czasu, na jaki została zawarta, ale też można ją rozwiązać w każdej chwili, bez zachowania okresu wypowiedzenia, o ile nie został on określony w umowie.

Przychody uzyskiwane z pracy zarobkowej w ramach umowy zlecenia opodatkowane są na zasadach ogólnych, podobnie jak przychody z pracy na etacie (podatek dochodowy: 17 proc. dla osiągających roczny przychód w granicy pierwszego progu podatkowego oraz 32 proc. dla przychodu w drugim progu podatkowym). Etatowca i zleceniobiorcę różni jednak sposób obliczania kosztu uzyskania przychodu. W przypadku przychodu z umowy o pracę jest to stała kwota, której wielkość zależy od liczby źródeł przychodu ze stosunku pracy danego podatnika oraz tego, czy pracuje on w miejscu zamieszkania, czy też musi do firmy dojeżdżać. Zleceniobiorca natomiast oblicza koszty te metodą liniową i może, w zależności od rodzaju wykonywanych czynności lub usług, ująć jako koszty w rocznym rozliczeniu 20 proc. (stawka podstawowa) lub 50 proc. (stawka podwyższona, przysługująca m.in. architektom, autorom tekstów i muzyki, fotografom, dziennikarzom, stosowana w przypadku przeniesienia na zleceniodawcę w umowie praw autorskich; w sposób szczegółowy stanowi o tym art. 22 ust. 9 ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych) uzyskanych z tego tytułu przychodów, po uprzednim odjęciu od nich składek na ubezpieczenie społeczne: emerytalnej, rentowej i chorobowej.

UMOWA O DZIEŁO

Zgodnie z przepisami Kodeksu cywilnego ten rodzaj umowy dotyczy jednorazowego wykonania dzieła, stanowiącego osiągnięcie konkretnego, określonego z góry efektu, dlatego też często nazywany jest umową rezultatu. Przez umowę o dzieło przyjmujący zamówienie zobowiązuje się do wykonania danego dzieła, a zamawiający do zapłaty wynagrodzenia.

Przyjmujący zamówienie na dzieło, podobnie jak ma to miejsce w przypadku umowy-zlecenia, nie korzysta z uprawnień określonych w Kodeksie pracy. Nie ma ponadto zagwarantowanej minimalnej stawki wynagrodzenia. Należne wynagrodzenie oraz ewentualne uprawnienia przysługujące przyjmującemu zamówienie określają zapisy umowy. Z tytułu umowy o dzieło nie ma również obowiązku odprowadzania składek do ZUS, co oznacza między innymi, że osoba wykonująca dane zamówienie, o ile nie posiada żadnego innego tytułu do ubezpieczenia, nie może skorzystać np. z bezpłatnej wizyty u lekarza w ramach NFZ.

Podatek dochodowy osoby wykonującej pracę w ramach umowy o dzieło rozliczany jest na zasadach ogólnych przy zastosowaniu skali podatkowej 17 i 32 proc. Chociaż z tytułu umowy o dzieło nie są odprowadzane stawki na ubezpieczenia społeczne i zdrowotne, to tak jak w przypadku przychodu z umowy-zlecenia można tu na tych samych zasadach zastosować podstawową (20 proc.) lub podwyższoną (50 proc.) stawkę kosztu uzyskania przychodów.

BYĆ SWOIM WŁASNYM SZEFEM

Własna działalność gospodarcza wielu osobom pozwala spełnić marzenia o byciu „na swoim". Mała firma oznacza pełną samodzielność – przedsiębiorca sam ustala czas pracy i urlopu. Sam decyduje o tym, z kim nawiązuje współpracę. Ma też możliwość niezależnego podejmowania decyzji dostosowujących działanie firmy do potrzeb rynku – może np. negocjować z dostawcami, redukować koszty, zmienić formę opodatkowania, szybko wdrażać nowe pomysły, które będą służyły rozwojowi biznesu. Sam jednak musi także ponosić koszty funkcjonowania przedsiębiorstwa, pamiętać o wszelkich formalnościach, fakturach, terminach opłacania składek i podatków oraz rzetelnie dokumentować przychody, koszty i majątek firmy, a także dbać o klientów zapewniających źródło przychodu. Samozatrudnionemu nie przysługuje płatny urlop wypoczynkowy. Więcej obowiązków to również większy ciężar odpowiedzialności – ponieważ przedsiębiorca prowadzący firmę jako osoba fizyczna w ramach indywidualnej działalności gospodarczej odpowiada za swoją firmę całym posiadanym majątkiem, a jeśli nie ma rozdzielności majątkowej, to za jego firmowe długi odpowiada również małżonek.

JAK ZACZĄĆ?

Rejestracja firmy jest łatwa, szybka i bezpłatna. Wszystkie formalności można załatwić w „jednym okienku" – czy to stawiając się osobiście w urzędzie gminy, miasta lub dzielnicy, czy też wysyłając wniosek elektronicznie przy wykorzystaniu strony internetowej CEIDG i Profilu Zaufanego.

Za jedną z zalet wiele osób decydujących się na przejście z etatu lub umowy cywilnoprawnej na samozatrudnienie postrzega możliwość odliczania od dochodu kosztów faktycznie poniesionych w związku z prowadzeniem firmy.

eprasa.pl 7463047971

FOT. ADOBE STOCK

Dzięki temu bowiem mają one możliwość istotnie pomniejszyć uzyskane przychody i w rezultacie także należny organowi skarbowemu podatek dochodowy. Trzeba jednak pamiętać, że nie każdy wydatek może być uznany za koszt uzyskania przychodu. Przedsiębiorca powinien więc zadbać o to, by każdy taki – co ważne: właściwie udokumentowany nakład – miał bezpośredni związek z osiągniętymi przez firmę przychodami. Do kosztów uzyskania przychodu nie można zaliczyć np. nabycia gruntu, spłaty kredytu (w wyjątkiem odsetek od kredytu) czy kar i mandatów zapłaconych przez przedsiębiorcę. Listę wydatków nieuznawanych za koszty uzyskania przychodów, wymieniono w art. 23 ust. 1 ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych.

Jedną ze stałych pozycji comiesięcznych wydatków, które ponosi osoba prowadząca działalność gospodarczą, są składki na ubezpieczenia. Samozatrudniony przedsiębiorca podlega obowiązkowym ubezpieczeniom: emerytalnemu, rentowemu, wypadkowemu i zdrowotnemu. Ubezpieczenie chorobowe natomiast jest dobrowolne i wymaga zarejestrowania się w ZUS jako osoba ubezpieczona w ciągu siedmiu dni od wpisu do CEIDG. Bez tego ubezpieczenia jednak przedsiębiorcy nie przysługuje możliwość skorzystania ze zwolnienia lekarskiego czy otrzymania zasiłku chorobowego, co może znacząco wpłynąć na kondycję finansową w razie nagłej choroby.

Ile wynoszą składki ZUS dla osób prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą? Składki na ubezpieczenia społeczne przedsiębiorcy na zasadach ogólnych naliczane są od zadeklarowanej kwoty, która nie może być niższa od podstawy wynoszącej 60 proc. przeciętnego prognozowanego przez GUS wynagrodzenia, czyli od kwoty 3136,20 zł w roku 2020. Łącznie stawki tych składek stanowią nieco ponad 31 proc. podstawy. Natomiast minimalna wysokość obowiązkowej składki na ubezpieczenie chorobowe w roku 2020 wynosi 362,34 zł. Do tego należy pamiętać o obowiązkowej składce na Fundusz Pracy, która stanowi 2,45 proc. podstawy. Przy założeniu więc, że przedsiębiorca opłaca w 2020 r. składki od zadeklarowanej minimalnej podstawy, musi co miesiąc przeznaczyć na ten cel nieco ponad 1431 zł, przy czym bez dobrowolnego ubezpieczenia chorobowego (2,45 proc. podstawy), kwota ta wynosi 1354,64 zł.

ULGI DLA MNIEJSZYCH

Każdy przedsiębiorca, jeśli spełnia warunki określone w przepisach, ma prawo skorzystać z ulg w opłacaniu składek. Jednym z takich udogodnień kierowanych do początkujących samozatrudnionych jest „Ulga na start". Korzystając z niej, osoba rozpoczynająca działalność w okresie pierwszych sześciu miesięcy zwolniona jest ze składek na ubezpieczenia społeczne i podlega tylko obowiązkowemu ubezpieczeniu zdrowotnemu. Istotną informacją w przypadku ulgi na start jest to, że osoba z niej korzystająca nie ma prawa m.in. do świadczeń chorobowych i wypadkowych. Natomiast po upływie sześciu miesięcy wykorzystywania „Ulgi na start" może przez kolejne 24 miesiące skorzystać z tzw. małego ZUS-u, czyli opłacać preferencyjne stawki na ubezpieczenia społeczne. Podstawą naliczania preferencyjnych składek na ubezpieczenia społeczne jest 30 proc. minimalnego wynagrodzenia (podstawa w 2020 r. – 780 zł). Należy przy tym pamiętać, że minimalna składka obowiązkowego ubezpieczenia zdrowotnego jest stała dla wszystkich prowadzących działalność i wynosi 362,34 zł.

W tym roku wprowadzono także kolejne udogodnienie dla prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą na mniejszą skalę – tzw. mały ZUS plus. To, podobnie jak dotychczas funkcjonujący „mały ZUS", rozwiązanie dla najmniejszych firm, czyli według nowych zasad takich, których przychód w poprzednim roku nie przekroczył 120 tys. zł. Nowe reguły pozwalają osobom, które spełniają warunki programu, opłacać składki na ubezpieczenia społeczne od podstawy wymiaru, której wysokość zależna jest od dochodów z działalności gospodarczej w poprzednim roku kalendarzowym. Obniżone składki mogą być opłacane maksymalnie przez 36 miesięcy w ciągu kolejnych 60 miesięcy prowadzenia działalności. Przedsiębiorcy, którzy decydują się na preferencyjne stawki, muszą jednak mieć na uwadze, że np. w razie choroby czy urodzenia dziecka przysługują im niższe świadczenia niż w przypadku standardowych składek.

A MOŻE SPÓŁKA?

Chcąc prowadzić własną firmę, możemy również zdecydować się na założenie spółki. Wśród spółek prawa handlowego mamy do wyboru spółki kapitałowe (z ograniczoną odpowiedzialnością lub akcyjna) oraz osobowe (jawna, partnerska, komandytowa, komandytowo-akcyjna). Zgodnie z art. 88 Kodeksu spółek handlowych spółki partnerskie zostały zarezerwowane dla osób wykonujących konkretne wolne zawody, m.in. dla adwokatów, aptekarzy, architektów, inżynierów budownictwa, lekarzy czy radców prawnych. Zaletą spółek prawa handlowego jest to, że w przypadku ewentualnych problemów finansowych wspólnicy przeważnie nie odpowiadają swoimi osobistymi majątkami za długi spółki. Wśród wad są większe formalności (np. konieczność zawarcia umowy u notariusza, złożenie wniosku o wpis w KRS) oraz konieczność zgromadzenia kapitału zakładowego w wysokości nie mniejszej niż 5 tys. zł dla spółki z o.o., 50 tys. zł dla spółki komandytowo-akcyjnej oraz 100 tys. zł dla spółki akcyjnej.

Mniej formalności wymaga założenie spółki cywilnej (nie jest to spółka per se, ale umowa prawa cywilnego). Aby założyć tego typu spółkę, wystarczy sporządzić umowę spółki i w ciągu 14 dni zgłosić ją w Urzędzie Skarbowym. W tym przypadku nie jest wymagany minimalny kapitał zakładowy. Spółka cywilna nie posiada bowiem osobowości prawnej. To zaś oznacza, że za zobowiązania takiej spółki wspólnicy solidarnie odpowiadają zarówno majątkiem firmowym, jak i majątkiem osobistym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7463047971

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, rozpoczęły się matury i już, od razu właściwie, mieliśmy pierwszy związany z nimi incydent. Otósh na Podlasiu przez uczniów zostały uspołecznione za pomocą Internetu arkusze maturalne.

Of kors wybuchła z tego powodu afera, iż nie wolno, oszustwo itd. Tymczasem naszym zdaniem tak właśnie powinno być: uczniowie powinni wcześniej wiedzieć, jakie pytania padną na maturze. Przecież o wiele łatwiej się dobrze przygotować i poprawnie odpowiedzieć na pytania, które się zna, prawda?

Wszystko byłoby możliwe do zrealizowania, gdyby nie to, iż matura tak naprawdę nie jest żadnym narzędziem docenienia młodego człowieka i wypuszczenia go z małego ośrodka na studia. To kolejny sprawdzian wiedzy, przygotowany przez białych, heteroseksualnych mężczyzn, który ma na celu uniemożliwienie kształcenia światłych obywateli na europeistyce, wiedzy o teatrze czy muzykologii, a nawet socjologii miasta.

W normalnym kraju matury to pewnie w ogóle by nie było. Po zakończeniu szkoły średniej młodzież i kadra dydaktyczna po prostu podaliby sobie ręce i każdy poszedłby w swoją stronę, bez stresu, egzaminów i inwigilacji. No, ale wiadomo, iż u nas będzie dzielenie na uczniów lepszych i gorszych.

Elon Musk zapowiedział, że największym zadaniem jego firmy SpaceX jest podróż na Marsa. Zanim jednak ludzkość skoloniz... o nie, mowa nienawiści, zanim więc jednak ludzkość zamieszka na Marsie, musimy zastanowić się, w jaki sposób podejść do tego działania odpowiedzialnie.

Po pierwsze: należy zadbać, iżby wśród pierwszych ludzi na Marsie zapewnić wszelkie możliwe parytety. Nie jesteśmy w stanie tego dokładnie policzyć, ale na oko wyszło nam, iż jeśli wyślemy na Marsa ok. 100 osób, to wyjdzie 0,025 proc. białego heteroseksualnego mężczyzny.

Po drugie: należy od razu wytyczyć ścieżki rowerowe pomiędzy lokalizacjami baz. Do tego oczywiście buspasy, strefy relaksu i sztuczne wyspy.

Po trzecie: należy na Marsie zapewnić obecność Netflixa i całodobowych sklepów z prosecco.

Po czwarte: od początku należy zadbać o marsjańską atmosferę i ustalić możliwie niskie normy emisji CO_2. Żadnego węgla na Marsie, energia wprost ze Słońca, uśmiechów osobomarsjan i of kors wiatraków.

Po kolejne: należy od razu założyć kilka przynajmniej organizacji walczących z fashysmem i opracować polityki antydyskryminacyjne dla różnych sektorów marsjańskiej gospodarki. Dzięki temu, gdyby wśród starannie wybranej grupy kolonizat... yyy, tzn. osób znajdujących się na Marsie, znaleźli się rasiści, będziemy w stanie od razu przeciwdziałać dyskryminacji.

Po ostatnie: upewnić się, iż na Marsie też można będzie zorganizować home office. Jedziemy? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

To taki płaskowyż

Cześć, Łukasz. Jak tam idzie wypłaszczanie? Bo wiesz, jakoś ostatnio nie sprawdzałem, jeżdżę teraz po tych spotkaniach, z ludźmi się spotykam i nie bardzo mam czas.

Bardzo dobrze idzie, Andrzeju. Wypłaszczyliśmy idealnie. Nic nam nie rośnie.

Ale ktoś mi tam mówił, że tak za bardzo to nam też nie spada podobno?

No wiesz, jak ma być płasko, to spadać też nie może, prawda?

Fakt. Ale też słyszałem – tylko może to są jakieś złośliwości opozycji – że podobno właściwie to nam wzrosło.

No... to nie jest do końca tak. To znaczy wzrosło, ale nadal jest płasko.

Nie rozumiem.

Wiesz z geografii, że jest coś takiego jak płaskowyż?

No wiem.

Właśnie. To to jest coś takiego. Było płasko i nadal jest płasko, tylko na wyższym poziomie.

Aha. Ale to chyba już nie jest płasko, skoro jest wyżej, niż było?

Nie czepiałbym się detali.

W sumie racja.

A przy okazji – mógłbyś na tych swoich spotkaniach poprosić ludzi, żeby trochę mniej gęsto stali.

Nie mogę. To będzie źle w telewizji wyglądać.

Aha. No trudno. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Kto z państwa – niech podniesie rękę – potrzebuje największego lotniska na świecie?"

RAFAŁ TRZASKOWSKI, *kandydat KO na prezydenta, podczas spotkania z wyborcami w Pabianicach, próbując udowodnić, że Polska nie powinna inwestować w Centralny Port Komunikacyjny*

eprasa.pl 7463047971

Skorzystaj z najbezpieczniejszego środka transportu!

Auta są dokładnie dezynfekowane po każdym kliencie.

Maseczka jednorazowa dla kierowcy i pasażerów gratis!

Kontakt osobisty oraz formalności ograniczone do minimum.

SIMPLY SAFELY FOR LESS

RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500 www.rentis.pl info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

BIAŁYSTOK +48 519 535 331 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 **GDAŃSK** +48 519 535 311 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
KATOWICE +48 519 535 301 **KIELCE** +48 519 535 304 **KRAKÓW** +48 519 535 305 **LUBLIN** +48 519 535 318
ŁÓDŹ +48 519 535 308 **OLSZTYN** +48 519 535 314 **OPOLE** +48 519 535 307 **PŁOCK** +48 519 535 334 **POZNAŃ** +48 519 535 303
RZESZÓW +48 519 535 306 **SZCZECIN** +48 519 535 310 **WARSZAWA** +48 519 535 302 **WROCŁAW** +48 519 535 307

eprasa.pl 7463047971

dwaj panowie g

Ujawniamy. W sztabie Rafcia Trzaskowskiego mają zagwozdkę. Otóż chcieliby zyskać trochę konserwatywnego elektoratu i zastanawiają się, czy państwo Trzaskowscy powinni założyć obrączki ślubne, których od dawna nie noszą, czy przeciwnie, bo zostanie to przyuważone i potraktowane jako obłuda. Są wszak liczne zdjęcia, na których Trzaskowscy występują bez owej katolickiej biżuterii. Mamy pomysł, jak rozwiązać ten problem. Otóż u katolików istnieje coś, co zwie się „odnowieniem przyrzeczeń małżeńskich". Szast-prast, paru zaufanych paparazzich i po krzyku!

Swoją drogą, Rafcio Trzaskowski, kandydując kiedyś z Krakowa, ćwiczył tamtejszą lokalną wymowę. Chętnie byśmy teraz posłuchali, jak do licznych języków obcych, jakimi włada kandydat, dołączyłby gwarę warszawską. „Kopsnie kierowniczka pieniążka na kompanijkę" – to najdelikatniejsze, co przychodzi nam do głowy.

Pamiętacie, jak informowaliśmy, że do sztabu wyborczego Rafcia Trzaskowskiego dołączył Szymon Milczanowski, doradzający zarządowi Wirtualnej Polski? No właśnie. No i stał się cud. Oto zupełnie bez powodu na Wirtualnej zaczęły się pojawiać ciekawe publikacje. Żadna chamówa, tylko finezja. Choćby opera mydlana pt. „rozdarte serce rodziny Kwaśniewskich". Olek twardo przy łagodnym Biedroniu, Jolanta jednak przy przystojnym utracjuszu Rafale, i to od pierwszej tury. Będzie tego więcej.

To nie bój z prezydentem Dudą, tylko z Jarosławem Kaczyńskim" – ogłosił tymczasem Rafcio. Odgrzewane kotlety. Pamiętamy, jak w 2015 r. „Lisweek" walnął całą taką okładkę: Duda zdziera swą dudzią maskę, a spod spodu wyłania się fizjonomia Kaczora Dyktatora. Nie pomogło wtedy, nie pomoże i teraz.

Rafcio obiecał też, że gdy zostanie prezydentem Polski, raz w miesiącu będzie odpowiadał na wszystkie pytania dziennikarzy. Ej, naprawdę? Wszystkie? To my mamy pierwsze: Dlaczego nie odpowiadał na wszystkie pytania dziennikarzy jako prezydent Warszawy?

Z zaciekawieniem odnotowujemy pojawienie się w kampanii prezydenckiej elementów zwierzęcych. Co prawda czekamy na prawdziwe zezwierzęcenie, ale na razie i odzywka Szymona Hołowni dobra. A odzywka brzmiała: „Partie polityczne są jak kobry". Nie jesteśmy pewni, jak to rozumieć. Rozmnażają się podczas pory deszczowej? Mają kaptury z tyłu łba? Atakują w okresie godowym?

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

To nie bój z prezydentem Dudą, tylko z Kaczyńskim – ogłosił Rafcio. Odgrzewane kotlety. Nie pomogło w 2015 r., nie pomoże i teraz

Domyślamy się, że Szymon jest przeciwko kobrom. Ponieważ nie sądzimy, by potrafił usypiać je, grając na fujarce, podejrzewamy, iż sam siebie widzi jako ichneumona. Riki-tiki-Szymon, trawestując imię jednego z bohaterów „Księgi dżungli". Ichneumon „umiał nastroszyć ogon tak, że wyglądał jak przyrząd do czyszczenia butelek" – pisał Rudyard Kipling. Sądzimy, że Szymon też tak potrafi. Ichneumon „jest od głowy do końca ogona owładnięty ciekawością. Hasłem całego rodu jest: »Szukaj, a znajdziesz«!" – pisał Kipling. Niestety, wciąż nie wiemy, czego szuka Szymon.

Z życia adwokatury. Wiewiórki opowiadają, że Człowiek Zwany Koniem, popularny jako mecenas Eine Totalopposition i znany jako były wicepremier za pierwszego PiS, nabył willę w Toskanii. Nie wierzymy w te plotki, bo wiemy, że wstrętny reżim PiS-owski strasznie prześladuje Romana, zatem z czego niby miałby uskładać?

Nas ciekawi pytanie podstawowe: Czy toskańska willa posiada jacuzzi? Jeśli nie posiada, to Misiek Kamiński będzie przyjeżdżał raczej niechętnie. Ma do kąpieli z bąbelkami słabość. Na wyjazdach do Zakopanego okupują z Romanem jacuzzi jak para syrenek. Na wypadek gdyby jacuzzi w Toskanii było, podpowiadamy, żeby powiesić nad nim portret. Tylko czyj – Tuska czy Pinocheta?

Niespodziewany brutalny cios wymierzony został w kampanię Władka Kosiniaka-Tygrysa. Mimo że od lat powtarza, jak to buduje mosty między Polakami, budowę nowego mostu na Wiśle w Wilczkowicach Górnych zainaugurował prezydent Andrzej Sebastian. Cóż za podstępne uderzenie.

eprasa.pl 7463047971

Apropos podstępnych uderzeń. Jak zawsze przed wyborami na strzelnicy przy Czerskiej uaktywniły się cyngle. A właściwie cyngielki Kondzińska i Szpala. Agora wydała ich książkę „Prezes i Spółki. Imperium Jarosława Kaczyńskiego". Książka reklamowana jest zachętami mistrzów. „Reportaż z polskiej stajni Augiasza" (Adam Michnik). „Jarosław Kaczyński zafundował Polsce złośliwy nowotwór" (Tomasz Lis). Ech, gdzie te czasy, kiedy Agora powoływała się na rekomendacje noblistów albo przynajmniej profesorów francuskich uniwersytetów...

Jeszcze o okolicach Agory. Jak wiadomo, wiaty, w których powieszono hejtplakaty wymierzone w ministra Szumowskiego, należą poprzez AMS właśnie do Agory. Okazało się, że plakaty zawieszali tzw. aktywiści, w tym jeden gość pisujący do „Wyborczej". Dyscyplina korporacyjna musi być jednak słaba, bo w odróżnieniu od „Gazety" ludziom z AMS udało się zeznać prawdę. A zeznali, że tzw. aktywiści nie tylko włamali się do wiat, lecz także wyciągnęli z nich stare, legalnie zawieszone plakaty. I tu robi się pięknie. Bo widzicie, zarzut trzeba było zmienić ze zwykłego włamania na włamanie z kradzieżą. Różnica? Za to pierwsze można beknąć do pięciu lat, za to drugie już lat 10.

Wiewiórki opowiadają, że Człowiek Zwany Koniem, popularny jako mecenas Eine Totalopposition, nabył willę w Toskanii

W czasach pandemii wszyscy są zdalni, internetowi i w ogóle wirtualni. Moda ta dotknęła także janczarów Leszka Balcerowicza z Forum Obywatelskiego Rozwoju. FOR w chwilach wolnych od wzywania UE do karania Polski przygotował wirtualne muzeum 4 czerwca, by uczcić wiekopomną chwilę z 1989 r. Już pierwsze zdanie reklamujące przedsięwzięcie brzmi bosko: „Polska wkraczała w rok 1989 jako partyjna dyktatura z centralnie sterowaną gospodarką. Gdy kończył się grudzień, była już wolnorynkową demokracją". Jakie proste, prawda? Pstryk – i już!

Głupia sprawa. Wybory z 4 czerwca, choć przełomowe, nie były wolne. Zatem z pewnością Polska nie była wtedy jeszcze demokracją. Plan Balcerowicza wdrożono od 1 stycznia 1990 r., więc nie była demokracją wolnorynkową, gdy kończył się grudzień 1989 r. Rację zatem ma Agata Stremecka, prezes FOR, gdy ogłasza: „Przeanalizowaliśmy wszystkie podręczniki do historii i WOS. Historia transformacji jest w nich ujęta zdawkowo albo wręcz nieprawdziwie". Tyle że nie przejrzeli, biedacy, historii transformacji według FOR.

Na koniec o pieniądzach. W CBA powiesili na stronie internetowej oświadczenia majątkowego nowego szefostwa. Nie poprawiło to nastrojów pod Dziewiątkami, jak swoją firmę nazywają funkcjonariusze Biura z Al. Ujazdowskich 9. Szeregowych agentów składających grosz do grosza wcale nie pociesza to, że dyrektorzy u Trzaskowskiego w stołecznym ratuszu zarabiają jeszcze lepiej. ©℗

REKLAMA

Akcja dezinformacyjna
„TRUST"
pierwowzór późniejszych akcji sowieckich służb wywiadu
Poznaj schemat w jakim Rosjanie działają od lat!

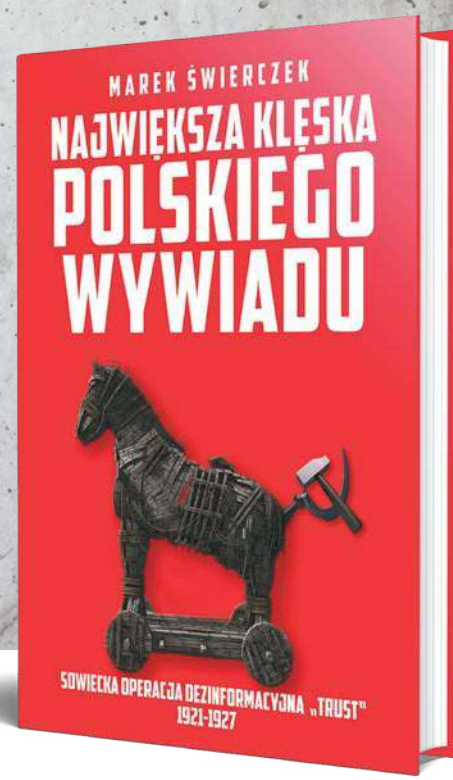

KSIĄŻKA DO KUPIENIA NA: WWW.XLM.PL

PATRONAT MEDIALNY:
HISTORIA.ORG.PL
HISTORYKON.PL

eprasa.pl 7463047971

Piotr Semka

Amerykańscy, europejscy i wreszcie polscy postępowcy przełamali kolejne tabu. Pokojowy protest przestał być uważany za jedyny dozwolony moralnie środek w warunkach demokracji. Raz złamane tabu wykluczenia przemocy nie jest już żadną barierą przed radykalizmem

Plądrowanie płonącego sklepu monopolowego w Minneapolis. Po przeciwnej stronie ulicy mieści się siedziba policji FOT. TANNEN MAURY/EPA/PAP

Minęły trzy tygodnie od śmierci George'a Floyda, ofiary policyjnej interwencji w Minneapolis. Fala demonstracji i zamieszek, które w proteście przeciw śmierci Floyda przetoczyła się od tego czasu poprzez 750 miejscowości w USA, przeniosła się także na ulice miast w Europie, Azji i Australii. W gorący weekend 6–7 czerwca uliczne protesty zorganizowano w Berlinie, Bristolu, Brukseli, Kolonii, Londynie, Manchesterze, Marsylii, Nantes, Paryżu, Warszawie. W Bristolu tłum obalił i wrzucił do kanału pomnik zasłużonego dla miasta filantropa, ale i właściciela firmy handlującej niewolnikami. W Londynie doszło do starć z policją oraz osprayowania pomnika Churchilla i ofiar pierwszej wojny światowej. W Brukseli plądrowano sklepy. Mówimy więc o zjawisku globalnym, w którym sam incydent z Minneapolis odgrywał różną wagę.

Większość światowych mediów skupiła się na kwestii rasizmu jako powodzie wzburzenia czarnej społeczności i jej skarg. To problem realny i słuszna jest dyskusja na ten temat. Zdecydowanie mniej uwagi poświęcono znaczącej zmianie w dyskusji nad sposobami rozwiązywania problemów społecznych.

Amerykańscy, europejscy i wreszcie polscy postępowcy przełamali kolejne tabu. Pokojowy protest przestał być uważany za jedyny dozwolony moralnie środek w warunkach demokracji. Wielu publicystów lewicy uznało, że przemoc, kradzież i spontaniczne burzenie pomników bywają usprawiedliwione, jeśli są rewolucyjną odpowiedzią na stare i świeże krzywdy.

Cały dorobek zeszłowiecznych myślicieli opisujących pokojową „siłę bezsilnych", wskazujących, że demokracji nie da się pogodzić z agresją społeczną, i wywodząca się jeszcze od nauk Gandhiego ideologia protestu bez przemocy nagle zostały zepchnięte do lamusa.

Co więcej – między wierszami wielu komentarzy lewicowych politologów można było wyczytać nadzieję, że oto zbliża się powtórzenie rewolty z 1968 r., tym razem z udziałem nowego pokolenia.

Podobieństwa rzucają się w oczy. Wielkie fale rewolucyjne bardzo często zaczynają się od spektakularnych przypadków śmierci. W 1967 r. zastrzelenie w Berlinie Zachodnim lewicującego studenta Benno Ohnesorga przez policjanta zapoczątkowało niemiecką rewoltę 1968 r. W Ameryce zabójstwo Martina Luthera Kinga sprowokowało czarną społeczność do wielkich demonstracji i dało argumenty radykałom, np. ruchowi Czarnych Panter.

Teraz śmierć George'a Floyda dała asumpt do fali protestów, ale i wandalizmu na podobną skalę.

O ile jednak w 1968 r. zajścia były głównie wynikiem oddolnej rewolty pokoleniowej i polityczno-obyczajowej, a kwestie rasowe znalazły się, przynajmniej w Europie, na drugim planie – o tyle teraz kwestie rasowe dominują. Wynika to z tego, że kraje Europy Zachodniej są w znacznie większym stopniu krajami z dużymi grupami imigrantów.

eprasa.pl 7463047971

Doktryna usprawiedliwień

Oczywiście są różnice. W amerykańskich demonstracjach kwestia protestów przeciw pozostałościom rasizmu i brutalności policji (w artykule „Rasizm urojony" na str. 22 odnosi się do nich Łukasz Warzecha) splotła się z kampanią na rzecz odsunięcia Donalda Trumpa od władzy, którą prowadzi porozumienie demokratów i patchworkowy sojusz organizacji obywatelskich i lewicy. Wszystkie te siły wsparły rewoltę po śmierci Floyda jako element antytrumpowskiej wojny, ale ceną za to była wielka wstrzemięźliwość w krytyce zajść i rabunków, które towarzyszyły pokojowym demonstracjom. Na ostrość protestu na pewno nałożyły się okoliczność o wiele silniejszej skali zachorowań na koronowirusa w czarnej populacji i frustracje związane ze skokiem bezrobocia.

Wszystko to razem sprawiło, że nad podpaleniami, atakami na policjantów i burzeniem pomników media rozpięły parasol ochronny. Mało kto zadawał pytania, w jakim stopniu wybuch czarnej przemocy był potwierdzeniem klęski akcji afirmacyjnej mającej zapewnić awans ludności murzyńskiej. Nikt też nie pytał o odpowiedzialność samej czarnej społeczności za tolerowanie modeli aspołecznego zachowania, np. ganstarap czy niepisanej zasady niewspółpracowania z policją przeciw czarnym gangom.

Co ciekawe, w Europie, gdzie podobnych do Ameryki źródeł rasizmu jest znacznie mniej, rewolta w Bristolu, Londynie czy Brukseli wybuchała z niewiele mniejszą siła. Tu przyłączyli się anarchiści czy Antifa, która podpalała Hamburg z okazji szczytu G7. W USA jednak czy częściowo w Europie radykalna lewica pokazała się znów jako autonomiczna siła zdolna, by sprawnie wykorzystać politycznie niezadowolenie imigrantów i przyciągnąć do protestów także grupy rdzennych Europejczyków lękających się o przyszłość ekonomiczną lub uznających – tak jak w Polsce – walkę z rasizmem za swój postulat.

Pośrednim efektem tego skupienia się na krzywdzie Afroamerykanów i śmierci Floyda było jednak bardzo oszczędne

eprasa.pl 7463047971

informowanie o liczbie ofiar zamieszek za oceanem i okolicznościach ich śmierci.

Według danych z 8 czerwca br. w niepokojach w USA zginęło aż 21 osób. Część z nich to ofiary strzelanin, w których nie wiadomo, kto od czyjej kuli zginął, część to właściciele sklepów broniący swojej własności i wreszcie ofiary strzałów oddanych przez policję. Dla przeciwników odreagowywania poczucia krzywdy poprzez zamieszki i plądrowanie najbardziej bulwersujące są przypadki zastrzelenia właścicieli sklepów lub ich ciężkiego pobicia. Dla ruchów protestu demonstranci lub szabrownicy, którzy zginęli z rąk policji, są kolejnym dowodem rasizmu z jej strony.

PRZEMOC? ZROZUMIAŁE

Jak publicyści lewicy wytłumaczyli złamanie dotychczasowych tabu? Jak zrelatywizowali stosowanie przemocy i rabunki? Podzielmy tę kwestę na opis trzech typów usprawiedliwień.

USPRAWIEDLIWIANIE PRZEMOCY. Zazwyczaj zabieg ten dokonywany jest nie wprost, ale na zasadzie używania zbiorczych określeń typu „protesty". Nie sposób ustalić, czy mowa o pokojowych demonstracjach, czy także o biciu ludzi, policjantów oraz plądrowaniu. Sprawę ułatwia emocjonalny slang w stylu „trudno się dziwić", „gniew musiał wybuchnąć", „sto razy bardziej interesują mnie przyczyny złości tych ludzi".

Profesor filozofii Uniwersytetu Harvarda dr Cornel West tak komentuje falę niepokojów w USA: „Dziękuję Bogu, że ci ludzie są na ulicach. Czy w ogóle można sobie wyobrazić, że wydarza się taki lincz, a ludzie pozostają na niego obojętni? Ludzi ma to nie obchodzić? Mają być bezduszni?".

West w rozmowie nazywał administrację Trumpa „neonazistowską". Demonizowanie i słowne uskrajnianie przymiotników w stosunku do demokratycznie wybranej głowy państwa było w czasie zajść dodatkowym sposobem usprawiedliwiania przemocy. Działo się to poprzez sugestię: skoro rządzą nami faszyści, to każdy rodzaj oporu jest moralnie usprawiedliwiony.

Inny sposób relatywizacji przemocy zaprezentował Jan Radomski, doktorant na Wydziale Socjologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, zajmujący się analizą dyskursu. W tym wypadku krytycyzm Polaków wobec przemocy za oceanem stara się rozbroić poprzez porównanie zajść z polskimi powstaniami, które mają w naszej tradycji pozytywne konotacje. A samą przemoc bagatelizuje poprzez sprowadzenie konfliktu do błahego „wyniesienia ze sklepu pary butów".

Radomski pisze: „W Polsce reakcja na protesty po śmierci George'a Floyda jest aż nazbyt przewidywalna. Z gąszczu medialnych informacji polscy obrońcy tradycji i porządku wychwycili tylko kilka momentów, przez co każdą wiadomość o zamieszkach w USA komentują słowami oburzenia. A to na malowanie napisu na pomniku Tadeusza Kościuszki, a to na łamanie prawa przez grupki protestujących, którzy wynoszą ze sklepów buty. Jakbyśmy zapomnieli, że nasza historia napędzana była podobnymi zrywami, w których przemocą odpowiadaliśmy na przemoc. Za niektóre z nich odpowiedzialny był zresztą sam Kościuszko".

USPRAWIEDLIWIANIE KRADZIEŻY. Ten sam Radomski za niedorzeczny uznaje krytycyzm nawet tych, którzy akceptując demonstracje antyrasistowskie, jednocześnie krzywią się na plądrowanie sklepów: „Z kradzieżą jest jednak inaczej. Ten akt zrzuca się bowiem na karb wandalizmu i bagatelizuje się, tak jakby z przekazem protestów nie mógł mieć nic wspólnego. Dla jednych więc kradzież przekreśla protesty (»to nie są żadne protesty, ale pretekst, żeby demolować i kraść!«), a inni wspierają je pomimo kradzieży (»niech protestują, ale z tymi butami to już przesadzili!«). Tradycyjnie odzywają się też bezrefleksyjni obrońcy wolnego rynku, którzy podniesienie ręki na własność prywatną uważają za przejaw największej zniewagi.

Paradoks tkwi w tym, że ci, którzy tak ochoczo bronią kapitalizmu, tak naprawdę niewiele o nim wiedzą. Kapitalizm nie spadł z nieba, a jego mechanizmy nie wyrosły z nicości – współczesna gospodarka nie przez przypadek oparta jest na hegemonii białego człowieka. Oczywiście możemy dyskutować, czy rasizm jest naturalną konsekwencją kapitalizmu czy uniwersalnym złem, które w różnych czasach przybiera inną formę.

Jakkolwiek jest, kradzież nie jest pustym wandalizmem, ale ważnym symbolem tych protestów".

I dalej: „Kradzież nie jest tu zwykłym wandalizmem, a ważnym głosem w dyskusji o przemocy, rasizmie, ekonomii i nierównościach. Protestujący i protestujące pokazują, że chcą żyć w sposób, jaki znają jedynie z telewizyjnych reklam, w których paradoksalnie często główne role grają czarni sportowcy".

Wyjątkowo perfidną metodą bronienia zniszczeń, których dokonali amerykańscy demonstranci, był mem z kręgów polskiej lewicy ze znanym zdjęciem robotników Gdyni niosących na drzwiach w Grudniu 1970 r. zwłoki zabitego kolegi. Kpiarski napis miał parodiować głosy sprzeciwu wobec zachowania demonstrantów: „To tragedia, że zginął człowiek, ale kradzież drzwi to przesada".

USPRAWIEDLIWIANIE NISZCZENIA POMNIKÓW. W tej kwestii Polaków – z naturalnych względów – najbardziej oburzyło wysprayowanie pomnika Kościuszki. W Ameryce fala protestów zakończyła się niszczeniem ostatnich stojących na Południu pomników wodzów Konfederacji z lat amerykańskiej wojny secesyjnej. W Wielkiej Brytanii najbardziej spektakularne było obalenie i wrzucenie do kanału pomnika Edwarda Colstona – XVIII-wiecznego filantropa, ale i kupca wzbogaconego na handlu niewolnikami. W Londynie epitetem „rasista" obmalowano pomnik Churchilla.

W sprawie pomników Kościuszki (bo warszawski pomnik też wymalowano) polska lewica natychmiast efektownie odbiła piłeczkę, twierdząc, że gdyby naczelnik żył, to w ramach solidarności z protestującymi nie miałby nic przeciwko pomalowaniu sprayem swego monumentu. Argument sprytny, bo niesprawdzalny. Jakub Majmurek, czołowy publicysta polskiej nowej lewicy, wystąpił z wyrazistą tezą: „Trzeba czasem zniszczyć ten czy inny pomnik dla dobra demokracji". Majmurek wskazuje: „Czy logika oddolnej, ludowej przemocy nie zastępuje tu logiki demokratycznej deliberacji, gwarantującej każdemu prawo do przedstawienia swoich racji? W ten sposób do sprawy podszedł lider brytyjskich laburzystów Keir Starmer, który powiedział, że posąg Colstona powinien już dawno zostać usunięty z ulic Bristolu – ale w wyniku demokratycznej debaty na forum odpowiednich miejskich instytucji, nie w taki sposób, w jaki odbyło się to w weekend.

Zgadzając się co do zasady ze Starmerem, trzeba jednak przyznać, że czasem normalne kanały demokratycznej dyskusji nie działają. Wieloletnie wysiłki aktywistów, by zrobić porządek z pomnikiem, odbijały się od ściany. Jak widać, czasem, by otworzyć demokratyczną de-

eprasa.pl 7463047971

batę o historii, potrzebny jest gwałtowny, ikonoklastyczny gest".

Majmurek puentuje swój tekst tak: „Pomnikowy ikonoklazm, jakkolwiek byłby gwałtowny, służy czasem jako sensowny punkt wyjścia do historycznej rozmowy. [...] Ikonoklazm, który obserwowaliśmy w całej Europie w weekend, zarówno uśmierca, jak i ożywia posągi. Zwala je z cokołów, ale jednocześnie z martwej historycznej skamieliny wydobywa żywy głos, ważny dla naszej demokratycznej debaty. A więc rozumiejąc wszystkie zastrzeżenia do aktów spontanicznej, ikonoklastycznej przemocy, przyznajmy, że dla dobra demokratycznej rozmowy czasem trzeba zburzyć ten czy inny pomnik".

wia Łukasza Szumowskiego. W opinii obrońców żurnalisty z „GW" to, czy łamał prawo, schodzi na dalszy plan. Ważne, że było to aktem walki z ksenofobicznym rządem.

„DALEJ, MŁODZI PRZYJACIELE..."

Jakie nadzieje wiążą lewicowcy z ewentualną rewolucyjną falą, której próbką były czerwcowe demonstracje od Los Angeles do Brukseli?

Oczywiście zależy od stopnia radykalizmu. Aktywiści Antify w USA czy w Europie widzą w zajściach zapowiedź wielkiej rewolucji, która zmiecie stary ład i wprowadzi nowy, w którym zasady sprawiedliwości społecznej będą rozumiane w myśl neomarksistowskich utopii.

przekonujący obraz demokratycznego gniewu. I jego mobilizacyjnej siły.

Podobne demonstracje, choć z większym udziałem starszych pokoleń, przetaczają się przez świat, od Londynu przez Paryż, Tunezję do Australii. Wszędzie zainspirowały je protesty w USA po tym, gdy biały policjant zadusił kolanem czarnego George'a Floyda. Zarówno ostatnie słowa zabitego: »Nie mogę oddychać«, jak i dawniejsze hasło: »Black lives matter« (»Czarne życie ma znaczenie«) stały się zawołaniami światowych demonstracji. Ale choć wszędzie protestujący przywołują amerykańskie, antyrasistowskie hasła, to zawsze odnoszą się do problemów własnych zbiorowości".

Kondensując wywód Beylina – protest przeciw śmierci Floyda w innych krajach winien się rozwijać, przybrać ostre formy na rzecz realizacji lokalnych problemów. W Polsce na krótką metę to obalenie PiS, ale nie tylko. Etykietka faszysty i ksenofoba to dla lewicy skuteczna broń wobec każdego, kto staje jej na drodze do ideologicznego monopolu. Równie łatwo można wyobrazić sobie gwałtowne protesty pod hasłem „Arcybiskup Jędraszewski do dymisji", „Znieść bariery blokujące imigrację uchodźców". W razie eskalacji radykalizmu można głosić, że jeśli dana biblioteka zaprosi na spotkanie autorskie Rafała A. Ziemkiewicza, to niech się nie zdziwi, że potem tłum młodych ludzi ją podpali. Dlaczego nie? Raz złamane tabu wykluczenia przemocy nie jest już żadną barierą przed radykalizmem.

Być może dla niektórych ideologów postępu impulsem do akceptowania ewentualnej młodzieżowej rewolty było dojście do władzy PiS w Polsce i Fideszu Orbána na Węgrzech. Skoro perswazyjna rola elit, mediów i struktur europejskich okazała się zbyt mało skuteczna jako narzędzie blokady sukcesów partii tożsamościowych, to może czas na powtórkę z maja 1968 r., aby przeorać społeczeństwa i zapewnić dalszą emancypację mas.

Tak jak Lenin widział w chłopach pragnących dobytku ziemian i żołnierzach zmęczonych wojną siłę do osłabienia starego ładu – tak zwolennicy dominacji ideologii lewicy będą uważnie obserwować ostatnie niepokoje w świecie Zachodu, podobnie jak czynią to analitycy chińscy i rosyjscy.

Obserwujmy te nowe tendencje z uwagą, bo to konserwatyści będą pierwszymi, którym taka rewolta będzie chciała zamknąć usta.

Lewica instytucjonalna w formie czy to Partii Demokratów, czy europejskich ugrupowań dystansuje się od przemocy, ale ją relatywizuje. Można odnieść wrażenie, że w szerszym planie niektórzy liczą, że po jakiejś nowej wielkiej rewolcie wyłoni się społeczeństwo jeszcze bardziej przechylone na lewo

Wszystkie opinie, które zacytowałem, nie są bynajmniej opiniami kogoś z marginesu życia intelektualnego. Głoszą je ludzie mający naukowe tytuły, robiący kariery na uniwersytetach i bez żadnego problemu zapraszani do studiów telewizyjnych. A jednak wiele z ich sposobu myślenia nie różni się od myślenia bolszewików u progu rewolucji w Rosji. Przypomina się hasło: „Grab zagrabione", które było pozwoleniem na masowe niszczeniae życia i dorobku innych ludzi.

Jeszcze bardziej niepokojący jest jednak powrót marksistowskiego dogmatu: uświadomiona mniejszość z racji słusznego statusu klasowego jest wyjęta z oceny moralnej. Większość ma się do tych działań bez protestów dostosować. A kwestia naruszania prawa jest relatywna zależnie od tego, czy uznajemy powody łamania prawa za postępowe czy nie. W tym sensie bohaterami nowych czasów jest dwóch znanych adwokatów z Nowego Jorku, których zatrzymano za rzucanie koktajlami Mołotowa w policję. W Polsce, gdzie na razie jest spokojniej, herosem nowej ery może być dziennikarz, współpracownik „Gazety Wyborczej", który miał włamywać się (?) do wiat przystankowych, by rozklejać plakaty zniesławiające ministra zdro-

Lewica instytucjonalna w formie czy to Partii Demokratów, czy europejskich ugrupowań dystansuje się od przemocy, ale ją relatywizuje. Można odnieść wrażenie, że w szerszym planie niektórzy liczą, że po jakiejś nowej wielkiej rewolcie, która przeora mentalnie zachodni świat, wyłoni się społeczeństwo jeszcze bardziej przechylone na lewo z młodzieżą jako awangardą zmian. Oznaczać to może jeszcze mocniejsze zepchnięcie centrum i konserwatystów do narożnika. Niszy, w której „reakcję" kontrolować będzie system przepisów o walce z mową nienawiści, homofobią i rasizmem. Planistom zmian społecznych przestaje już wystarczać np. linia chadecji akceptująca powoli wynalazki społeczne. Lewica po nowej rewolcie może widzieć w marzeniach nowe społeczeństwo, w którym wartości konserwatywne będą powoli wyjmowane spod prawa.

Marek Beylin z „Gazety Wyborczej" wspominając o setkach polskich demonstrantów, pod bojowym hasłem „Rasiści i ksenofobi, uważajcie. Młodzi idą po was!", pisze: „Oczywiście, to nie jest większość. Ale tysiące osób, przeważnie młodych, które w weekend demonstrowały w wielu polskich miastach przeciw rasizmowi, przemocy policyjnej i państwowej oraz za równością, stworzyły

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7463047971

Łukasz Warzecha

Rasizm urojony

Stwierdzenie, że czarni Amerykanie popełniają przestępstwa częściej niż przedstawiciele innych grup w stosunku do tego, jaką część społeczeństwa stanowią, nie jest przejawem rasizmu, tylko zwykłym stwierdzeniem faktu

Jeśli burmistrz Minneapolis ugnie się przed radnymi, w mieście, w którym zginął George Floyd, może nie być policji. Rada miasta zdecydowała o zaprzestaniu finansowania miejscowej organizacji policyjnej (w USA miasto czy powiat może mieć własną policję). W radzie miejskiej Minneapolis w obecnej kadencji większość ma Demokratyczna Partia Rolniczo-Robotnicza (Democratic Farmer-Labor Party – DFL), stowarzyszona z Partią Demokratyczną. Ma w 13-osobowym gremium 12 miejsc. Trzynaste należy do Zielonych. To znaczy, że miastem niepodzielnie rządzi lewica, i to od początku 2018 r.

Na fali populistycznego wzburzenia radni Minneapolis chcą z policji w ogóle zrezygnować. Reporter CNN pytał niedawno Lisę Bender, przewodniczącą rady miasta, co w praktyce ma oznaczać zaprzestanie finansowania policji. Wyjaśniła, że policja ma zostać rozwiązana, a w zamian ma powstać „nowy model wspólnotowego bezpieczeństwa". Reporter dopytywał, na czym to ma polegać. Bender odrzekła, że w związku z kryzysem trzeba będzie przyciąć budżet, a ona już w przeszłości doprowadziła kilkakrotnie do przesunięcia funduszy z policji do „opartych na społecznościach strategii bezpieczeństwa". Dalej tłumaczyła, że z analizy telefonów na numer alarmowy 911 (amerykański odpowiednik 112 i 997) wynika, że ludzie potrzebują głównie pomocy psychologicznej, a nie policyjnej.

CZYM TO GROZI

Jeżeli decyzja o rozwiązaniu policji miasta Minneapolis zostanie faktycznie podjęta, nietrudno się zorientować, co stanie się dalej. Pierwszą konsekwencją będzie natychmiastowy wzrost przestępczości. Mam nadzieję, że po jakimś czasie zostaną upublicznione nagrania z numeru 911, gdy ktoś będzie dzwonił ze zgłoszeniem, że włamują mu się do domu, a w odpowiedzi usłyszy kojący głos zaangażowanego przez miasto psychologa, doradzającego spokój i ćwiczenia oddechowe.

Druga konsekwencja to wzrost sprzedaży broni palnej – obywatele słusznie uznają, że będą musieli bronić się sami. Trzeci skutek to wypełnienie próżni po rozwiązanej policji. Będą to, po pierwsze, prywatne formacje ochroniarskie, w których zapewne znajdą zatrudnienie zwolnieni policjanci. Te staną się rodzajem prywatnej policji, chroniącej tych, których na to będzie stać. Powstaną też popularne w Stanach Zjednoczonych straże obywatelskie (vigilantes), będące zwykle solą w oku lewicy, ale też faktycznie mające w historii USA kilka niemiłych epizodów. Najsłabiej na tej sytuacji wyjdą najubożsi, a już zwłaszcza Murzyni chcący żyć spokojnie i uczciwie.

Protesty Black Lives Matter wywołają też inny fatalny skutek już w skali całych Stanów Zjednoczonych. Przedsmak tego mogliśmy zobaczyć przy okazji incydentu z Buffalo, gdzie funkcjonariusz grupy szybkiego reagowania popchnął mocno starszego mężczyznę, zastępującego mu drogę. Mężczyzna upadł, uderzył głową o chodnik, znalazł się w szpitalu. Dwaj policjanci zostali w związku z tym incydentem zawieszeni (bez poborów) i oskarżeni o pobicie – do czego się nie przyznają, tłumacząc, że wykonywali rozkazy zastępcy komendanta policji w mieście. Zaraz po ich zawieszeniu z pracy w oddziale zrezygnowali wszyscy należący do niego funkcjonariusze (w liczbie 57). Tu pojawiły się sprzeczne wyjaśnienia. Związek zawodowy policjantów oznajmił, że rezygnacja jest wyrazem protestu przeciwko potraktowaniu zawieszonych kolegów. Tymczasem wkrótce potem pojawiły się w mediach głosy samych funkcjonariuszy, że to nieprawda: głównym powodem rezygnacji miała być informacja o wycofaniu wsparcia prawnego przez związek zawodowy i miasto.

eprasa.pl 7463047971

To może być początek fali. W USA, gdzie przed sąd można trafić z naprawdę banalnych powodów za sprawą pozwu cywilnego, policjanci muszą mieć pewność, że ktoś zapewni im pomoc prawną. Ta bywa rujnująco droga. Tymczasem miasta sparaliżowane nową poprawnością polityczną wymuszoną przez BLM mogą zacząć wycofywać wsparcie prawne dla policjantów szczególnie w przypadku spraw, w których ofiarą będzie Murzyn, a funkcjonariuszem biały.

Skutki będą dwojakie. Pierwszy to masowe odejścia ze służby – tak jak w Buffalo, które zostało w tej chwili bez oddziału szybkiego reagowania. Drugi – policjanci, którzy pracy nie rzucą, zwłaszcza ci biali, będą woleli przymknąć oko na przestępstwa popełniane przez czarnych.

Policja i protestujący w Nowym Jorku, 1 czerwca 2020 r. FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

KTO JEST OFIARĄ?

Jednak – jak twierdzą zwolennicy ruchu BLM – wszystko to jest jedynie reakcją na systemowy rasizm amerykańskiej policji. Problem w tym, że tezy o systemowym rasizmie nie potwierdzają żadne dane. Według oficjalnych amerykańskich statystyk wiktymizacyjnych za 2018 r. czarni stanowili 12 proc. populacji, ale aż 21,7 proc. sprawców przestępstw z użyciem przemocy oraz 10,8 proc. ofiar. Warto te dane porównać z liczbami dla trzech pozostałych największych grup etnicznych w USA. Biali to 62,3 proc. populacji, 50,2 proc. sprawców i 66,5 proc. ofiar. Czyli biali są sprawcami w mniejszym odsetku, niż by to wynikało z ich liczby w całym amerykańskim społeczeństwie, za to częściej stają się ofiarami przestępstw. Latynosi stanowią 17,1 proc. populacji, są sprawcami 14,4 proc. przestępstw oraz ofiarami w 13,9 proc. Azjaci to 6,3 proc. populacji, 2,5 proc. sprawców i 4,2 proc. ofiar. Trzeba podkreślić, że są to badania wiktymizacyjne, a więc najwiarygodniejsze z tych, które można przeprowadzić, wykraczające poza suchą policyjną statystykę.

Stwierdzenie, że czarni Amerykanie popełniają przestępstwa częściej niż przedstawiciele innych grup w stosunku do tego, jaką część społeczeństwa stanowią, nie jest przejawem rasizmu, tylko zwykłym stwierdzeniem faktu. Jeśli zaś ten fakt sobie uświadomimy, to w innym świetle zobaczymy dane, którymi żonglują zwolennicy ruchu Black Lives Matter, również w Polsce. Jedno z zestawień stało się szczególnie popularne po tym, jak w zmanipulowanym tekście o politycznym kontekście śmierci George'a Floyda umieścił ją portal BBC. Pokazuje ona porównanie odsetka śmiertelnych postrzeleń przedstawicieli poszczególnych grup etnicznych przez policję w USA z procentem, jaki te grupy stanowią w populacji (dane są za 2019 r., stąd nieco różnią się od tych w poprzednio cytowanym zestawieniu). Biali stanowią zatem 36,8 proc. ofiar policyjnej broni i 60,4 proc. populacji. Czarne ofiary to 23,4 proc. ogółu zastrzelonych, a 13,4 proc. populacji. Przesyłający sobie wykres prezentujący te dane twierdzą, że to niezbity dowód na rasizm amerykańskiej policji. Tymczasem jedyny wniosek, jaki z tego zestawienia można wyciągnąć, to ten, że policjanci mają częściej powody, aby strzelać – i zabijać na miejscu ze względu na stwarzane zagrożenie – właśnie czarnych niż białych. Jest to zatem raczej potwierdzenie hipotezy, że czarnoskórzy Amerykanie popełniają przestępstwa częściej niż inne grupy etniczne. Wcześniejsza statystyka udziału Murzynów w ogólnej liczbie przestępstw z użyciem przemocy ten wniosek potwierdza.

Mało tego – inne badanie z 2015 r. może wskazywać, że rzekome uprzedzenie rasowe białych policjantów jest mitem. Naukowcy z Uniwersytetu Michigan i Uniwersytetu Stanu Maryland sprawdzili – analizując informacje medialne, statystyki i zadając pytania wielu departamentom policji – na ile skłonni są strzelać do przedstawicieli mniejszości rasowych policjanci o określonym profilu etnicznym. Okazało się, że czarnoskórzy funkcjonariusze chętniej strzelali do czarnych cywilów niż do białych, biali – do białych, a Latynosi – do innych Latynosów. Badanie było kwestionowane przez innych naukowców. Jeden z nich zaprezentował w tym samym roku opracowanie, z którego wynikało, że nieuzbrojeni Murzyni byli 3,5 razy bardziej prawdopodobnymi celami użycia broni przez policję niż biali. Tyle że to z kolei badanie nie uwzględniało koloru skóry strzelającego policjanta. A przecież bez tego czynnika stawianie tezy o uprzedzeniu rasowym jest kompletnie nieuprawnione. Uprzedzenie rasowe może mieć miejsce tylko wówczas, gdy policjant i zatrzymywany są odmiennych ras.

BRAK BADAŃ

Żeby stawiać jakiekolwiek tezy w kwestii domniemanego rasizmu amerykańskich policjantów, musielibyśmy dysponować wiarygodnymi danymi pokazującymi, że biali policjanci używali wobec czarnych szczególnie często nieproporcjonalnej do sytuacji przemocy, odsiewając wypadki, gdy wynikało to z uzasadnionej obawy, że jeśli nie zareagują ostro, sami padną ofiarą przestępcy. To nie usprawiedliwienie przekroczenia uprawnień, lecz wskazanie, że jego źródłem nie jest uprzedzenie rasowe, ale uzasadniona ogólnymi warunkami obawa o własne życie.

Takich całościowych badań jednak nie ma – również dlatego, że w systemie, w którym działa ok. 18 tys. oddzielnych formacji policyjnych, ich przeprowadzenie jest skrajnie trudne.

Lewicowych radnych w Minneapolis należałoby spytać, co zrobili przez ponad dwa lata swoich rządów, żeby naprawić tak podobno fatalną sytuację w tamtejszej policji. Stosując często przywoływaną przez lewicę retorykę, można by wręcz się zastanowić, czy nie mają krwi George'a Floyda na swoich rękach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7463047971

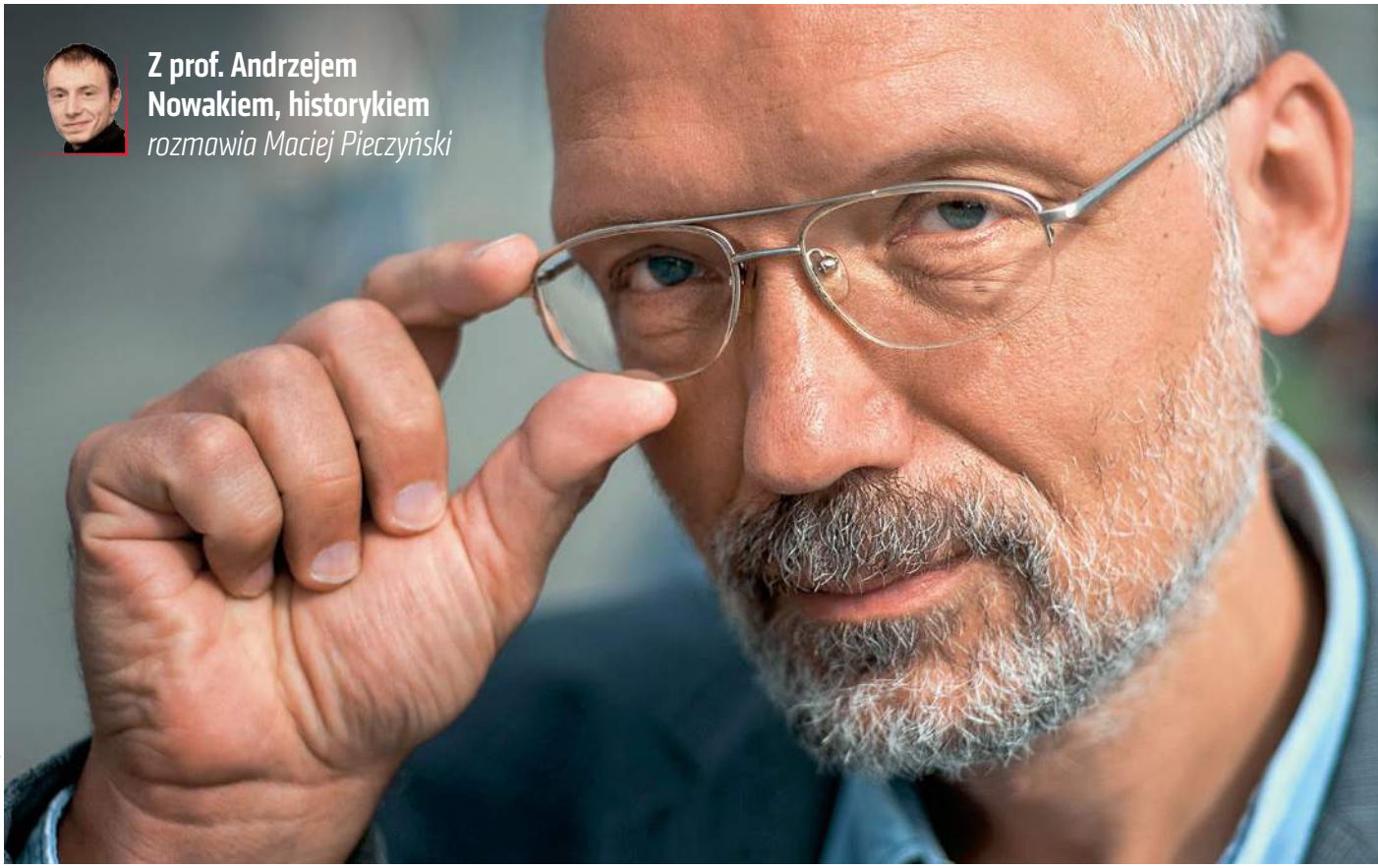

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

Z prof. Andrzejem Nowakiem, historykiem
rozmawia Maciej Pieczyński

Te wybory to starcie cywilizacji

MACIEJ PIECZYŃSKI: Jaka jest stawka nadchodzących wyborów prezydenckich?

PROF. ANDRZEJ NOWAK: Jest to część większego starcia o charakterze cywilizacyjnym. Po jednej stronie mamy do czynienia z neomarksistowskim walcem wizji „nowego wspaniałego świata". Przez ostatnie dziesięciolecia nieomal bez przeszkód przetaczał się on przez obszar, dziś coraz bardziej myląco nazywany cywilizacją zachodnią…

Czyli Andrzej Duda broni cywilizacji zachodniej przed neomarksizmem personifikowanym przez Rafała Trzaskowskiego?

Przeciw dalszym postępom machiny odgórnie wprowadzanego „postępu" narasta sprzeciw społeczeństw. Jego wyrazem stały się sukcesy odnoszone w wyborach przez PiS i Andrzeja Dudę, Trumpa w USA, Orbána na Węgrzech, Johnsona w Anglii. Jednym z powodów tego buntu jest nieskrywana już pogarda „postępowych elit" wobec mas zacofanych „proletów". Owe „elity" szczycą się wykształceniem, ale w istocie reprezentują agresywne barbarzyństwo. Albo nie znają go w ogóle, albo świadomie chcą zniszczyć fundament naszej cywilizacji: od dziedzictwa chrześcijaństwa i antyku, poprzez arcybogate, uformowane w nich tradycje starych narodów europejskich, aż do fundamentu najgłębszego, który stanowi samo istnienie rodziny – z ojcem i matką odpowiedzialnymi za wychowanie dzieci. Kandydat Platformy personifikuje wszystko to, co w oczach salonów Berlina, Paryża, Londynu czy Waszyngtonu tworzy współczesny kształt (anty)cywilizacji zachodniej: „snobizm i postęp". Do czego ten postęp zmierza, przypomina w swojej najnowszej książce Bronisław Wildstein, przytaczając apel rządu duńskiego do ONZ, aby zakazać używania określenia „prawo do życia", ponieważ może ono „stać w sprzeczności z prawami człowieka"...

Wybory są więc częścią starcia: „cywilizacja życia" versus „cywilizacja śmierci"? Nie brzmi to nazbyt patetycznie?

Brzmi wręcz histerycznie. Jednak w istocie taka może być stawka tych wyborów. Pamiętam, jak media szydziły z Andrzeja Dudy, gdy jeszcze jako prezydent elekt ratował hostię przed upadkiem na ziemię podczas mszy świętej. Sugerowano, że to był sztucz-

eprasa.pl 7463047971

ny, zainscenizowany gest. Tymczasem wszystko, czego można było się dowiedzieć o Andrzeju Dudzie przez pięć lat sprawowania przezeń urzędu, utwierdza w przekonaniu, że jest kimś, dla kogo przekazywane przez pokolenia dziedzictwo kultury chrześcijańskiej nie jest pustym dźwiękiem, ale wartością głęboko przeżywaną, wyniesioną z domu.

Takie symboliczne obrazy potwierdzają, że nie jest przesadą definiowanie osi politycznego podziału w Polsce w kategoriach sporu cywilizacyjnego.

To wciąż jednak tylko symbol. Ostatecznie przecież obóz polityczny Andrzeja Dudy nie rozprawił się z cywilizacją śmierci, nie wprowadził pełnej ochrony życia.

Odpowiedzią na tego typu zarzuty jest łacińskie przysłowie: „Tantum intende in republica, quantum tuis civibus probavi possis" – „Tyle zamierzaj w rzeczypospolitej, ile swoich obywateli możesz przekonać". Większość społeczeństwa opowiada się za utrzymaniem obecnego prawodawstwa. Ci, którzy występowali pod sztandarem pełnej ochrony życia, kończyli z wynikami wyborczymi na poziomie 1 proc. Bez poparcia społeczeństwa w demokracji nie da się nic zrobić. Jeśli ktoś zarzuca Zjednoczonej Prawicy, że nieskutecznie broni życia, to niech lepiej wylegitymuje się własnymi osiągnięciami na rzecz przekonania większości obywateli do całkowitego zakazu aborcji. Jeśli ktoś próbuje stawiać znak równości pomiędzy PiS a PO, to niech zada sobie pytanie: Czy gdyby przez ostatnie pięć lat prezydentem był polityk Platformy, to czy na pewno Polska wyglądałaby tak jak dziś? Czy nie widać choćby różnicy w dziedzinie polityki prorodzinnej czy historycznej?

Z pewnością polityka historyczna byłaby zupełnie inaczej prowadzona, o ile w ogóle. Tak czy inaczej, wracając do ochrony życia, tzw. kompromisu aborcyjnego nie zdecydowały się naruszyć ani PiS, ani PO, mimo że na poziomie retoryki jedna partia jest pro-life, druga – pro-choice. Co więc za różnica?

Ważne są nie tylko konkretne rozwiązania prawne, lecz także symbole, wzory zachowania, przykład dawany z góry przez polityka i jego otoczenie. Z jednej strony mamy Andrzeja Dudę, który podkreśla swoje przywiązanie do tradycji, wiary. Z drugiej strony warto wspomnieć jasną deklarację małżonki Rafała Trzaskowskiego, która zapowiedziała, że nie pośle dziecka do pierwszej komunii świętej, ponieważ Kościół jest instytucją skompromitowaną. Żaden grzech księdza czy hierarchy kościelnego nie może być dla dojrzałego chrześcijanina powodem, by zrezygnować z sakramentów, które dane są od Boga, a nie od kapłana. Jeśli więc decydujący pojedynek rozegra się pomiędzy Trzaskowskim a Dudą, to będziemy mieć wybór pomiędzy kimś, dla kogo polskie dziedzictwo chrześcijańskie to przeżytek do stopniowego zlikwidowania, a kimś, kto z przekonaniem stoi po stronie wielowiekowego doświadczenia cywilizacji chrześcijańskiej (kto nie rozumie tego pojęcia, ten niech poczyta Adama Mickiewicza – polecam!).

Jako prezydent Warszawy Trzaskowski mógł sobie pozwolić nie tylko na retorykę, lecz także na konkretne działania w duchu lewicowo-liberalnym. Chcąc zdobyć głosy większości Polaków, musi poszukać głosów w centrum. Również po ewentualnym zwycięstwie będzie musiał złagodzić swój lewicowy radykalizm, jeśli będzie chciał utrzymać poparcie. Może więc jednak nie rozjedzie Polski „neomarksistowskim walcem"?

Trzaskowski zapowiedział, że będzie „wypalał żelazem" to, co odziedziczył po PiS. Wierzmy mu na słowo. Można tę deklarację rozumieć również jako pewnego rodzaju wznowienie ofensywy ideologicznej. Jak gwałtownie będzie ona przebiegać, trudno powiedzieć. Że jednak będzie, co do tego nie mam wątpliwości.

Zdaniem większości komentatorów PO wymieniła nieudolną kandydatkę na kandydata sprawnego medialnie. Czy jednak chodzi wyłącznie o kwestie techniczne, czy może również o skręt ideologiczny? Włodarz Warszawy dużo silniej kojarzy się z postulatami lewicowymi niż Kidawa-Błońska.

Nie znam politycznej kuchni decyzji o wymianie kandydatów. Natomiast wydaje mi się, że radykalizacja ideologiczna w czasie wyborów jest zabiegiem ryzykownym. Lewicowa agenda w samej kampanii jest raczej obciążeniem dla kandydata. Trzaskowski daje Platformie większe szanse na zwycięstwo nie z powodów ideologicznych, lecz dlatego, że jest w tym „wyścigu" nowy, jest zmiennikiem zmęczonej kandydatki.

Rosną notowania prawicowej konkurencji Andrzeja Dudy. Krzysztof Bosak atakuje kandydata PiS za niewystarczający konserwatyzm. Niesłusznie?

Sukces PiS w wyborach 2015 r. zapewniło stworzenie dużego, pojemnego namiotu, pod którym mieszczą się zarówno ideowi konserwatyści, jak i wyborcy, którzy od władzy oczekują nie tyle rozwiązywania problemów światopoglądowych, ile po prostu uczciwszej polityki. Te tendencje często, choć nie zawsze są zbieżne. Jeśli chce się zdobyć ponad 50 proc. głosów, to nie sposób „obsłużyć" swoją ofertą tylko jednej grupy wyborców. Dlatego zawsze będzie zauważalne napięcie pomiędzy zestawami konkretnych wartości, sposobami ich realizacji itp. Należy jednak pamiętać, że wielce prawdopodobna jest druga tura, w której Andrzej Duda zmierzy się raczej nie z kandydatem Konfederacji, lecz z Rafałem Trzaskowskim, ewentualnie – z reprezentującym podobne poglądy co ten ostatni Szymonem Hołownią.

A wtedy konserwatysta będzie miał prosty wybór.

Nadzieje Trzaskowskiego na głosy zwolenników Konfederacji są mało realistyczne.

Pojawiają się głosy, że PiS i PO zamieniły się miejscami, jeśli chodzi o narrację. Platforma zeszła do rewolucyjnego podziemia i uderza w patos oblężonej twierdzy zagrożonej demokracji, zaś PiS stał się „partią ciepłej wody w kranie". Zgodnie z tą opinią Andrzej Duda mówi dziś językiem Tuska: „Nie róbmy polityki, budujmy CPK i przekop przez Mierzeję Wiślaną".

To bardzo powierzchowne podobieństwo. Dotyczy ono wyłącznie formy, nie treści. Rzeczywiście Donald Tusk lata temu głosił hasło „ciepłej wody w kranie". Tyle że miała to być woda, która przychodzi do Polski za pośrednictwem spółek francuskich czy niemieckich. PO nie opracowała żadnego poważnego programu wzmacniania siły gospodarczej Polski. Mieliśmy być jedynie podwykonawcą, peryferiami Europy. Tymczasem aktywność partii Kaczyńskiego w opozycji nie ograniczała się bynajmniej do haseł odwetu na Tusku. PiS już wówczas przygotowywał program wielkich inwestycji infrastrukturalnych, dzięki którym Polska miała zwiększyć siłę i podmiotowość swojej gospodarki, wyjść z pułapki tzw. rozwoju zależnego, stać się w tym znaczeniu środkowoeuropejską Koreą Południową.

Może to też jest stawką tych wyborów. Albo Polska będzie podwykonawcą, albo wykonawcą

eprasa.pl 7463047971

polityki i gospodarki. PO, co prawda, też inwestowała w rozwój infrastruktury, tyle że na osi Zachód-Wschód. PiS i Andrzej Duda to Międzymorze, via Baltica, via Carpatia, czyli oś Północ-Południe, przebiegającą wzdłuż państw o podobnym potencjale, wśród których Polska może odgrywać rolę lidera.

Otóż to. Wzmocnienie tej osi Północ-Południe jest w interesie Polski i całego regionu. Niekoniecznie zaś w geopolitycznym interesie leżących na osi Zachód-Wschód Niemiec i Rosji, które dla rządów Platformy były jedynie istotnym układem odniesienia. Nasz człowiek w Warszawie – nie bez powodu Kreml tak określał rolę Tuska.

W tym roku mija 100 lat od Bitwy Warszawskiej. Pamiętamy, jak dwa lata temu Rafał Trzaskowski zbojkotował defiladę, demonstracyjnie wybierając się na kiermasz książki. W tym roku może być podobnie. Czy to też jakiś rodzaj wyboru cywilizacyjnego?

To bardzo symboliczne porównanie. Trzaskowski w sposób perfidny przeciwstawił sobie dwie – jego zdaniem – wykluczające się wartości: kulturę, której mieni się być reprezentantem, oraz puste widowisko dla mas, jak postrzega najwidoczniej rocznicową defiladę. Próbuje w ten sposób dowieść swojej rzekomej wyższości nad przeciwnikami politycznymi. Wbrew intelektualnym ambicjom Trzaskowskiego opozycja, którą buduje, jest płytka, powierzchowna i oparta na stereotypach. Kultura to nie tylko, tak mocno podkreślana przez kandydata PO, znajomość języka francuskiego czy demonstracyjne odrzucanie tradycji w imię wyobrażonej przyszłości. To również żywa pamięć o dorobku poprzednich pokoleń, o naszych wielkich twórcach – o Kochanowskim, Mickiewiczu, Wyspiańskim, Leśmianie, Chopinie, Szymanowskim. To przezwyciężenie kompleksu nie tylko sarmackiego „pawia", lecz także „papugi" tzw. europejskich salonów. To wdzięczna pamięć o tych, którzy przez pokolenia budowali polski dom i bronili jego kultury przed najeźdźcami – tak jak ci, którzy 100 lat temu zatrzymali pod Warszawą nawałę bolszewicką. Właśnie dzięki nim pan Trzaskowski może słuchać wykładów po francusku w Kolegium Europejskim w Natolinie, w którym zresztą też mam przyjemność wykładać, tyle że po angielsku…

Jak wyglądałaby Polska po pięciu latach prezydentury Trzaskowskiego, a jak po drugiej kadencji Dudy?

Jak już zaznaczyłem, wybory te są częścią dużo większego obrazu. Na naszą przyszłość ogromny wpływ będą miały wyniki listopadowych wyborów prezydenckich w USA. Jeżeli wygra tam kandydat światowego „obozu postępu", wówczas Polsce nawet pod rządami Andrzeja Dudy trudno będzie utrzymać kurs na wzmacnianie suwerenności z solidnym oparciem w jak najlepszych stosunkach z amerykańskim sojusznikiem. Oczywiście może sam Donald Trump nie jest dobrą personifikacją konserwatywnych wartości, jednak na poziomie konkretnych decyzji wywiązuje się z obowiązków strażnika „cywilizacji życia" lepiej niż jego poprzednicy. Jeśli jednak w Polsce i w USA wygra kandydat „postępu", to zmiany mogą przyspieszyć. Rozpuścić naród w EUtopii, zlikwidować tradycyjną rodzinę i podział płciowy pod hasłem walki z „transfobią", „écrasez l'infâme" – czyli zlikwidować „czarnych", jak obóz „postępu" określa Kościół hierarchiczny: to nieskrywane cele tej zmiany. Jednak jest coś jeszcze. Stawką tych wyborów jest starcie pomiędzy piewcami rzeczywistości wirtualnej a obrońcami rzeczywistości realnej.

Wbrew intelektualnym ambicjom Trzaskowskiego opozycja, którą buduje, jest płytka, powierzchowna i oparta na stereotypach

Ta opozycja pokrywa się zresztą – odpowiednio – z opozycją „cywilizacji śmierci" oraz „cywilizacji życia". Życie nie jest w komputerze, w „necie", tylko w spotkaniu z prawdziwym człowiekiem w rzeczywistej przestrzeni. Jesteśmy świadkami próby zamiany rzeczywistości na jej wykrzywiony, wirtualny obraz, w którym rządzą emocje sztucznie wykreowane przez zarządców wielkich, globalnych mediów i opanowanego przez neomarksistów świata akademickiego. Doskonale widać to na przykładzie sytuacji w USA, gdzie protesty skrzywdzonych czarnoskórych obywateli zostały podchwycone i wykorzystane przez zwolenników radykalnej ideologii lewicowej, a sprzyjające im media próbują przedstawić apokaliptyczny obraz zamieszek jako swego rodzaju koniec starego świata.

Jednak wirtualizacja życia jest powszechna. Piotr Trudnowski z Klubu Jagiellońskiego stawia tezę, że za 10 lat kandydaci PiS i PO na prezydenta będą podobni do – najlepiej dziś radzących sobie w Internecie, jednocześnie bardzo radykalnych – Bosaka i Hołowni. Twardy, ultrakonserwatywny prawak stanie w szranki z rozemocjonowanym lewakiem, płaczącym nad konstytucją.

Nie chciałbym, by ta wizja się ziściła. Kto będzie odwoływać się tylko do emocji, czy po jednej, czy po drugiej stronie, ten zrezygnuje z przekonywania, odrzuci racjonalną, osadzoną w realnej rzeczywistości argumentację. A tym samym zamknie sobie drogę do zdobycia zaufania większości współobywateli. To jest też oś sporu: Czy wybieramy ten, czy inny ideologiczny radykalizm, czy też liczymy się z rzeczywistością i upominającymi się o jej poszanowanie wyborcami (także tymi z małych miast i wsi)? Tę drugą opcję reprezentuje właśnie Andrzej Duda. Projekty infrastrukturalne, które stały się częścią jego kampanii, bardzo dobrze wpisują się w tę odpowiedzialną politykę, która z jednej strony liczy się z nastrojami społecznymi, z drugiej zaś strony łączy pod swoim sztandarem ludzi różnych poglądów. Bo przecież CPK czy przekop Mierzei Wiślanej służyć będą wszystkim Polakom. To nie są wytwory jakiejś megalomanii czy fantazji PiS. To inwestycje od dawna planowane i właśnie wprowadzane w życie. Na tym przykładzie widać, że Andrzej Duda hołduje polityce pragmatycznej, dalekiej od ideologicznych urojeń, które dziś, niestety, święcą triumfy w dużej części „zachodniego" świata. Chodzi w tych wyborach o obronę przestrzeni sprawdzalności polityki, rozumianej tradycyjnie, w duchu wspomnianego wyżej łacińskiego powiedzenia, a nie ideologicznych konstruktów.

Czy ewentualna klęska Andrzeja Dudy będzie oznaczała początek końca „dobrej zmiany"?

W zestawieniu ze stojącymi przed nami wyzwaniami cywilizacyjnymi kwestia politycznych sukcesów tej czy innej partii jest bez znaczenia. Jeśli Zjednoczona Prawica nie będzie w stanie pomóc wygrać w tych wyborach Andrzejowi Dudzie, to znaczy, że nie jest już Polsce potrzebna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7463047971

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2020

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl 7463047971

„Stan alertu”

W kampanii postawiono na pokazywanie bliskości między prezydentem a rządem. Na zdjęciu Andrzej Duda i premier Mateusz Morawiecki wizytujący inwestycję przekopu Mierzei Wiślanej FOT. ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

Marcin Makowski

PiS zauważa, że coś się zmieniło i kampania nie działa tak jak w poprzednich latach. Dlatego w walce o prezydencką reelekcję Andrzeja Dudy będzie liczył się naprawdę każdy głos

Poniedziałek 8 czerwca, Rynek Główny w Krakowie. W samo południe Jarosław Gowin i lokalni działacze Porozumienia organizują konferencję, na której w towarzystwie młodzieżówek z banerami „DUDA 2020” zachwalają kandydaturę obecnego prezydenta. Wielkich emocji nie ma, dziennikarze pytają o bieżącą politykę, łowiąc „setki” byłego premiera dotyczące sporu z marszałkiem Terleckim czy na temat ministra Szumowskiego. Pół godziny później w tym samym miejscu instaluje się małopolska Platforma. Posłowie – jeden po drugim – przynoszą w kartonach 150 tys. podpisów zebranych w kilka dni w województwie uważanym za bastion PiS.

COŚ SIĘ ZMIENIŁO

Wcześniej pytam jednego z młodych polityków Zjednoczonej Prawicy: „Ognia nie było, prawda?”. – Co mam ci powiedzieć? – rzuca. Jednak po chwili dodaje: – W Małopolsce coś się zmieniło. Gdy agitowaliśmy za Dudą w Miechowie czy Olkuszu, nikt nas tam chlebem i solą nie witał. Brakuje energii na wiecach, przy

eprasa.pl 7463047971

zbieraniu podpisów. Co z tego, że mamy wszędzie porozwieszane plakaty? Same plakaty wyborów nie wygrają.

Z pytaniem o ocenę dotychczasowej kampanii podchodzę również do szefa krakowskiej Platformy. Tu nastroje są diametralnie różne. Pamięć o katastrofie wizerunkowej Małgorzaty Kidawy-Błońskiej wydaje się majaczyć w oddali, a „nowe otwarcie" powtarza się jak mantrę. – Podczas pierwszej kampanii przekaz z naszej strony był niejasny, zabrakło spotkań, klarownego komunikatu o starcie. Wnioski z tych błędów wyciągnęliśmy. Teraz nastąpiło przełamanie. Na trasie w Małopolsce nie spotkaliśmy wielu zwolenników Andrzeja Dudy. A przecież podczas przemówienia Bronisława Komorowskiego na Rynku w 2015 r. i we wcześniejszych wyborach, to oni przejmowali inicjatywę – twierdzi Aleksander Miszalski.

Paradoksalnie, podobny ton wypowiedzi słyszy się w PiS-owskich kuluarach, gdy któremuś z polityków zbierze się na szczerość. Po falstarcie z mec. Turczynowicz-Kieryłło, podziałach w Zjednoczonej Prawicy, zamieszaniu z terminem wyborów i w konsekwencji zmianą kandydata KO na Rafała Trzaskowskiego jak tlenu potrzeba impulsu, który ożywi kampanię obecnego prezydenta.

– Jeśli chodzi o samą atmosferę i wiarę w zwycięstwo, to byliśmy przez 2,5 miesiąca zamrożeni w kampanijnym koronaletargu. Równocześnie sondaże Andrzeja Dudy szybowały w górę. Trudno się zmobilizować do ciężkiej pracy przy ograniczeniach pandemicznych i wewnętrznych notowaniach, w których prezydent ma 62 proc. poparcia. Martwiliśmy się wręcz, co będzie, gdy dojdzie do wyborów, jedna z partii ogłosi bojkot, a Andrzej Duda dostanie tak wysoki wynik. Jak byłby komentowany na świecie i w Europie? – tłumaczy w rozmowie z „Do Rzeczy" rzecznik kampanii, Adam Bielan. Jak zapewnia, dzisiaj to już przeszłość, a nastroje w sztabie są bojowe.

W praktyce nie wszystko wygląda jednak różowo. Grzechem pierworodnym całej maszyny kampanijnej, która ma zapewnić prezydentowi reelekcję, była zarówno niejasna zależność decyzyjna, jak również częste zmiany personalne i pojawiające się wewnętrzne konflikty między politykami. Jeszcze przed ogłoszeniem terminu wyborów dochodziło do częstych spięć na linii sztab-pałac. Jedna z takich dyskusji zakończyła się sprzeczką między Joachimem Brudzińskim a Błażejem Spychalskim.

– Trzy tygodnie temu nie było najlepiej, pojawiały się utarczki, ale teraz jesteśmy już nastawieni ściśle zadaniowo, każdy wie, co ma robić – słyszę od jednego z członków kampanii. Obecnie to Brudziński rozdziela najważniejsze zadania, dyrygując poszczególnymi zespołami. Bielan koordynuje kwestie medialne, układa grafik konferencji prasowych, mobilizuje w Internecie. Rolą dużego pałacu jest konsultowanie kalendarza z prezydentem, była premier Beata Szydło na każdym sztabie omawia natomiast kwestie programowe i odpowiada za nie. Według informacji „Do Rzeczy" na jakiś czas z zadań programowych wycofała się natomiast Anna Plakwicz.

– Kłócicie się podczas zebrań? – pytam Adama Bielana. – Ktoś musi mieć bardzo cienką skórę, żeby przytyki czy złośliwości przedstawiać jako awanturę – odpowiada rzecznik kampanii. – Gdy spotyka się ponad 20 osób, jest napięcie i są różnice zdań, czasem wynikające z rywalizacji, wtedy zdarzają się docinki, ale jesteśmy dorosłymi ludźmi. Każdy z nas jest przyzwyczajony do tego, że polityka to nie klub towarzyski – podsumowuje.

Z większości rozmów wyłania się podobny obraz. Atmosfera jest napięta, walka jest trudna i zaplanowana w szczegółach na dwie tury z niewielką różnicą głosów, ale zamiast koronaletargu jest teraz program, który trzeba zrealizować. Jak wyglądają jego główne filary?

„PREZYDENT POLSKICH SPRAW"

Jak dowiaduje się „Do Rzeczy", oś kampanii Andrzeja Dudy będzie opierać się na haśle: „Prezydent polskich spraw". Gdy oddajemy numer do druku, nie zostało ono jeszcze ogłoszone, ale z naszej wiedzy wynika, że przez pewien czas zastanawiano się nad jego alternatywną wersją – „Prezydentem ludzkich spraw". Chodzi o podkreślenie roli głowy państwa w kontekście walki o polskie interesy na arenie międzynarodowej i lokalnej. – Najbliższe tygodnie to „Plan Dudy" i „Karta Rodziny". Z jednej strony będziemy mówić o wielkich inwestycjach, takich jak CPK i przekop Mierzei, z drugiej o rozwoju lokalnym. Przecież dla ludzi z Sanoka czy Zielonej Góry to, co się dzieje w Baranowie czy Elblągu, nie jest takie ważne. Prezydent ma również prezentować asertywność, ustawiać się w kontrze do Trzaskowskiego jako ktoś, kto rozwija, a nie zwija polską gospodarkę. Co z tego, że mamy drogi, skoro nie ma mostów łączących dwa brzegi rzeki? Co nam po drogach, jeśli nasze największe lotnisko traci wydolność? – mówi „Do Rzeczy" osoba współodpowiedzialna za układanie programu kampanii, dodając, że trzeba myśleć nie o tym, co wydarzy się dziś i jutro, ale „za 5, 10 lat, gdy w Europie Zachodniej kryzys utrzyma się dłużej".

Równie istotnym elementem przesłania Andrzeja Dudy, ustawionym polaryzacyjnie wobec wizerunku głównego kontrkandydata, jest akcentowanie konserwatywnych wartości i promowanie tradycyjnego modelu rodziny. W głowach doradców Dudy pojawia się wizja „prezydenta polskiej rodziny", która „nie godzi się na eksperymenty ideologiczne" oraz korzysta z benefitów socjalnych. Jak do tej pory ich gwarantem mają być partia i prezydent, którzy „inwestują w podstawową komórkę społeczną", dają bony wakacyjne i pieniądze na małą retencję w ogródkach. W przedstawionej 10 czerwca „Karcie" właśnie te elementy: tradycja, walka z ideologią LGBT, ochrona instytucji małżeństwa, grają pierwsze skrzypce. Rolą prezydenta w tej układance będzie obiecane w „Planie Dudy" stworzenie miliona nowych miejsc pracy, określonych jako „przyjaznych rodzinie". To m.in. ułatwienie matkom powrotu do miejsca zatrudnienia po urlopie macierzyńskim oraz rozwój pracy zdalnej. Skąd pieniądze na te projekty? Z unijnych funduszy pomocowych. – Gra toczy się o wielką stawkę, bo nawet o 700 mld euro – dodaje Adam Bielan.

SOJUSZ RZĄDU Z PAŁACEM

Jednak aby prezydent większość z tych obietnic mógł „dowieźć", niezbędna jest ścisła współpraca z rządem. Właśnie z tego powodu Andrzej Duda często występuje w tandemie z premierem Mateuszem Morawieckim, na każdym kroku podkreślając, jak kluczowy dla realizacji najważniejszych inwestycji infrastrukturalnych jest „brak kłótni" między dwoma ośrodkami władzy. W sztabie prezydenckim ten model jest otwarcie chwalony.

– Dostajemy z KPRM gotowe propozycja, badania – oni konkretyzują wiele rzeczy związanych z kampanią. Gdy jedziemy do jakiegoś miasta i potrzebujemy firmy, która otrzymała wsparcie z Tarczy, oni to ustalają. Nasza współ-

eprasa.pl 7463047971

praca się na razie uzupełnia; prezydent mówi o wizji, premier wypełnia to liczbami i technikaliami – słyszę.

Taki styl prowadzenia kampanii – nastawienie na prezydenta współdziałającego z szefem rządu – ma być konsekwencją wewnętrznych badań opinii publicznej, zamówionych przez KPRM. Wynika z nich również, że istotny dla pozyskiwania nowych wyborców pod względem medialnym będzie Polsat News, a nie TVP Info, oraz że przewaga Andrzeja Dudy w drugiej turze znacznie się spłaszcza, a na jego niekorzyść gra potencjalnie wysoka frekwencja i mobilizacja elektoratu innych kandydatów, którzy przejdą do obozu Rafała Trzaskowskiego.

– Jeżeli Duda i Morawiecki są w trójce najpopularniejszych polityków w Polsce, to musimy to umieć wykorzystać. Premier był twarzą trzech kampanii PiS i wyraźnie widać, że nie zużywa się pod względem politycznym. Poza tym rząd ma wyniki wyższe niż partia pomimo tego, że opozycja wewnętrzna przypuściła kilka ataków na premiera – mówi „Do Rzeczy" jeden z doradców Morawieckiego.

Ta strategia budzi jednak wątpliwości w oczach niektórych ekspertów. – Przecież Bronisław Komorowski w 2015 r. też był kandydatem, który dobrze współpracował z parlamentem i mu to specjalnie nie pomogło. Wyborcy uważają, że władze powinny ze sobą współpracować zawsze. Nie znam dowodów, które potwierdzają tezę, że wyborcy głosując, starają się ograniczyć pola konfliktów między ośrodkami władzy. W żadnych wyborach nie zaobserwowałem takich korelacji – tłumaczy prof. Jarosław Flis z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

– Wizerunkowym błędem sztabu Andrzeja Dudy jest „sklejanie" prezydenta z jego obozem politycznym. Im więcej polityków PiS w otoczeniu prezydenta, tym bardziej wyborcy i konkurenci zyskują argument, że to głowa państwa tylko jednej partii. Gdy Trzaskowski pod szyldem „nowej Solidarności" wychodzi poza własny obóz, Duda kurczowo się go trzyma. Tak nie pozyska się nowych wyborców – dodaje dr Milena Drzewiecka z Uniwersytetu SWPS.

– Żaden kandydat do tej pory tak mocno nie utożsamiał się z rządem. Starali się go recenzować, krytykować, trzymać dystans. W tej kampanii prezydent i rząd to jedność. Inaczej „dobra zmiana" się rozpadnie, a Trzaskowski wszystko odbierze – tłumaczy z kolei prof. Antoni Dudek z UKSW. Jego zdaniem takie postawienie akcentów wynika z faktu, że obecne wybory prezydenckie nie są personalne, ale mają charakter kolejnego plebiscytu partyjnego. – Głosuje się na Andrzeja Dudę albo jego kontrę. Za obecnym układem sił w Polsce albo jego zburzeniem. Kandydaci, którzy chcą z tym zerwać, tracą – mówi „Do Rzeczy" prof. Dudek.

Paradoksalnie, pomimo równoczesnego akcentowania synergii z rządem, Andrzej Duda zaczął ostatnio podkreślać swoją niezależność

Politycy z otoczenia premiera nie zgadzają się jednak z takim postawieniem sprawy. – A jakie prezydent ma teraz wyjście? – pyta jeden z nich. – Sztab popełnił błąd, dając Trzaskowskiemu krótki czas na zbieranie podpisów, z czego oni zrobili atut mobilizacyjny. Partia powinna mieć przez pięć lat stworzony taki kombajn badawczy, który analitycznie przewidziałby to, co się teraz wydarzyło. Dlatego potrzebowaliśmy resetu kampanii i wotum zaufania dla rządu. Wiele osób w PiS uwierzyło, że Platforma skończyła się fatalną kampanią Kidawy-Błońskiej, a później przejrzeliśmy na oczy i nastąpiła demobilizacja. Morawiecki musiał wejść na tę scenę, pobudzić partię i pomóc Dudzie – przekonuje nasz rozmówca, żaląc się, że zamiast grać do jednej bramki, niektóre osoby w sztabie Andrzeja Dudy (tutaj pada nazwisko premier Beaty Szydło) prowadzą swoje polityczne starcia z Mateuszem Morawieckim. Oczywiście otoczenie szefowej kampanii programowej prezydenta zaprzecza.

PRZEGRZEWANIE

Paradoksalnie, pomimo równoczesnego akcentowania synergii z rządem Andrzej Duda zaczął w ostatnich dniach podkreślać swoją niezależność, czego kulminacją była podłapana ochoczo przez media dyskusja z jednym z protestujących, który nazwał go na wiecu w Bytowie „marionetką". – Podpisuje pan wszystko, co prezes każe – stwierdził mężczyzna. – A ustawa o regionalnych izbach obrachunkowych? – zapytał go Duda, wymieniając sześć ustaw, które zawetował Zjednoczonej Prawicy.

Bez względu na to, jak dobrze prezentuje się kandydat, wśród części polityków działających w jego sztabie panuje przekonanie, że pewna epoka się skończyła, a to, co działało przy innych kampaniach PiS, dzisiaj przeszkadza. – TVP nie daje wartości dodatniej, skupia się na atakowaniu Trzaskowskiego, a my musimy wypłaszczyć jego sondaże. Dlaczego tak mało mówi się o Kosiniaku-Kamyszu czy Hołowni? Niczego nie nauczyła nas kampania Patryka Jakiego w Warszawie, gdzie TVP ewidentnie przegrzała i skończyło się pierwszą turą dla Trzaskowskiego? – zastanawia się informator „Do Rzeczy".

W sztabie prezydenta trwa równocześnie debata, na jak długo wystarczy świeżości kandydatowi KO. W kreowanie jego wizerunku ma być zaangażowana wracająca do łask ekipa Igora Ostachowicza. – Pod kilkoma względami, paradoksalnie, Małgorzata Kidawa-Błońska z lutego byłaby dla nas trudniejszym przeciwnikiem w drugiej turze. Ona była mniej wyrazista, w pewnym momencie zaczęło jej to szkodzić, ale dzięki temu mogła pozyskiwać elektorat wahający się. Oprócz tego była kobietą, co też miało znaczenie dla części elektoratu. Rafał Trzaskowski jest wyrazisty, żeby nie powiedzieć – agresywny – co pozwala mu nadrobić straty w pierwszej fazie kampanii. Jeżeli dojdzie do drugiej tury, to te cechy mogą działać na jego niekorzyść – przekonuje jednak Adam Bielan.

– To oczywiste, że walcząc o reelekcję, dźwiga się ciężar pięciu lat. To nie jest radosna walka, ale ciągle Andrzej Duda może mieć uzasadnione poczucie bycia faworytem. Zadyszka, która się pojawiła, nie musi oznaczać klęski, ale tutaj nawet na chwilę nie można stracić czujności – twierdzi prof. Antoni Dudek.

„Nic nie robi się samo. Trzeba wysiłku i inicjatywy, spójnego przekazu i dotarcia z nim do obywateli naszej Ojczyzny. Mamy dziś stan alertu, który się skończy dopiero wtedy, gdy odniesiemy zwycięstwo. Możemy zwyciężyć, musimy zwyciężyć i zwyciężymy!" – napisał Jarosław Kaczyński do struktur Prawa i Sprawiedliwości w liście z 9 czerwca. I to jest najlepsze podsumowanie stanu kampanii reelekcyjnej prezydenta. W stanie alertu walka będzie trwała do ostatniego dnia. O każdy głos.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7463047971

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENAS KONCERTU:

PGNiG

ORLEN

PARTNERZY

PPL Porty Lotnicze

centrum historii zajezdnia

PARTNER WSPIERAJĄCY:

WARS

eprasa.pl 7463047971

Rafał A. Ziemkiewicz

Konfederacja przed szansą

Poparcie dla Krzysztofa Bosaka wskazuje, że Konfederacja zdobyła sobie stabilny elektorat. Ma szansę stać się trwałym elementem polskiej polityki

FOT. KRZYSZTOF KANIEWSKI/REPORTER

Krzysztofowi Bosakowi mało kto wróżył w tych wyborach sukces – nawet przy założeniu, że dla kandydata Konfederacji sukcesem będzie każdy wynik większy od poparcia jego partii w wyborach parlamentarnych. Tymczasem trzy tygodnie przed wyborami w większości sondaży wyprzedza on kandydatów partii uważanych za dużo „poważniejsze” i zakorzenionych w polityce od kilkudziesięciu lat – Lewicy, czyli de facto SLD, oraz PSL.

Można oczywiście powiedzieć, że to raczej efekt osłabienia „przystawek” PO, której wymiana kandydata i związana z tym nowa dynamika kampanii pozwoliły wrócić do roli lidera „totalnej opozycji”, niż wzmocnienia najmłodszego ugrupowania w polskim parlamencie. Poparcie dla Bosaka tylko incydentalnie przekracza poziom 10 proc., w większości badań oscylując pomiędzy 6 a 8 proc.; to Biedroń i Kosiniak-Kamysz osunęli się pod próg 5 proc. W tym przypadku cyfry jednak mylą – kilka procent poparcia to dla kandydata Konfederacji więcej niż tyle samo dla nich.

Przede wszystkim jest to dowód na to, że Konfederacja zdobyła sobie stabilny elektorat. Tego też jej nie wróżono. Po tym, jak 11 posłów nowego ugrupowania dostało się do Sejmu, raczej nie spodziewano się, by los Konfederacji różnił się od poprzednich partii Korwin-Mikkego, rozkruszanych kolejnymi wyskokami nieuznającego żadnej gry zespołowej lidera. Wskazywano na eklektyzm ugrupowania, wieszcząc nieuchronny konflikt między narodowcami a libertarianami, prorokowano, że liberałowie skupieni na podatkach i wolności gospodarczej nie wytrzymają długo w jednym froncie z „szalonym” ultrakatolikiem Braunem etc. Nie były to jedynie gołosłowne przepowiednie, rozpadowi Konfederacji i przekształceniu jej koła poselskiego w rezerwuar bieżeńców do innych klubów starano się pomóc. Z jednej strony stare partie niepisaną umową stworzyły wokół nowego koła swoisty „kordon sanitarny” – jego przedstawicieli nie dopuszczono do żadnych funkcji, posłom innych partii zakazano podpisywać się pod jakimikolwiek jego projektami, zgodnie przez resztę Sejmu ignorowanymi. Z drugiej poszczególni sejmowi nowicjusze kuszeni byli do zmiany partyjnych barw; gdy odmawiali, słyszeli, że powinni się pospieszyć, bo mogą jeszcze coś wytargować, bo Konfederacja zaraz padnie i wtedy przestaną dla innych przedstawiać jakąkolwiek wartość.

Mocna, czwarta pozycja Bosaka w sondażach jest premią za zachowanie jedności. Ale nie tylko. Zagrało tu na korzyść jego i jego ugrupowania kilka spraw.

BOSAK JAKO EKSPERT

Po pierwsze, Bosak po prostu poradził sobie w kampanii, choć wydawało się, że dyskwalifikują go problemy wize-

eprasa.pl 7463047971

runkowe – „chłopięcy” wygląd, Giertych i „Taniec z gwiazdami” w życiorysie, brak poważnych dokonań życiowych czy zawodowych, brak żony (ten ostatni nadrobiony dopiero przed kilkoma miesiącami). Wszystko to udało się jednak zepchnąć na dalszy plan dzięki temu, że Bosak wystąpił w kampanii w roli nie tyle potencjalnego prezydenta, ile polityka-eksperta, wykorzystującego jedynie wybory do promocji politycznej alternatywy dla PO i PiS. I choć wydawało się to skazane z góry na porażkę, znalazł elektorat bardziej niż tym, „kto mówi”, zainteresowany tym, „co mówi”. W takiej roli – polityka merytorycznego, spokojnego, zajętego „rozwiązywaniem problemów”, a nie plemienną przepychanką czy wyborczym konkursem piękności – kandydat Konfederacji mógł pokazać swoje silne strony.

Po drugie, Bosak i Konfederacja dostali premię za sam sposób wyłonienia kandydata. Pomysł prawyborów, które mimo obojętności głównych mediów przebiły się do ogółu wyborców, był zręcznym przekuciem kadrowej słabości młodej partii na siłę – wyborcy zobaczyli w niej byt krańcowo odmienny od „wodzowskiej” konkurencji.

Po trzecie i najważniejsze – Konfederacja przekroczyła w tej kampanii istotną barierę ograniczającą dotąd jej potencjalny wzrost do elektoratu, który sam siebie identyfikuje jako „prawicowy”, względnie „patriotyczny”.

Z jednej strony wychowankowie Korwin-Mikkego, podkreślający na każdym kroku z sekciarską zajadłością, że są jedyną prawdziwą („ideową”) prawicą, a PiS to socjaliści (tak jakby etykieta „prawica” miała jakiś magiczny wpływ na wyborcę). Z drugiej narodowcy, mający urobiony przez lewicowo-liberalne media (nie bez własnego udziału) wizerunek ekstremy, i to raczej ulicznej niż politycznej, specjalizującej się w obrzucaniu kamieniami „parady równości”. Z trzeciej „twardzi” katolicy, zarzucający PiS, że porzucił sprawę zakazu aborcji i jest bezradny wobec inwazji lewicy na kulturę oraz uczelnie wyższe. Nieodparta logika polskiej sceny politycznej wskazywała, że partia stworzona z trzech takich komponentów jest skazana na rozczarowany elektorat PiS, natomiast po stronie anty-PiS pożywić się nie będzie nigdy miała szansy. Musi być „przystawką” dla Zjednoczonej Prawicy, skazaną na podbieranie jej elektoratu i walczącą co najwyżej o korzystne przymierze – poza koalicją z partią Kaczyńskiego niemającą żadnej innej możliwości.

AGRESJA, KTÓRA POMAGA

Tak właśnie postrzegał Konfederację PiS, stąd wielokrotne próby wyeliminowania jej ze sceny politycznej oskarżeniem o agenturalność, prorosyjskość oraz blokowanie koła poselskiego w Sejmie. Jak to często bywa, agresja ta zamiast Konfederacji zaszkodzić, pomogła jej – bez przesadnego ataku, przypuszczonego na nowe ugrupowanie przez „Wiadomości” TVP, zapewne nie przekroczyłaby progu sejmowego. Otwarta wrogość okazywana ugrupowaniu przez PiS i jego media zaowocowała względną życzliwością mediów lewicowo-liberalnych. Równolegle z atakami TVP TVN zdjęła z Konfederacji propagandowe odium „oszołomstwa”, urabiając jej w swojej „bańce” wizerunek partii liberalnej, a tuszując odstręczający dla jej publiczności komponent narodowo-katolicki.

Nic nowego – podobnie swego czasu postąpiły lewicowo-liberalne salony z Kukizem (przypomnijmy sobie jego wizytę u Kuby Wojewódzkiego), dokładnie z tego samego powodu – w przekonaniu, że będzie on odbierać głosy wyłącznie Andrzejowi Dudzie.

Decydujące znaczenie dla przekroczenia granicy między politycznymi plemionami miała jednak epidemia koronawirusa, nie media. PO postawiła na straszenie, że epidemia jest o wiele groźniejsza, niż to przedstawia PiS, i niebawem wszyscy pomrzemy, bo rząd zbyt mało robi – co potwierdzało oficjalną narrację i sankcjonowało restrykcje oraz policyjną gorliwość w ich egzekwowaniu, i tak, jak wynikało z tej narracji, niewystarczającym, ale generalnie słusznym. Konfederacja natomiast jako jedyna przebiła się z przekazem, że restrykcje są za daleko idące, nieprzemyślane, niepotrzebne. Po czasie znacząca część zmęczonych lock downem wyborców, szczególnie tych młodszych, skłania się ku takiej właśnie ocenie „maseczkowego terroru” zaprowadzonego przez ministra Szumowskiego.

JAZDA PO PIS

W ostatnich miesiącach atak Konfederacji skupił się właśnie na Szumowskim, na premierze Morawieckim i generalnie na PiS. Sam Krzysztof Bosak stara się wprawdzie być spokojny i merytoryczny, ale konfederacka maszyna narracyjna, zbudowana w Internecie, „jedzie” po PiS bez żadnych zahamowań, w sposób ocierający się o stylistykę „Soku z Buraka”. Modelowym przykładem służą wpisy w mediach społecznościowych redaktora naczelnego „Najwyższego Czasu” i stworzonej przy nim internetowej telewizji Tomasza Sommera.

Dla „wyrobionego”, tradycyjnego wyborcy prawicy jest to odpychające, ale wydaje się, że w ten sposób Konfederacja zaczęła skutecznie docierać do wyborców młodych, nieidentyfikujących się politycznie, dla których politycy PO są równie „obciachowi” jak Sasin czy Suski. Chętniej przyjmują oni antypisowską retorykę u partii, która nigdy nie rządziła, niż u PO, która nigdy się ze swych rządów nie rozliczyła.

Wchodząc w retorykę anty-PiS i atakując go ostro z pozycji wolnościowych, liberalnych, nawet ocierających się o nihilizm, Konfederacja ograniczyła sobie wprawdzie możliwość pozyskiwania rozczarowanych niespełnieniem obietnic przez PiS, ale otworzyła się na wyborców rozczarowanych nieskutecznością i jałowością anty-PiS. A jest to, jak pokazał sukces Szymona Hołowni, kierunek obiecujący.

Mówiąc krótko – partia, której jedyną nadzieją wydawało się dotąd „być lepszym PiS-em”, staje się w tej kampanii partią „lepszego anty-PiS”. Z perspektywą stworzenia nowego anty-PiS. Byłoby to kopernikańskim przełomem w polskiej polityce – zastąpieniem 30-letniej polaryzacji między socjalistami narodowymi a socjalistami kosmopolitycznymi („pobożnymi i bezbożnymi”, by użyć kategorii Stanisława Michalkiewicza) polaryzacją nową, między narodowymi socjalistami a narodowymi liberałami.

Wymagałoby to jednak wspięcia się przez Bosaka na drugie miejsce podium. Teoretycznie jest to możliwe – jeśli przejmie w ostatniej chwili znaczącą część wyborców deklarujących poparcie Hołowni, a Kosiniak-Kamysz i Biedroń zdołają do wyborów odzyskać swe partyjne elektoraty, odebrane im „efektem nowości” przez Trzaskowskiego. Szansa nie wydaje się w tej chwili wielka, ale zwycięstwem Konfederacji jest już samo to, że się pojawiła. Jeśli Bosak zakończy kampanię na poziomie obecnych sondaży, czyli na miejscu czwartym, z wynikiem powyżej 6 proc., to i tak będzie to sukces, czyniący z Konfederacji trwały i nabierający znaczenia element polskiej polityki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7463047971

Wychodzimy z epidemii obronną ręką

Z prof. Łukaszem Szumowskim, ministrem zdrowia
rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: Hiszpania, Niemcy, Włochy – liczba zakażonych spada, cała Europa epidemię wygasza, a w Polsce mamy rekordowe liczby zakażonych. Gdzie jesteśmy, jeśli chodzi o epidemię?

PROF. ŁUKASZ SZUMOWSKI: Oddzielmy dwie sprawy. Jeśli popatrzymy na transmisję poziomą, czyli zakażenia pomiędzy ludźmi na ulicach, to liczba nowych zakażeń we wszystkich województwach spada. Współczynnik reprodukcji wirusa poza województwami śląskim i łódzkim również spada. Gdyby nie ogniska w kopalniach, mielibyśmy w Polsce ok. 100–150 przypadków dziennie.

Nowe ogniska w Polsce wciąż się pojawiają. Dlaczego?

Zakażenia we Włoszech czy Francji wynikają z transmisji na ulicach, u nas w ogniskach. Zrobiliśmy bezprecedensowy ruch, którego nie robi się w Europie: zdecydowaliśmy się na przetestowanie bardzo dużej grupy górników. To właściwie jest testowanie przesiewowe, ponieważ w 98 proc. nie są to osoby, które mają objawy koronawirusa, nie miały też kontaktu z chorymi, nie spełniają więc kryteriów testowania epidemicznego. Wykonaliśmy badania przesiewowe u ok. 60 tys. osób. Gdybyśmy tego nie zrobili, prawdopodobnie większość górników przeszłaby infekcję bezobjawowo i nie zostałaby odnotowana w żadnych statystykach. Wzrosłaby jednak transmisja pozioma na Śląsku. Ludzie zaczęliby w pewnym momencie zakażać się na ulicach i chorować. Dzięki temu, co robimy, Śląsk jest zabezpieczony. Ta liczba dodatnich wyników została wygenerowana, by uchronić się przed rozprzestrzenianiem się transmisji poziomej.

Jeśli epidemia będzie trwała jeszcze rok, dwa lata, to zamkniemy kopalnie z powodu ryzyka nowych ognisk?

Absolutnie nie. Po to testujemy górników i ich rodziny, żeby otworzyć kopalnie. Badamy górników dwa razy. Za drugim razem, gdy testujemy już tylko tych, którzy wcześniej uzyskali wynik negatywny, pojawiają się już jedynie pojedyncze zakażenia, czyli sytuacja nie powinna się powtórzyć.

Ogniska zakażeń w Polsce pojawiają się też m.in. w DPS-ach, szpitalach, ośrodkach dla uchodźców, niektórych zakładach pracy.

Ostatnio ognisk w DPS-ach już tak dużo nie ma, a w wielu europejskich krajach sytuacja w domach opieki wyglądała dużo gorzej. Ogniska będą się pojawiać, ponieważ epidemia się nie skończyła. Za każdym

eprasa.pl 7463047971

Profesor Łukasz Szumowski, kardiolog, elektrofizjolog, kierował Kliniką Zaburzeń Rytmu Serca w Instytucie Kardiologii w Warszawie, od listopada 2016 r. wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego, od 2018 r. minister zdrowia

FOT. ADAM GUZ/KPRM

razem postępujemy tak samo: testujemy, wyszukujemy osoby zakażone i je izolujemy, a osoby z kontaktu idą na kwarantannę i również są poddawane testom. Dzięki temu zakażenia nie rozprzestrzeniają się, a ogniska wygasają.

Epidemia w Polsce jest pod kontrolą?

To nie do końca adekwatne sformułowanie: „pod kontrolą". W pełni nie można kontrolować epidemii. Reagujemy jednak na tyle sprawnie, że mówiąc obrazowo: gasimy pożar natychmiast, gdy tylko zaczyna palić się ściółka. Można powiedzieć, że nie doprowadzamy do pożaru lasów.

Zdaniem wielu ekspertów powodem pojawiania się kolejnych ognisk jest zbyt szybkie luzowanie obostrzeń.

Oddzielmy kwestię ognisk zachorowań, które są pod kontrolą, gdyż izolujemy chorych, a osoby z kontaktu wysyłamy do kwarantanny. To tak, jakby okopać ognisko: jeszcze przez jakiś czas będzie się tliło, ale niedługo wygaśnie. Na ulicy jednak prawdopodobieństwo spotkania osoby chorej na COVID-19 jest bardzo małe.

Dlaczego jednak w Niemczech, we Włoszech, w Hiszpanii, we Francji jest tak duży spadek zakażeń, a w Polsce nie?

Tam wcześniej był dramatycznie szybki przyrost zachorowań. Tak szybki, że system ochrony zdrowia nie mógł go udźwignąć.

Musimy dojść do takiej liczby zachorowań jak w innych krajach?

Nie. Jednak gdy szczyt ma stromą ścianę, druga strona jest również stroma; szybciej schodzi się z wysokości. Gdy góra jest niższa, ale łagodniejsza, wolniej na nią wchodzimy i wolniej z niej schodzimy.

Epidemię udało się opanować też w takich krajach jak Litwa, Łotwa, Węgry, Słowenia, które nie miały takiego ostrego szczytu.

W województwie podlaskim też nie ma dziś ani jednego chorego. Są ogromne różnice między mniejszymi a większymi krajami. W Polsce już dziś są regiony, w których notujemy niewielką liczbę zakażeń.

Na ile w Polsce jest dziś bezpiecznie? Poszedłby pan do kina, kawiarni?

Z dużą chęcią bym poszedł, ale na razie nie mam jak... A mówiąc poważnie, to dopóki trwa epidemia, dopóty nic nie jest całkowicie bezpieczne, zawsze istnieje ryzyko zachorowania. To trochę tak, jakby zapytać, czy jazda samochodem jest bezpieczna. Nigdy nie jest całkowicie bezpieczna, zawsze może zdarzyć się wypadek. Idąc do sklepu, kina, restauracji, zawsze możemy spotkać chorą osobę i się zarazić. Jednak prawdopodobieństwo takiego zdarzenia jest dziś bardzo niewielkie.

Druga fala jesienią jest realna?

W każdym kraju SARS-CoV-2 jest aktywny, nawet jeśli danego dnia nie ma wykrytych nowych przypadków. Po otwarciu granic transmisja wirusa będzie większa.

W takim razie granice powinno się otwierać?

W epidemii są dwie kwestie. Pierwsza, zdrowotna: są osoby zakażone, chore, te, które zmarły. Druga to kryzys gospodarczy, który już dziś mocno dotknął kraje zachodnie. Jeśli nie zrobimy wszystkiego, żeby kryzys nie dotknął nas tak mocno, to w Polsce będzie więcej zgonów pośrednio z powodu kryzysu niż z powodu COVID-19. Jedyną metodą uniknięcia drugiej fali byłby pełny lockdown kraju przez kilka miesięcy. Tego jednak nie możemy zrobić. Potrzebna jest mocna gospodarka, jeśli chcemy mieć pieniądze na leczenie chorych, np. na choroby nowotworowe, sercowo-naczyniowe, choroby rzadkie.

Do drugiej jesiennej fali jesteśmy przygotowani?

Robimy wszystko, by jak najlepiej się przygotować. W Hiszpanii, we Włoszech, Francji na początku epidemii były zaskoczenie i chaos. System ochrony zdrowia był nieprzygotowany do reakcji na tę chorobę. My mieliśmy czas: stworzyliśmy sieć szpitali jednoimiennych, zapewniliśmy odpowiednią liczbę respiratorów. Dzięki lockdownowi nie doszło u nas do masowych zakażeń. Dziś działa już ponad 140 laboratoriów, w których można wykonać testy. Jesteśmy w stanie w kilka dni wykonać dodatkowo kilkanaście tysięcy testów poza normalnym trybem, co oznacza, że laboratoria nie są w pełni wykorzystywane. Organizacyjnie system ochrony zdrowia jest dziś przygotowany na drugą falę – możemy wrócić do szpitali jednoimiennych, są respiratory, środki ochrony. To zupełnie inna sytuacja niż w marcu.

Jaka musi zaistnieć sytuacja, żeby wrócić do lockdownu?

Musiałyby być wypełnione szpitale jednoimienne, tak jak w Hiszpanii czy we Włoszech, gdzie ludzie umierali w domach, bez pomocy ze strony służby zdrowia.

eprasa.pl 7463047971

Trudno mi jednak sobie dziś w Polsce taką sytuację wyobrazić.

Są jednak głosy, że szczyt zachorowań może być w dniu wyborów i wciąż grozi nam za kilka tygodni scenariusz włoski.

Nic na to nie wskazuje. Nie wiem, na jakich modelach takie scenariusze zostały przygotowane. Poza ogniskami mamy we wszystkich województwach spadek liczby zachorowań.

Nie ma dziś obowiązku noszenia maseczek na zewnątrz, wiele osób je nosi, zwłaszcza starszych. Może jednak tak jest bezpieczniej?

Nadal ważny jest dystans społeczny, a jeśli chodzi o maseczki, to ja też, gdy zbliżam się do grupy ludzi, zakładam maseczkę. Cały czas jestem obwiniany o „niespójne rekomendacje", jeśli chodzi o maseczki. Te rekomendacje były spójne i logiczne. Gdy epidemia rozpoczynała się i liczba zakażonych była bardzo mała, nie trzeba było nosić maseczek. Potem byliśmy nadal na krzywej wznoszącej, chorych było więcej i więcej osób chorych bezobjawowo, dlatego noszenie maseczek było potrzebne. Teraz – pomijając ogniska – jesteśmy już na krzywej spadkowej epidemii, dlatego nie musimy nosić maseczek na zewnątrz. Podkreślam – na zewnątrz. Natomiast w sklepach, autobusach, urzędach, pomieszczeniach zamkniętych nadal to jest potrzebne. Podobnie osoby starsze, chore, mające deficyty odporności lepiej, żeby nosiły maseczki. Osoby, które źle się czują, mają jakiekolwiek objawy choroby, powinny założyć maseczkę oraz oczywiście jak najszybciej skontaktować się z lekarzem. Noszenie maseczek jest też konieczne np. w szpitalach. Niedawno jeden pacjent zakaził ok. 20 osób, ponieważ nie miał maseczki w szpitalu.

W marcu i kwietniu liczba zgonów była mniejsza niż rok wcześniej. Jaki wpływ ma epidemia COVID-19 na stan zdrowia Polaków?

Dystansowanie społeczne spowodowało nie tylko spadek przypadków COVID-19, lecz także innych chorób zakaźnych, m.in. grypy. Liczba biegunek rotawirusowych u dzieci spadła o ponad 90 proc. – to wpływ nie tylko dystansowania się, lecz także częstego mycia rąk. Drugi aspekt epidemii to niestety zmniejszenie liczby wykonywanych badań profilaktycznych, co jest bardzo niekorzystne. Namawiamy, by jak najwięcej osób zgłaszało się na badania profilaktyczne, onkologiczne, żeby nie było fali konsekwencji COVID-19 w innych chorobach. Musimy starać się nadrobić zaległości w zakresie zabiegów planowych i profilaktyki. Apelujemy jednak do szpitali, by wszyscy pacjenci, którzy mają mieć wykonywane planowe zabiegi, byli testowani. Szczególnie w przypadku wykonywania znieczulenia, ale też takich badań jak bronchoskopia czy gastroskopia może dojść do transmisji wirusa.

Jeśli nie zrobimy wszystkiego, żeby kryzys mocno nas nie dotknął, to w Polsce będzie więcej zgonów pośrednio z powodu kryzysu niż z powodu COVID-19

Na początku epidemii w rankingach zaufania zajmował pan pierwsze miejsca. Co stało się w ostatnich tygodniach? Odwołania domagała się opozycja, ale również w jednym z sondaży 40 proc. ankietowanych wypowiedziało się za pana dymisją.

Wolałbym być poza rankingami popularności, w niczym mi one nie pomagają. Nie zmieniłem swojej pracy sprzed epidemii; może ją bardziej nasiliłem. Fakty, które były znane od lat, ktoś próbował i próbuje wykorzystać politycznie. Skoro ja nic nie zmieniłem w swojej pracy, a moja ocena jest tak różna, to znaczy, że ocena zależy głównie od nastrojów i przygotowanej kampanii. Niestety, kampanii hejtu. Plakaty rozwieszane w Warszawie na nośnikach reklamowych firmy zależnej od koncernu Agora pokazują metody stosowane w walce politycznej.

Zarzuty, które się pojawiały, dotyczyły zakupów po zawyżonych cenach maseczek, przyłbic, respiratorów. Niektóre z nich nie miały atestów.

Maseczki miały certyfikaty, bez tego nie trafiłyby na terytorium Polski ani do żadnego innego państwa UE. To, że nie spełniały norm, okazało się dopiero później, gdy sami zdecydowaliśmy się je przebadać. Stąd zażądaliśmy ich wymiany albo zwrotu pieniędzy, a po odmowie złożyliśmy zawiadomienie do prokuratury. W szczycie epidemii, kiedy faktycznie groził nam scenariusz włoski, wiele osób starało się pomóc w kupowaniu maseczek. Niektórzy robili na tym biznes, zdarza się, że nieuczciwy. Później okazało się, że norm nie spełniały maski kupowane przez Naczelną Radę Lekarską, WOŚP czy te przekazane nam przez Komisję Europejską.

Dlaczego nie wspominał pan o wcześniejszej działalności w biznesie, zanim został pan wiceministrem nauki?

Nigdy nie było to tajne, KRS-y są jawne, komunikowałem premierowi i ministrowi nauki potencjalny konflikt interesów, nie podejmowałem też żadnych decyzji dotyczących Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Ta sprawa była opisywana wcześniej przez niektóre portale internetowe związane z mediami, które notabene dziś o tym piszą, ale już w innym duchu. Wtedy same uznały, że to jest fake news, można to znaleźć w Internecie. Dziś znowu to wyciągają, bo mamy kalendarz polityczny.

A rozdzielność majątkowa i przekazanie udziałów w firmach żonie?

Zrobiłem to w 2008 r., kiedy jeszcze nawet nie myślałem o wejściu do polityki.

Dlaczego właściwie zdecydował się pan na wejście do polityki?

Dostałem propozycję od ówczesnego wicepremiera, a dziś premiera Mateusza Morawieckiego. Zaproponował mi możliwość „prowadzenia zmian prorozwojowych w Polsce". Byłem naukowcem, dlatego szansę na dokonanie zmian w tym obszarze uznałem za interesującą i potrzebną. Zaufałem też obecnej formacji politycznej. Zresztą wyniki gospodarcze ostatnich czterech lat, kiedy premierem była Beata Szydło, a potem Mateusz Morawiecki, pokazują, że kraj zaczął dobrze funkcjonować. W tym niezwykle trudnym okresie epidemii widać, że państwo zadziałało. Nie było wahania, kiedy trzeba było podejmować trudne, często bardzo kosztowne, wielomiliardowe decyzje.

Epidemię udaje się opanować, ponieważ bardzo dobrze zareagowało państwo, wszystkie jego służby: inspekcja sanitarna, NFZ, wojewodowie, służby mundurowe. Bardzo dobrze zareagowało środowisko medyczne: lekarze, pielęgniarki, ratownicy, cały personel medyczny. Wspaniale zareagowało też społeczeństwo. Udało się sprawnie przeprowadzić działania organizacyjne, choćby stworzenie sieci szpitali jednoimiennych. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek wcześniej w służbie zdrowia były przeprowadzone takie działania: ewakuacja pacjentów do innych placówek, całkowita reorganizacja części szpitali. To dzięki temu wszystkiemu dziś wychodzimy obronną ręką, jeśli chodzi o epidemię.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7463047971

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!

www.dorzeczy.pl/dodatki

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

eprasa.pl 7463047971

FOT. RAFAŁ GUZ/PAP

Z mecenasem Lechem Obarą, prezesem Stowarzyszenia Patria Nostra
rozmawia Wojciech Wybranowski

To Niemcy mają problem z praworządnością

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Komisja LIBE krytycznie ocenia praworządność w Polsce, z kolei wiceprzewodnicząca KE Věra Jourová, deklarując, że zrobi wszystko, by wypłata środków unijnych była uzależniona od spełniania norm praworządności, także bardzo ostro komentowała sytuację w Polsce i na Węgrzech...

LECH OBARA: Wejdę panu w słowo. Niby że w Polsce nie ma praworządności i demokracji? Wyroki, które wydają sędziowie, są wynikiem presji aktualnie rządzącej partii? Jest to spór wielopłaszczyznowy, nie tylko o model wymiaru sprawiedliwości, lecz także o wizję Polski. Szkoda tylko, że spór o charakterze wewnętrznym stał się – niestety również za sprawą samych Polaków – środkiem do osłabiania Polski na arenie międzynarodowej. Smutne też, że może to wpłynąć na los jednostki. Tak było w przypadku sprawy Karola Tendery. Prawnicy ZDF w postępowaniu przed Sądem Krajowym w Koblencji, który miał rozstrzygnąć, czy polski wyrok może być wykonany w Niemczech, podnosili absurdalne argumenty, że nakazanie niemieckiej stacji ZDF opublikowania

eprasa.pl 7463047971

przeprosin dla Karola Tendery za użycie określenia „polskie obozy koncentracyjne" było następstwem polityki historycznej rządzącego Prawa i Sprawiedliwości. Zero w tym merytoryki prawniczej, ale niemiecka renomowana kancelaria nie miała skrępowania w formułowaniu takiej pozaprawnej argumentacji. Wyrok w tej sprawie został wydany 22 grudnia 2016 r., na podstawie dorobku orzeczniczego i doktrynalnego wykształconego jeszcze przed przejęciem władzy przez PiS. Istniała jednak obawa, że w atmosferze politycznej nagonki na polski wymiar sprawiedliwości argumentacja prawna straci na znaczeniu.

Dwa lata temu Federalny Trybunał Sprawiedliwości w Karlsruhe zniósł wyroki niższych instancji w sprawie wytoczonej ZDF przez Karola Tenderę, byłego polskiego więźnia Auschwitz, nakazujące przeproszenie go. Uznając, że niemiecka stacja nie musi honorować wyroków polskich sądów...

W naszej ocenie błędnie odmówił zastosowania prawa UE nakazującego bezwarunkowe wykonywanie w Niemczech wyroków sądów innych państw członkowskich. Prawo UE zakazuje merytorycznej oceny zagranicznych wyroków na etapie uznania jego wykonalności. Jak zaś wynika z opinii prof. Aurelii Nowickiej, niemieccy sędziowie niewątpliwie zakwestionowali co do istoty sprawy polski wyrok. Zwróciła również uwagę na wiele argumentów prawnych wskazujących bezzasadność skorzystania z klauzuli porządku publicznego. Co istotne, nie jest to spór o model wymiaru sprawiedliwości, lecz ewidentne naruszenie prawa UE. W sam raz sprawa dla Komisji Europejskiej.

Pan w tej sprawie – nieuznania przez niemieckie sądy wyroku polskich sądów w sprawie ZDF – napisał do przewodniczącej Jourovej kilka petycji. Jaka była odpowiedź?

Poza naszą petycją, wcześniej do pani Jourovej, jeszcze jako komisarz, pisali nasi europosłowie, którzy prosili o interwencję. Odpowiadając na ten apel, wyznała, że nie zna wyroku w sprawie stacji ZDF, a w ramach planowanej kontroli wróci do tematu w 2022 r.

Wróćmy jednak do mojego pytania. Jaka była reakcja pani wicekomisarz na pana działania?

W odpowiedzi na naszą petycję szefowa biura gabinetu politycznego Salla Sastamoinen stwierdziła, że Komisja Europejska nie ma wystarczających kompetencji w zakresie określania granic, w jakich sądy państw członkowskich mogą odwoływać się do pojęcia porządku publicznego w celu odmowy uznania orzeczenia wydanego przez sąd innego państwa członkowskiego. Czyli tak naprawdę odmówiła jakiejkolwiek reakcji. Pominęła całkowicie, że niemieccy sędziowie nie zwrócili się do TSUE o wykładnię prawa UE. Zatem dopiero Komisja Europejska może spowodować, aby przyjęty przez nich pogląd prawny został zweryfikowany. Z niejasnych powodów zwrócono nam również uwagę, że polscy sędziowie skierowali do TSUE zapytanie prejudycjalne, czy mają prawo rozstrzygać spory dotyczące „polskich obozów". Jaki to ma jednak związek z naruszeniem przez niemiecki trybunał?

Jest to test dla Komisji Europejskiej, czy rzeczywiście jest strażnikiem traktatów, czy adwokatem niemieckich interesów

Można powiedzieć, że sprawa Karola Tendery i ZDF rozbiła się o Federalny Trybunał Sprawiedliwości w Karlsruhe, który uznał, że telewizja nie musi honorować wyroku polskiego sądu.

Zgadza się. Mało tego, ten pogląd będzie mógł być wykorzystywany przy innych próbach wykonania w Niemczech polskiego wyroku w sprawach „polskich obozów" lub podobnych, np. serialu „Nasze matki, nasi ojcowie". Dlatego skierowaliśmy do KE wezwanie do wszczęcia postępowanie w przedmiocie niewykonywania przez Niemców przepisów UE, o których mowa w art. 258 Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej. Apelujemy również do każdego, aby wystąpił z taką formalną skargą do Komisji Europejskiej. Propozycja brzmienia skargi jest udostępniona na stronie stowarzyszenia Patria Nostra.

Dlaczego jest to tak istotne?

Wzajemne uznawanie wykonalności wyroków to jedna z zasadniczych wartości tworzących porządek prawny Unii Europejskiej. Jeżeli w danej sprawie sądy innego kraju – w tym przypadku Niemiec – nie uznają wyroku polskiego sądu, to prowadzi to do bardzo niebezpiecznego precedensu nieuznawania wyroków przez inne państwa członkowskie.

Przykład sprawy Karola Tendery pokazuje, że niemiecki trybunał instrumentalnie traktuje przepisy UE, uchylając się od ich stosowania, w sytuacji gdy jest to korzystne dla interesów niemieckiego podmiotu i dla niemieckiej polityki. To podważa wiarygodność niemieckiego wymiaru sprawiedliwości we wszystkich sprawach transgranicznych, w których jedną ze stron jest osoba lub instytucja z Niemiec. Dzisiaj, nawet w zwykłych sprawach, polski przedsiębiorca nie może mieć pewności, czy w przypadku uzyskania przed polskim sądem korzystnego dla siebie wyroku przeciwko niemieckiemu kontrahentowi rzeczywiście będzie mógł go wyegzekwować. W każdym bowiem momencie niemieccy sędziowie mogą wykazać się podobną kreatywnością jak w przypadku pana Karola Tendery. „Znaleźć" w swoim systemie prawa normę konstytucyjną, która nie pozwala prowadzić egzekucji przeciwko niemieckiemu podmiotowi.

Jest to zatem test dla Komisji Europejskiej, czy rzeczywiście jest strażnikiem traktatów, czy adwokatem niemieckich interesów.

Jakie są największe problemy walki w Niemczech o polską pamięć historyczną?

Istotniejsze jest to, że w Polsce pojawił się problem. Dotychczas polscy sędziowie nie kwestionowali swojego uprawnienia do rozstrzygania o krzywdzie byłych więźniów, którzy poczuli się obrażeni wypowiedziami o „polskich obozach". Tymczasem sędziowie SA w Warszawie, w kolejnej sprawie byłego więźnia Auschwitz przeciwko bawarskiej gazecie, zwrócili się do TSUE z zapytaniem prejudycjalnym, czy przepisy unijne mogą uzasadniać pozywanie Niemców przed polskimi sądami. Pomimo tego, że w równoległej sprawie tego samego powoda przeciwko bawarskiemu radiu sędziowie tego sądu uznali się właściwi, powołując się właśnie na dorobek TSUE. Znowu zatem sami dajemy Komisji Europejskiej, a także niemieckim sędziom sygnał, że chcemy te sprawy im oddać. Pamiętajmy, że wyroki TSUE nie zapadają szybko, co ma znaczenie dla 95-letniego powoda, Stanisława Zalewskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7463047971

FOT. WYDAWNICTWO IN ROCK/WYDAWNICTWO VESPER

Wiek Lovecrafta

Piotr Gociek

Twórczość H.P. Lovecrafta sprzed stu lat trafia w lęki i niepokoje współczesnego człowieka lepiej niż literatura XXI stulecia. Jak to możliwe?

Są prorocy, którzy musieli długo czekać, aż duch czasów dogoni ich wizje. Howard Phillips Lovecraft jest jednym z nich. Kiedy w Polsce ukazał się pierwszy wybór jego opowiadań („Zew Cthulhu", 1983), potraktowano go jako szacowną ramotkę, perłę z lamusa. Któż w czasach zimnej wojny, stanu wojennego, atomowej rywalizacji i promów kosmicznych miałby powód, by ekscytować się opowieściami grozy z przedwojennych tandetnych magazynów?

Dzisiaj twórczość Lovecrafta wydawana jest w USA w prestiżowych seriach klasyków amerykańskiej literatury, badana na uczelniach, tak jak bada się dorobek Hemingwaya czy Faulknera. Nie oznacza to, że jest on twórcą równie wybitnym, ale na pewno nie jest twórcą poślednim.

Także w Polsce od ponad dekady nowe wybory opowiadań amerykańskiego pisarza są właściwie w nieustannej sprzedaży. Maciej Płaza, znakomity tłumacz, za nowy przekład Lovecrafta otrzymał prestiżową nagrodę miesięcznika „Literatura na Świecie". Dostaliśmy obszerną biografię Lovecrafta, dostaliśmy wybór jego listów i esejów. Właśnie ukazały się dwa wspaniałe albumy z malarskimi interpretacjami głośnych dzieł Lovecrafta, których autorem jest Françoise Baranger. Jest i polska komiksowa adaptacja opowiadania „W górach szaleństwa", na którą porwał się (z dobrym rezultatem) Adam Fyda.

Rośnie lista ekranizacji. Fakt, że większość to krótki metraż i dzieła fanów, ale przecież najnowsza wielka rola Nicolasa Cage'a, o której pisałem niedawno w „Do Rzeczy", była ozdobą świetnego filmu „Kolor z przestworzy" na motywach Lovecrafta (film jest w Polsce dostępny w serwisach VOD i na DVD). Kto potrzebuje jeszcze rekomendacji ze strony niekwestionowanego autorytetu, powinien zwrócić uwagę na książeczkę Michela Houellebecqa. Twórca „Cząstek elementarnych" i „Uległości" poświęcił amerykańskiemu klasykowi grozy osobną pracę „H.P. Lovecraft. Przeciw światu, przeciw życiu". Właśnie została u nas wznowiona.

POPKULTUROWY FENOMEN

Co sprawia, że Howard Phillips Lovecraft (1890–1937) jest dziś autorem tak popularnym, analizowanym, trafiającym najwyraźniej w lęki człowieka XXI stulecia? Jego spuścizna literacka nie jest wielka (kilkadziesiąt krótkich utworów). Mnóstwo czasu zmarnował w życiu na poprawianie i redagowanie utworów pisarzy dużo gorszych od niego. Umarł w biedzie. Na współczesność był obrażony, nie cierpiał współczesnych miast, był także pisarzem nierównym, są w jego dorobku teksty fatalne, są i zachwycające stylem i klimatem. To ostatnie nie tłumaczy jednak tego, że stał się popkulturowym fenomenem.

Oczywiście w środowisku miłośników fantastyki – zwłaszcza grozy, horroru, weird fiction – od dawna był figurą otoczoną kultem. Wiele zawdzięcza swym przyjaciołom – takim jak August Derleth – którzy po śmierci Lovecrafta rozbudowywali stworzoną przez niego mitologię. Stała się ona podstawą do tworzenia gier i komiksów, a także inspirowała późniejszych pisarzy. To wciąż jednak za mało, by zrozumieć, dlaczego telewizja HBO zapowiada z wielką pompą serial „Kraina Lovecrafta", który nakręcił Jordan Peele, jeden z najlepszych młodych reżyserów amerykańskich. I dlaczego w poważnych recenzjach artystycznego, znakomitego filmu „Latarnia („The Lighthouse") Roberta Eggersa po premierze na ubiegłorocznym festiwalu w Cannes przymiotnik „lovecraftowski" pojawiał się równie często jak odniesienia do prac Junga czy mitologii greckiej.

eprasa.pl 7463047971

Spójrzmy na przesłanie Lovecrafta. Autor był zatwardziałym ateistą, nie oznacza to jednak, że jego wszechświat był pusty. Ludzkość okazywała się w nim nieistotną częścią kosmosu, którym rządziły o wiele potężniejsze, mroczne i straszliwe siły. W utworach Lovecrafta groza przyjmuje rozmaite postacie, aczkolwiek motywem powracającym nieustannie jest koncepcja pradawnych bóstw, które kiedyś miały Ziemię w posiadaniu, teraz zaś czyhają, by powrócić. Są wśród nich istoty pośledniejsze (choć i tak przerastające nas niesłychanie), są i potęgi na skalę niewyobrażalną, czające się na skraju nieznanego, tuż za granicą naszego poznania i postrzegania, ale także w innych światach.

Nie czas tu i miejsce, by zagłębiać się w szczegóły mitologii Cthulhu, bo typologia i mechanika ważna dla zapamiętałych fanów czy graczy nie jest tym, co uwiodło rzesze mainstreamowych czytelników. Zwłaszcza że Lovecraftowi przydarzyła się rzecz podobna do tej, która wyniosła do głównego nurtu Philipa K. Dicka – „odkleił się" od getta fantastyki. Są ludzie, którzy w ogóle nie interesują się horrorem czy weird fiction, ale uważnie czytają Lovecrafta, tak jak ludzie, którzy science fiction mają w nosie, ale Dick jest dla nich ważnym pisarzem mówiącym coś istotnego o problemach współczesnego człowieka.

Dick był niestrudzonym poszukiwaczem Boga. Jego bohaterowie przedzierając się przez tandetne światy przepełnione fałszem, zrywali kolejne zasłony, pragnąc stanąć z Bogiem oko w oko i dowiedzieć się, czy to pan łaskawy czy mściwy demiurg. Lovecraft jest arcymistrzem pustki i niepokoju. Jego twórczość przepojona jest lękiem przed tym, co nieznane i niemożliwe do poznania. Chyboczemy się wszyscy na tratwie pośrodku bezbrzeżnego niebezpiecznego oceanu wszechświata, a o naszym losie decydują siły, na które nie mamy wpływu. Kiedy zwrócimy na to uwagę, to stanie się nagle jasne, dlaczego dla współczesnego czytelnika Lovecraft jest tak atrakcyjny. Jego twórczość oddaje lęki mieszkańca nowoczesnego świata, z którego wyrugowano Boga stwórcę. W pustkę wkraczają rozpacz, histeria i mroczne siły.

TRZY POZIOMY

Mamy więc trzy poziomy zainteresowania Lovecraftem. Po pierwsze, to utalentowany pisarz sugestywnie tworzący atmosferę grozy. – Zawsze podobało mi się poczucie opuszczenia, które Lovecraft wprowadził do pejzaży swoich książek – mówi „Do Rzeczy" Graham Masterton, popularny autor współczesnych horrorów. – Podobało mi się poczucie, że pozostawiając za sobą bezpieczne i znajome terytoria, zawędrowałeś trochę za daleko, w miejsca bardzo dziwne.

Masterton sam sięgał po motywy z Lovecrafta, pisząc swoje bestsellery. Inspirował się nim, między innymi pisząc książkę przełomową dla swej kariery: „Manitou". – Szukałem zagrożenia, które nie miałoby nic wspólnego z chrześcijaństwem, wampirami czy w ogóle z demonami ze Starego Świata – opowiada Masterton. – Drogę wskazał mi Lovecraft. Wspaniałą rzeczą w jego pisarstwie, która czyni go tak niezwykłym i tak istotnym do dziś, jest to, że stworzył mitologię, która była całkowicie oryginalna, ale co ważniejsze, całkowicie amerykańska.

Oryginalność, wyjątkowość, amerykańskość – tak, to drugi poziom zainteresowania Lovecraftem, zapewne ten najważniejszy dla amerykańskich badaczy uniwersyteckich. Lovecraft jako klasyk równie wielki jak Edgar Allan Poe, a jednocześnie produkt wyjątkowy, bo taki, który zaistnieć mógł tylko w Nowym Świecie. Zresztą amerykańskie przemiany wpływają także na recepcję Lovecrafta, któremu wytyka się dziś rasizm.

Poziom trzeci, najważniejszy, czyli Lovecraft jako prekursor współczesnych lęków. Z taką tezą zgadza się wybitny badacz jego dokonań, autor potężnej biografii samotnika z Providence, S.T. Joshi. – Twórczość Lovecrafta jest bardziej aktualna dziś niż w czasach, w których powstawała – mówi Joshi „Do Rzeczy". – Przedstawiał ludzką kruchość w obliczu czasu i przestrzeni, co bardzo przemawia do współczesnego czytelnika. „Widmo znad Innsmouth" i „Cień spoza czasu" dotykają przemiany człowieka w obcą istotę. Opowiadanie „Coś na progu", w którym czytamy o zdobyciu kontroli nad cudzym ciałem, wyprzedza dzisiejsze dyskusje o gender. Był pionierem na wielu polach – podkreśla Joshi.

Mimo że Lovecraft był ateistą, był także zaciekłym konserwatystą, niektórzy piszą „reakcjonistą", wrogiem merkantylizmu i kapitalizmu. Wysławiał czystość, skromność, wierność, przyzwoitość. „Wartość istoty ludzkiej mierzy się teraz jej ekonomiczną wydajnością i erotycznym potencjałem: zatem tymi cechami, którymi Lovecraft najbardziej pogardzał" – tłumaczył w swym eseju Houellebecq. Francuz w wielu kwestiach interpretacyjnych mocno się mylił, ale powyższe dostrzegał właściwie. Lovecraft jako autor ekstremalny, który wyprzedził czasy ekstremalne. Jeśli z pojmowaniem przerażającego przesłania twórcy „Szepczącego w ciemności" jest z dekady na dekadę coraz lepiej, to oznaczać to może tylko jedno – że ze światem z dekady na dekadę jest coraz gorzej.

H.P. LOVECRAFT
„ZEW CTHULHU"
VESPER 2020
Pięć najważniejszych opowiadań pisarza w nowym przekładzie Macieja Płazy.

H.P. LOVECRAFT, FRANÇOISE BARANGER
„W GÓRACH SZALEŃSTWA"
VESPER 2020
Artbook, w którym oryginalnemu tekstowi noweli towarzyszą oszałamiające, malarskie ilustracje.

ADAM FYDA
„GÓRY SZALEŃSTWA"
TIMOF I CISI WSPÓLNICY
2020
Polska adaptacja komiksowa jednego z najważniejszych opowiadań Lovecrafta.

H.P. LOVECRAFT
„KOSZMARY I FANTAZJE"
SQN 2013
Drobny fragment korespondencji Lovecrafta. Zdaniem wielu krytyków jego twórczość epistolarna jest jeszcze ważniejsza od literackiej.

H.P. LOVECRAFT
„WYZWANIE Z INNEGO ŚWIATA"
WYDAWNICTWO IX 2018
Zbiór opowiadań pisanych przez Lovecrafta z innymi autorami oraz utworów humorystycznych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7463047971

Bliskowschodnia wojna informacyjna

Odpowiedzią MBC na tureckie produkcje historyczne sławiące imperium osmańskie jest serial „Kingdoms of Fire" („Królestwa ognia") FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Witold Repetowicz

Skonfliktowane ze sobą państwa bliskowschodnie stworzyły mniej lub bardziej skuteczne narzędzia medialne, których celem jest prowadzenie bezpardonowej wojny informacyjnej

Częścią tej wojny jest też oddziaływanie soft power za pomocą produkcji filmowych, seriali czy programów dokumentalnych. Media te nadają przy tym swoje programy nie tylko w językach regionu, lecz także po angielsku, a widzowie na Zachodzie często nie mają świadomości, że stają się częścią rywalizacji toczącej się na Bliskim Wschodzie. Tureckie seriale od dawna goszczą w polskich domach, m.in. za sprawą TVP, a widzowie rzadko zdają sobie sprawę z tego, że przynajmniej część z nich ma na celu – poza dostarczaniem rozrywki – oddziaływanie na turecką oraz światową opinię publiczną. Dotyczy to w szczególności seriali historycznych, takich jak „Wspaniałe stulecie". To, co dla wielu Polaków, a jeszcze bardziej Polek, jest tylko egzotycznymi perypetiami haremu w barwnej sułtańskiej Turcji, w istocie jest promocją nostalgicznej wizji imperium osmańskiego. To, co nie jest jednak zrozumiałe w Polsce czy szerzej: w Europie, doskonale rozumieją Arabowie, którzy, delikatnie mówiąc, nie podzielają ciepłych uczuć w stosunku do rządzonego przez sułtanów imperium.

POTĘŻNE NARZĘDZIA

Arabskie produkcje nie przebijają się za bardzo ani do europejskich kin, ani na ekrany naszych telewizorów. Zaledwie kilka arabskich filmów można znaleźć na platformie Netflixa, i to od niedawna. Ale Arabowie już dawno zrozumieli potęgę oddziaływania za pomocą filmów i seriali i nie mają wątpliwości, czemu służą tureckie seriale typu „Wspaniałe stulecie". I że trzeba na nie odpowiedzieć. Mają też całkiem potężne narzędzie w postaci medialnej grupy MBC (Middle East Broadcasting Center). Choć w Polsce jest ona całkowicie nieznana, to w niemal każdym hotelu na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej można oglądać kilkanaście kanałów tej telewizji.

MBC działa od 1991 r. i należy do Saudów, ale jest nadawana z Dubaju, co pozwala na większą elastyczność, gdyż w Zjednoczonych Emiratach Arabskich reguły obyczajowe nie są tak restrykcyjne jak w wahabickiej Arabii Saudyjskiej. Widownia ponad 20 kanałów MBC szacowana jest na prawie 200 mln, a jeden z kanałów nadaje po persku. W skład tej grupy medialnej wchodzi też kanał informacyjny Al-Arabiya, który choć jest znacznie mniej znany na Zachodzie niż katarska, a więc skonfliktowana z Saudami i MBC, Al-Dżazira, ma również swoją wersję anglojęzyczną, a także perską i urdu.

Odpowiedzią MBC na tureckie produkcje historyczne sławiące imperium osmańskie jest serial „Kingdoms of Fire" („Królestwa ognia"), będący produkcją Zjednoczonych Emiratów Arabskich, a wyreżyserowany przez Brytyjczyka Petera Webbera, z budżetem w wysokości 40 mln dol. „Kingdoms of Fire" pojawiło się na antenie MBC w listopadzie ub.r. i miało również być dostępne na platformie Netfixa, jednak na razie, przynajmniej w Polsce, nie jest dostępne. Serial od razu wywołał polityczną burzę. Opowiada bowiem o mającym miejsce na przełomie XV i XVI w. podboju Egiptu – rządzonego przez mameluckiego władcę Tuman-beja II – przez osmańskiego sułtana Selima Groźnego (ojca będącego głównym bohaterem „Wspaniałego stulecia" sułtana Sulejmana). Krwawa turecka

eprasa.pl 7463047971

ekspansja, bohatersko powstrzymywana przez obrońcę arabskiego królestwa, jest wyraźną aluzją do agresywnej polityki obecnego prezydenta Turcji Recepa Tayyipa Erdoğana w świecie arabskim, która spotyka się ze sprzeciwem zarówno Arabii Saudyjskiej, jak i Zjednoczonych Emiratów Arabskich oraz Egiptu. O współczesnym politycznym tle serialu świadczy dobitnie to, że lider rządzącego w Egipcie do 2013 r. i obalonego wówczas przy pomocy saudyjskiej Bractwa Muzułmańskiego, wspieranego za to przez Turcję, Asim Abdel Maged, oświadczył, że w serialu najbardziej go uradowało to, że mamelucki sułtan Egiptu zginął pokonany przez Turków. Serial skrytykowali też sprzymierzeni z Turcją Katarczycy, których kraj objęty jest od kilku lat saudyjsko-emiracką blokadą.

Katar (i nie tylko on) zaatakował też dwa inne seriale MBC, nadane niedawno w czasie świętego miesiąca muzułmańskiego, ramadanu. Chodzi o „Umm Harun" („Matkę Arona") oraz „Machradź 7" („Wyjście nr 7"), które zdaniem krytyków (tj. krytyków filmu, Saudów i Izraela) miały służyć urabianiu arabskiej opinii publicznej w celu ocieplenia wizerunku Żydów i doprowadzenia do normalizacji stosunków saudyjsko-izraelskich. Taki przekaz pojawił się na antenie najbardziej znanej na Zachodzie arabskiej telewizji, tj. Al-Dżaziry, której sukces polega m.in. na stworzeniu iluzji jej niezależności. W rzeczywistości telewizja ta należy do rodziny panującej w Katarze i realizuje politykę informacyjną tego, delikatnie mówiąc, niezbyt demokratycznego i oskarżanego o wspieranie dżihadystów niewielkiego, acz bogatego państwa. Zarzuty Al-Dżaziry błyskawicznie starała się odeprzeć saudyjska Al-Arabiya, która wytknęła katarskiej rywalce, że na jej antenie gościł nawet rzecznik izraelskich sił zbrojnych, a także iż ma biuro w Izraelu. Tamtejszy korespondent katarskiej telewizji miał również publikować artykuły na łamach izraelskiej prasy, w których przekonywał o wkładzie Al-Dżaziry w „normalizację wizerunku Izraelczyków".

WZNIECANIE NIENAWIŚCI

Al-Dżazira częściowo swój sukces zawdzięcza dywersyfikacji przekazu. Podczas gdy w wersji anglojęzycznej wydaje się tubą wszelkiego postępu, ujmując się za prześladowanymi mniejszościami, w tym seksualnymi, niedostatkami demokracji (w tym w Polsce), to w wersji arabskojęzycznej wielokrotnie nawoływała do nienawiści, a nawet ludobójstwa. Kilka lat temu jeden z jej programów zatytułowany był „Czy alawici powinni zostać wymordowani?", a jego konkluzją, w zasadzie oczywistą od samego początku, było że tak. Katarska telewizja wielokrotnie była też oskarżana o wzniecanie nienawiści irackich sunnitów do szyitów.

Podobny zarzut został zresztą niedawno sformowany pod adresem MBC po tym, jak w połowie maja nadała ona film dokumentalny dotyczący Abu Mahdiego al-Muhandisa, lidera Al-Haszed asz-Szaabi, czyli zdominowanej przez szyitów ochotniczej formacji wojskowej w Iraku. Abu Mahdi został zabity przez Amerykanów na początku stycznia w tym samym ataku co irański gen. Kassem Sulejmani. W filmie MBC został natomiast sportretowany jako terrorysta, co natychmiast wywołało gwałtowne protesty w Iraku i żądania ze strony szyickich polityków zamknięcia biura tej stacji w Bagdadzie. Do krytyki dołączyły od razu irańskie media, które zarzuciły Saudom, że poprzez MBC chcą doprowadzić do nowego konfliktu sunnicko-szyickiego w Iraku i w konsekwencji nowej wojny domowej w tym kraju, a także że wspierają terrorystów z Państwa Islamskiego, przeciwko którym walczył Abu Mahdi i podległe mu oddziały.

Wcześniej irańskie media wręcz bombardowały ostrą krytyką wspomnianych wcześniej seriali „Umm Harun" oraz „Machradź 7". Iran stara się bowiem skompromitować swoich saudyjskich adwersarzy w oczach arabskiej ulicy ich ambiwalencją wobec sprawy palestyńskiej, której z kolei on sam chce się prezentować jako największy adwokat. Ale Teheran nie dysponuje takimi narzędziami medialnymi jak Saudowie czy Katar. Co prawda irańskie produkcje filmowe od dawna są znane na całym świecie i zdobywają nagrody na międzynarodowych festiwalach, ale nie są to produkcje historyczne, które forsowałyby optykę Islamskiej Republiki Iranu. Iran ma jednak całkiem sporo takich produkcji, zarówno seriali, jak i filmów, a co najmniej niektóre z nich są całkiem dobre pod względem artystycznym. Dotyczy to np. filmu „Arvand" z 2016 r. opowiadającego o irańskim oddziale płetwonurków w czasie toczącej się w latach 80. wojny iracko-irańskiej. W Polsce był on wyświetlany jednak wyłącznie na pokazach studyjnych.

Problemem Iranu, jeśli chodzi o możliwość oddziaływania soft power, jest z jednej strony jego izolacja i konflikt z USA, co powoduje, iż w przeciwieństwie do przekazów płynących z Rijadu, Ad-Dauhy, Dubaju czy Stambułu, ten płynący z Teheranu jest z góry uznawany za propagandowy. Z drugiej strony to, że Iran nie jest krajem arabskim, a ponadto jest krajem szyickim, powoduje ograniczoną możliwość oddziaływania na arabską czy ogólnie muzułmańską opinię publiczną. Mimo to Iran dysponuje też mediami nadającymi po arabsku czy angielsku. Na przykład portal irańskiej agencji Mehr ma swoją wersję w pięciu językach, poza perskim są to arabski, kurdyjski, urdu i angielski. Najbardziej znanym angielskojęzycznym medium irańskim jest jednak telewizja PressTV nadająca również po francusku, która jednak została objęta różnymi sankcjami na Zachodzie i ograniczeniami, m.in. przez YouTube czy Google. Irańczycy dysponują też dwoma innymi kanałami: hiszpańskojęzyczną HispanTV oraz arabskojęzyczną Al-Alam, ale nie są one zbyt popularne.

Takich problemów jak Irańczycy nie mają za to Turcy, dysponujący licznymi anglojęzycznymi narzędziami medialnymi. Co więcej, europejscy odbiorcy, w tym media, jeszcze bardziej bezkrytycznie podchodzą do przekazu z takich źródeł jak Agencja Anadolu czy telewizja TRT, niż się to dzieje w przypadku Al-Dżaziry. TRT World powstała przy tym stosunkowo niedawno, bo w 2015 r., i w dużym stopniu małpuje modus operandi Al-Dżaziry, starając się przedstawiać jako postępowa i martwiąca się o demokrację i los mniejszości w Europie, w tym w Polsce. Na jej antenie wielokrotnie gościli zresztą również polscy politycy.

W tej medialnej wojnie bywają też ofiary. Na przykład Arabia Saudyjska i Zjednoczone Emiraty Arabskie od trzech lat żądają od Kataru zamknięcia Al-Dżaziry, oskarżając ją o szerzenie terrorystycznej propagandy. Z kolei w egipskim więzieniu od trzech lat przebywa reporter tej telewizji, Mahmud Hussein. Amerykanie zaś w styczniu 2019 r. przez 10 dni trzymali w areszcie dziennikarkę PressTV, Marzieh Haszemi. Arabia Saudyjska z kolei zablokowała u siebie w kwietniu tego roku dostęp do strony internetowej tureckiej Agencji Anadolu oraz TRT, na co Turcja odpowiedziała podobnym krokiem w stosunku do wielu mediów saudyjskich i emirackich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7463047971

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Bydlę. Życie i śmierć

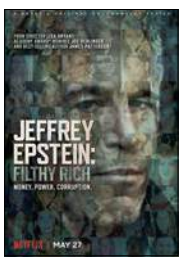

★★★★★★

REŻ. LISA BRYANT „JEFFREY EPSTEIN: FILTHY RICH" USA 2020 MINISERIAL DOKUMENTALNY, NETFLIX

Życie dopisało ciąg dalszy do tego, co widzimy na ekranie – tydzień temu amerykański Departament Sprawiedliwości zażądał od Brytyjczyków wydania księcia Andrzeja, którego chce przesłuchać w sprawie pedofilskiej afery Jeffreya Epsteina. To właśnie Epstein i jego machinacje są przedmiotem wstrząsającej opowieści dokumentalnej, w której mówią ofiary, policjanci i dziennikarze, których do czasu powstania ruchu #metoo nikt nie chciał słuchać. I jakże niewygodnej dla tych, którzy twierdzą, że pedofilia to domena kleru.

Historia jest przerażająca. Epstein, przystojny i niebywale zręczny manipulator, doszedł do wielkich pieniędzy nie tylko dzięki własnym talentom finansowym, lecz także dzięki okradaniu wspólników. Źródeł części jego fortuny nadal nie znamy. Jako tajemniczy bogacz („Vanity Fair" reklamowało go jako „współczesnego Gatsby'ego") stał się jedną z ważnych figur establishmentu. Rezydencja na Florydzie, prywatna wyspa, odrzutowiec, kolekcja obrazów. I ciemna strona: miłośnik seksu z nieletnimi dziewczynkami. Niektóre z nich przed kamerą opowiadają o tym, jak były uwodzone, kupowane i zwyczajnie gwałcone. „W prezencie urodzinowym od przyjaciela dostał kiedyś na wyspie 12-letnie trojaczki" – opowiada jedna z bohaterek.

Epstein zaspokajał nie tylko własne pedofilskie potrzeby. Organizował orgie dla wpływowych przyjaciół. Wynajmował nieletnie znajomym z innych krajów. Odruchy oporu dławił pieniędzmi. Dzieci o wypranych mózgach zaczynały uważać go za dobroczyńcę: wszak płacił za ich podróże, zagraniczne szkoły, kursy zawodowe. Jedna z ofiar uciekła do Australii, gdy Epstein ze swą partnerką zażądali, by urodziła im dziecko.

Śledztwo w jego sprawie trwało dwie dekady, ale dzięki koneksjom, pieniądzom i znakomitym prawnikom długo umykał przed wymiarem sprawiedliwości. Historia jego „umowy" z prokuraturą jest szokująca. Ale jak tu dociskać faceta, w którego seksraju gościł nieraz Bill Clinton, a w londyńskim domu – książę Andrzej? Gdy wreszcie dosięgła go sprawiedliwość, popełnił samobójstwo w nowojorskiej celi, zanim sprawa trafiła do sądu. Samobójstwo, w które nikt nie wierzy, bo Epstein mógł pogrążyć zbyt wielu wpływowych ludzi. Śledztwo jednak trwa i być może ława oskarżonych wreszcie się zapełni. Wszak Epstein nie działał sam. ©℗

NOWE SERIALE: „W GŁĘBI LASU"

Netflix narzędziem popkulturowej globalizacji – to wiemy – a przy okazji trampoliną dla Polaków próbujących (nareszcie!) rozpychać się wśród zagranicznej konkurencji. Dowodem serial polski, ale na podstawie światowego bestsellera Harlana Cobena. Wcześniej dwie książki amerykańskiego pisarza zekranizowali dla Netflixa Brytyjczycy, teraz czas na sześcioodcinkowy serial, który wyreżyserowali Leszek Dawid i Bartosz Konopka, przenosząc zresztą akcję do Polski. W rolach głównych Grzegorz Damięcki i Agnieszka Grochowska. Sam Coben był jednym z producentów wykonawczych. ©℗ ***Piotr Gociek***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Zabou Breitman, Eléa Gobbé-Mévellec* ***„Jaskółki z Kabulu"****, Francja 2019, animowany, Cinemax 2* CINEMAX
- *reż. Andrea di Stefano* ***„3 sekundy"*** *(„The Informer"), Wielka Brytania 2019, kryminalny, Cineman.pl* CINEMAN
- *reż. Paweł Ferdek* ***„Pollywood"****, Polska 2020, dokumentalny, HBO GO*

eprasa.pl 7463047971

Między reklamami

HBO GO

To tajemnica poliszynela, że komicy prywatnie wcale nie są zabawni, a czasem bywają wręcz antypatyczni. Katherine Newbury, gospodyni telewizyjnego show „Late Night", dodatkowo jest samolubna i wyniosła. Doprawdy, trudno zrozumieć, jak ktoś taki mógł zdobyć sympatię milionów widzów i szacunek w branży. Po 28 latach przychodzi jednak kryska na matyska – dyrekcja zamierza pozbyć się gwiazdy, która nie posiada konta na Twitterze ani Facebooku, a youtube'owych celebrytów traktuje z buta. Newbury w odruchu rozpaczy dokooptuje do swojej ekipy ciemnoskórą hinduskę z zerowym doświadczeniem.

Podobną bajkę, tyle że w wersji glamour, zaserwowali nam już autorzy ekranizacji wiekopomnej powieści „Diabeł ubiera się u Prady". Tam bohaterka upozowana była na redaktorkę modowego czasopisma. Tutaj za wzór posłużyła dyżurna lesbijka USA, Ellen DeGeneres (aby uniknąć problemów prawnych, z Katherine zrobiono heteroseksualną Angielkę). Emma Thompson z właściwą sobie gracją omija mielizny scenariusza: śmieszy, tumani, a czasem nawet przestrasza, jednak – jak to w amerykańskich komediach – zderzenie z górą lodową banału jest nieuchronne. Humor idzie na dno, na powierzchni zostaje tylko pean na cześć kobiecej kreatywności oraz zalet multi-kulti. Ha, ha, ha. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. NISHA GANATRA „LATE NIGHT" USA 2019

wyst. Emma Thompson, Mindy Kaling, John Lithgow

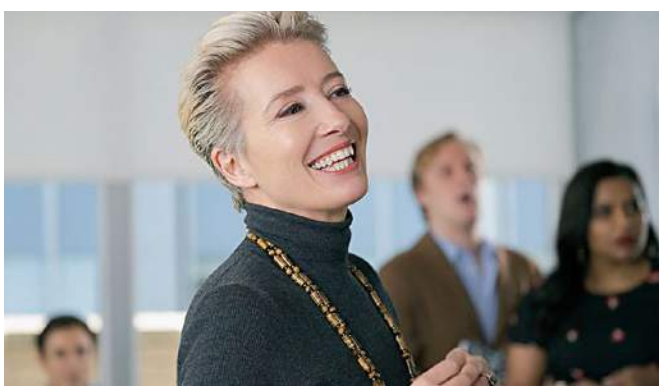

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SEN O NOŻU I WIDELCU

vod.pl

Pierwsze kadry przywodzą na myśl „Zaginioną autostradę" Lyncha i to jest dobry trop. Niepokojącej muzyce towarzyszą zaburzenia czasoprzestrzeni. Anna podejrzewa, że Nick jest nowym wcieleniem Casanovy. Lekiem na małżeński kryzys ma być wspólny wyjazd do Szwajcarii. W alpejskim ustroniu ona zamierza popełnić nową powieść, on planuje zebrać i przeanalizować miejscowe przepisy kulinarne, gdyż jest z zawodu i powołania kucharzem. Mieszkanie w Wiedniu (dziwnie przypominającym Łódź) wynajmują ekscentrycznej znajomej. Wiara w realność świata przedstawionego ulatuje z każdą minutą seansu. Cóż to za pokój, do którego nie można zaglądać? Kto i kiedy uderzył się w głowę? Dlaczego kot prosi o papierosa? Są ludzie, którzy kochają takie gierki i oni pewnie obejrzą „Zwierzęta" więcej niż raz. Dla tych, którzy w sny nie wierzą, mam pocieszającą wiadomość: wielki widelec, wbity w Jezioro Genewskie, z pewnością nie jest urojeniem.

★★★★☆☆

REŻ. GREG ZGLINSKI „ZWIERZĘTA" („TIERE") AUSTRIA/ SZWAJCARIA/ POLSKA 2017, KINO ŚWIAT

Birgit Minichmayr, Philipp Hochmair, Mona Petri

MIŁOŚĆ, BÓL I ŚMIERĆ

CINEMAN

Zwycięskiego pochodu zwyrodnialców przez dzikie pola popkultury ciąg dalszy. Para nowożeńców z USA, spędzająca miesiąc miodowy w Europie, pada ofiarą mordu. Oprawca, fan arcydzieł malarstwa i rzeźby, potrafi korzystać z dobrodziejstw globalizacji. Ojciec panny młodej, policjant, zdeprymowany brakiem kontroli na granicach, dopiero się tego uczy. Dziś pościg za wędrownym mordercą trwałby krócej. Pandemia położyła bowiem kres swobodzie podróżowania, powszechna inwigilacja ma się zaś coraz lepiej. Jednak nawet biorąc poprawkę na zmiany, historia jest mocno wydumana. Liza Marklund, autorka książkowego pierwowzoru, mnożąc fabularne atrakcje, najzwyczajniej przeholowała. Ekran jest mniej cierpliwy niż papier, więc film ogląda się z rosnącą irytacją i ze smutkiem z odkrycia, że Danis Tanović, reżyser „Ziemi niczyjej", aż tak się pogubił. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

★★☆☆☆☆

REŻ. DANIS TANOVIĆ „SZTUKA ZBRODNI" („THE POSTCARD KILLINGS") USA / WIELKA BRYTANIA 2019, MONOLITH FILMS

Jeffrey Dean Morgan, Famke Janssen, Naomi Battrick

GRA TYGODNIA: „COMMAND & CONQUER REMASTERED"

★★★★☆☆

„Command & Conquer" oraz jego bezpośrednia kontynuacja z podtytułem „Red Alert" to dwie gry, które w latach 90. stworzyły gatunek strategii czasu rzeczywistego. Jak na ówczesne standardy imponowały kolorową grafiką, warstwą fabularną z alternatywną historią XX w. oraz przerywnikami filmowymi, z pamiętnymi kreacjami aktorskimi i muzyką w tle. Po wielu perypetiach legendarny cykl wraca w postaci pełnoprawnego remasteringu, z usprawnionym sterowaniem, stworzoną od nowa grafiką oraz wszystkimi dostępnymi dodatkami, wraz z trybami gry sieciowej. Warto wrócić do tego klasyka nie tylko z nostalgii. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *RTS*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Petroglyph/EA*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *12+*

eprasa.pl 7463047971

MOJA PÓŁKA

Śmietanka z Iwaszkiewicza

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Moda na grube książki, wielkie rozmiarami tomiszcza, opasłe woluminy nie mija. Czasem jednak po zapoznaniu się z zawartością takiego dzieła dochodzimy do wniosku, że właściwie powinno być jeszcze obszerniejsze, nie znaleźliśmy bowiem w nim tego wszystkiego, czego się po nim spodziewaliśmy, czego oczekiwaliśmy. Takie z lekka masochistyczne uczucie towarzyszyło mi podczas lektury „Drogi", wydanego przez Iskry potężnego tomu opowiadań i wierszy Jarosława Iwaszkiewicza w opracowaniu i wyborze Radosława Romaniuka, znawcy życia i twórczości autora „Brzeziny", co udokumentował biografią tego pisarza zatytułowaną „Inne życie".

Na „Drogę" składa się 16 opowiadań – od „Nowej miłości", powstałej w 1925 r., po wydane w roku 1976 „Zarudzie" – i 58 wierszy – od „Włóczęgi" z debiutanckich „Oktostychów" z roku 1919 po „Uranię" napisaną 2 lutego 1980 r., dokładnie miesiąc przed śmiercią tego 86-letniego prozaika, dramaturga, eseisty i poety. Wszystko to, wraz ze wstępem Radosława Romaniuka, mieści się na 1120 stronach.

Jest tu, z całą pewnością, zebrana Iwaszkiewiczowska śmietanka, cały ten crème de la crème. Wcześniej Iskry w podobny sposób wydały opowiadania Marka Nowakowskiego, także w jednym potężnym tomie, który można by opatrzyć winietą „The Best of…".

W „Drodze" znajdziemy rzeczywiście najlepsze opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza, na czele z arcygenialnymi „Pannami z Wilka", z „Matką Joanną od Aniołów", z „Serenite" i „Wzlotem". Szczególną uwagę zwracam na ten ostatni, nieczęsto przypominany, a napisany w roku 1957 w atmosferze popaździernikowej, zaskakująco korespondujący z ówczesnymi opowiadaniami Marka Hłaski, dedykowany zaś Albertowi Camusowi. Nawiasem mówiąc, wymieniony został „Wzlot" jednym tchem z „Ósmym dniem tygodnia" Hłaski jako „utwór wielkiego bólu serca". Jak najsłuszniej, zadziwiające jednak, że uczynił to na łamach „Nowej Kultury"… Włodzimierz Sokorski.

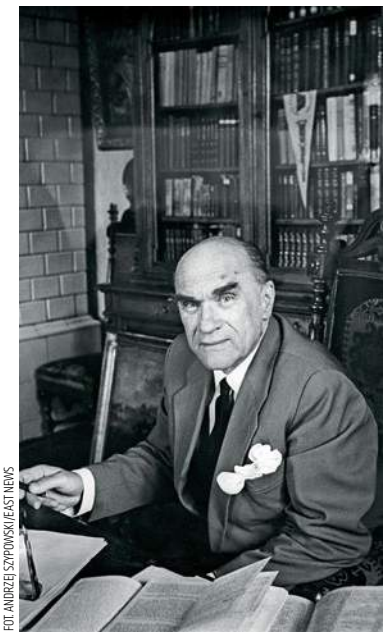

FOT. ANDRZEJ SZYPOWSKI/EAST NEWS

Był Iwaszkiewicz mistrzem dłuższych opowiadań, niezbyt mocno zakorzenionych w literaturze polskiej, za to wysoko cenionych choćby w krajach anglosaskich, gdzie mocną pozycję w świecie pisarskim zdobywa się właśnie dzięki uprawianiu formy znanej jako long short story. No to mamy w „Drodze" przegląd takich opowiadań, z upodobaniem pisanych przez Iwaszkiewicza, który w nich właśnie wypowiedział się najpełniej, także pod względem artystycznym. Niektórych tekstów próżno by jednak szukać w tomie Iskier, co oczywiście jest zrozumiałe w wypadku np. socrealistycznego gniota, którym była „Ucieczka Felka Okonia". Nie ma tu też jednak sławnych Iwaszkiewiczowskich „Młynów…", nad Lutynią czy Utratą, nie ma „Starej cegielni", nie ma wielu innych opowiadań, ale przecież autor miał prawo do takiego, a nie innego wyboru, a ten przez niego zaproponowany jest naprawdę znakomity. Tak bardzo, że chciałoby się dalej czytać te opowiadania, nie kończąc lektury na „Zarudziu".

Pewien niedosyt wywołuje również wybór wierszy, bo jest ich najzwyczajniej stanowczo za mało. Miał Iwaszkiewicz gorsze okresy poetyckie i słusznie pominięty został teraz, dajmy na to, taki jego tom jak „Krągły rok" czy z przedwojennych jeszcze zbiorów „Kasydy". Ale późny stary poeta, ten z „Mapy pogody", z „Muzyki wieczorem" był znakomity. Tymczasem zaprezentowany został w nader skąpych zestawach wierszy. Na szczęście te, które są, w jakiejś mierze to rekompensują. Myślę tu o „Starym poecie" z „Mapy pogody", o „Ostatniej piosence wędrownego czeladnika" z „Muzyki wieczorem" czy o wcześniejszej „Piosence dla zmarłej" z „Elegii" z tymi słowami:

Wszystko jest od Boga
I do Boga droga
Niby Jakubowa
Drabina uboga.

Namawiam do sięgnięcia po „Drogę" i zanurzenia się w tej frazie, niedościgłej dla ludzi nazywanych czy też uważających się za koryfeuszy naszej literatury. Jednak żeby to zrobić, trzeba wyczyścić sobie – na czas lektury – pamięć z poetyckiego „Listu do prezydenta" napisanego przez Iwaszkiewicza na 60. urodziny Bieruta, z przyznanej mu Nagrody Leninowskiej, jego karesów z partyjnymi czynownikami, pochówku w mundurze górnika. Zaręczam, że jest to możliwe, a jakość opowiadań i wierszy twórcy „Lata 1932" wynagrodzi to nam po wielokroć. ©℗

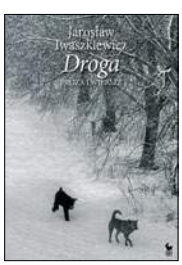

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ „DROGA. PROZA I WIERSZE" ISKRY, WARSZAWA 2020

eprasa.pl 7463047971

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Przyszłość za rogiem

Tak się teraz pisze – jakby każda książka non-fiction musiała być miniaturowym telewizyjnym talk-show, a autor gospodarzem, który sypie z rękawa dowcipami, wyświetla na ekranie zaskakujące obrazki i szukając drogi prostego wytłumaczenia każdego problemu, sięga po przykłady z życia widzów. Czyta się jednak dobrze, choć pewnie najbardziej polubią tę książkę nastoletni czytelnicy lub po prostu ci, którzy nauką na co dzień się nie interesują.

No tak, ale nauka interesuje się nimi. Małżeństwo Weinersmithów spróbowało nakreślić plan wydarzeń spodziewanych dzięki 10 szybko rozwijającym się technologiom „które wszystko usprawnią i/lub zepsują". Niektóre to miraże, za którymi gonimy od wielu lat, jak np. bezpieczna synteza termojądrowa czy programowalna materia. Inne już zaczynają zmieniać nasze życie (druk 3D) lub wkrótce zaczną (komputery kwantowe). Kamyczek do ogródka nadmiernych optymistów – w rozdziale o osiągnięciach biotechnologii wiele jest o perspektywach wskrzeszania wymarłych gatunków, ale nic o tym, jak walczyć z nadchodzącymi epidemiami.

Optymistą jest także autor książki „Ukryty geniusz. Pigułki na rozum, hakerzy mózgu i sekrety inteligencji". David Adam lekko i przystępnie (choć nie tak zabawnie jak Weinersmithowie) przygląda się naszej inteligencji i zastanawia nad tym, w jaki sposób można ją zwiększyć, wyzwolić to, co drzemie w naszych umysłach, byśmy byli – jak głosi tytuł ostatniego rozdziału – „szybsi, silniejsi, mądrzejsi". Tu znów kamyczek: Czy inteligentniejsi naprawdę oznacza mądrzejsi? Przypuszczam, że wątpię. A pytania o to, czy szczęśliwsi, to już nawet nie chce mi się zadawać.

Książka Adama jest jednak ciekawym kompendium na temat obecnego stanu wiedzy, autor próbuje też osobiście cudownego leku, którym ma być ponoć modafinil reklamowany jako „pigułki na inteligencję", aczkolwiek efekty są wątpliwe. Sądzę, że mózg autora rozwinął się lepiej wskutek pisania książki niż dzięki medykamentom czy elektrostymulacji, której także spróbował. Utopijna to książka, o tym, że nadarza się okazja, by wszystko robić „lepiej i sprawiedliwiej". Obawiam się, że szybki postęp neuronauki zaowocuje pierwej nowymi zagrożeniami niż nowymi rozwiązaniami. Chciałbym się mylić. ©℗

★★★★☆☆
KELLY I ZACH WEINERSMITHOWIE „JAKOŚ WKRÓTCE" INSIGNIS

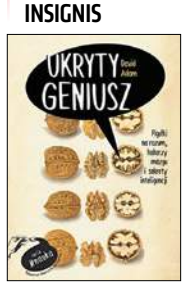

★★★★☆☆
DAVID ADAM „UKRYTY GENIUSZ" WYDAWNICTWO UJ

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Kolejna na polskim rynku powieść jednego z najważniejszych pisarzy chińskich (znamy już wstrząsający „Sen wioski Ding" oraz „Kroniki eksplozji"). Wielogłosowa opowieść łączy chińską historię i magiczny realizm.

YAN LIANKE „CZTEROKSIĄG" PIW

Nowy thriller autora „Invictusa" i cyklu „Kruger". Prezydent USA przybywa do Warszawy, gdzie krzyżują się też losy saudyjskich bogaczy i pewnej gwiazdy pop. To oznacza jedno: zagrożenie terrorystyczne najwyższego stopnia.

MARCIN CISZEWSKI „DESZCZ" WARBOOK

Jedna z najambitniejszych powieści SF lat 60. XX stulecia, w której wątek klasyczny (eksploracja planety zasiedlonej przez dalekich potomków ludzi i spotkanie z obcą rasą) miesza się z kulturowym (religia i mity indyjskie).

ROGER ZELAZNY „PAN ŚWIATŁA" ZYSK I S-KA

Cztery części cyklu dla dzieci po raz pierwszy w jednym tomie (cudowne ilustracje S.D. Schindlera). Opowieść o skrzydlatych kotach jest mądra, wzruszająca i zabawna. Wyjątkowa pozycja wśród bajek współczesnych. ©℗

poleca Piotr Gociek

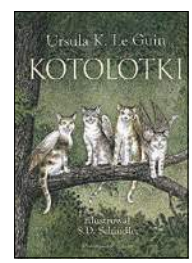

URSULA LE GUIN „KOTOLOTKI" PRÓSZYŃSKI I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „FOLWARK ZWIERZĘCY"

Odyr to artystyczny pseudonim cenionego brazylijskiego rysownika, ilustratora i autora kilku powieści graficznych, z których najnowszą jest oszałamiająco piękna adaptacja słynnej krótkiej powieści Orwella. Historia zwierząt buntujących się przeciw wyzyskiwaczom tylko po to, by znaleźć się wkrótce w jeszcze większej opresji za sprawą „wyzwolicieli", opowiedziana została cudnymi malarskimi kadrami i oryginalnie wydana przez renomowaną oficynę Penguin Books. To nie zwyczajny komiks, to nie książka z ilustracjami, to zupełnie osobny rodzaj sztuki, dzieło wybitne i głęboko poruszające. ©℗

poleca Piotr Gociek

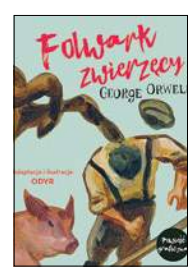

ODYR, GEORGE ORWELL „FOLWARK ZWIERZĘCY" WYDAWNICTWO JAGUAR 2020

eprasa.pl 7463047971

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Śpiewając do Chopina

„Dotykamy muzyki Fryderyka Chopina. Muzyki niezwykle kunsztownej i pomnikowej – mówi Natalia Kukulska o swoim albumie »Czułe struny« z opracowanymi w formie utworów symfonicznych dziełami Fryderyka Chopina, do których powstały teksty. – Na pewno wymaga to odwagi, ale jeżeli w muzykę wkłada się całe serce, profesjonalizm i spotykają się ludzie o takich wrażliwościach i talentach jak moi goście, to może z tego wyjść coś pięknego, nowego, a zarazem przypominającego nam o wielkości pierwowzoru".

Pod koniec maja Kukulska zaprezentowała pierwszy singiel zapowiadający płytę, która do sprzedaży trafi w sierpniu. Utwór pod tym samym tytułem co cały album to „Polonez As-dur" w aranżacji Pawła Tomaszewskiego. „Poczuj to / Doceń nienazwaną moc / Możesz góry przenosić / I nic nie zatrzyma lawiny / Co spada tu z chmur" – śpiewa Natalia Kukulska, a pod batutą Tomaszewskiego gra Sinfonia Varsovia. Towarzyszą jej: Piotr Wrombel (fortepian), Robert Kubiszyn (bas), Michał Dąbrówka (perkusja), Bogusz Wekka i Jaś Dąbrówka (instrumenty perkusyjne).

Lista gości jest długa, w prace nad „Czułymi strunami" zaangażowanych było ponad sto osób. Sinfonia Varsovia grała pod batutą wspomnianego Pawła Tomaszewskiego, Krzysztofa Herdzina, Nikoli Kołodziejczyka, Adama Sztaby oraz Jana Smoczyńskiego. Wśród gości jest ceniony pianista Janusz Olejniczak, laureat VI nagrody na VIII Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina. Oprócz Natalii Kukulskiej, która jest autorką słów do połowy utworów, za warstwę liryczną odpowiadają: Mela Koteluk, Kayah, Gaba Kulka, Natalia Grosiak (Mikromusic) i Bovska.

Jednym z pretekstów do zmierzenia się z muzyką Chopina jest przypadający w tym roku jubileusz 210. urodzin kompozytora. „Przyznam, że jeszcze nigdy nie miałam takiej tremy przy żadnej muzycznej premierze. Chyba nie muszę tłumaczyć dlaczego" – mówi Kukulska. ©℗ ***Radosław Wojtas***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Pośpieszna kronika

Kazik wkurza się, gdy ogranicza mu się wolność, a jeszcze bardziej – gdy ktoś robi skok na jego kasę. A jeśli Kazik się wkurzy, to tworzy. Niemożność zarabiania na koncertach sprawiła, że artysta napisał szybko 15 piosenek. Słynna „Twój ból jest lepszy niż mój" wskazywała, że w końcu „z laczka" przywali obecnej władzy. Więcej „antypisów" nie ma, bo autora bardziej niepokoi pandemia ekonomiczna i ekspansja Chin. Z publicystyczną twórczością Kazika mam tak jak z kinem moralnego niepokoju – w momencie powstania mnie poruszało, a po latach większość filmów żenuje. Na „Zarazie" piosenki dzielą się na: osobisto-rodzinne, społeczno-obywatelskie i osobisto-społeczne. Niestety przeważają mało odkrywcze przyśpiewki podwórkowe z łatwo wpadającymi w ucho szlagwortami. Kilka przyciąga uwagę tekstami. W kończącym album „Bohaterze" Kazik jak nigdy się odkrywa i nie chce, by brano z niego przykład. Do drugiej grupy należy „Demokracja", w której wali prosto z mostu: „Dlaczego owe pijane stado bełkoczące o tym, o czym nie wie / Myjące się jeden raz w roku poucza mnie co dobre, co złe?". I tu paradoks, bo jako moralizator-antydemokrata w „Twoim bólu" staje w obronie większości. Jeśli chodzi o śpiewne opisy koronawirusowych utrudnień żywota, to znając słabości Kazika, odczuwam brak sportowego protest songu. Może muzycznie nie jest to arcydzieło, a teksty ocierają się o banały, ale na koniec kasa się zgadza. „Zaraza" przed premierą uzyskała status Złotej Płyty. ©℗

★★★☆☆☆
KAZIK
„ZARAZA"
SP RECORDS

★★★☆☆☆
ELEKTRYCZNE GITARY
„2020"
SP RECORDS

Elektryczne Gitary, szukając nowocześniejszych brzmień, nie narażają się fanom. Opowieści outsidera bez złudzeń jak zwykle oparte są na zgrabnych rymowankach i melodyjnych refrenach. Inżynier Mamoń będzie kontent, a Kubie jest „doskonale w każdym futerale".

★★★★☆☆
KASIA LINS
„MOJA WINA"
UNIVERSAL

Kasia czerpie z niezłych wzorców – od Konopnickiej do Philipa Rotha. Muzycznie i wokalnie jest różnorodnie i intrygująco. Tekstowo wzniośle, teatralnie i… pretensjonalnie. Kiedy zacznie śpiewać o własnych bólach, a nie odgrywać role, wtedy może być naprawdę ciekawie. ©℗

eprasa.pl 7463047971

Gospodarka w czasach koronawirusa

PARTNER RAPORTU

LOTOS

eprasa.pl 7463047971

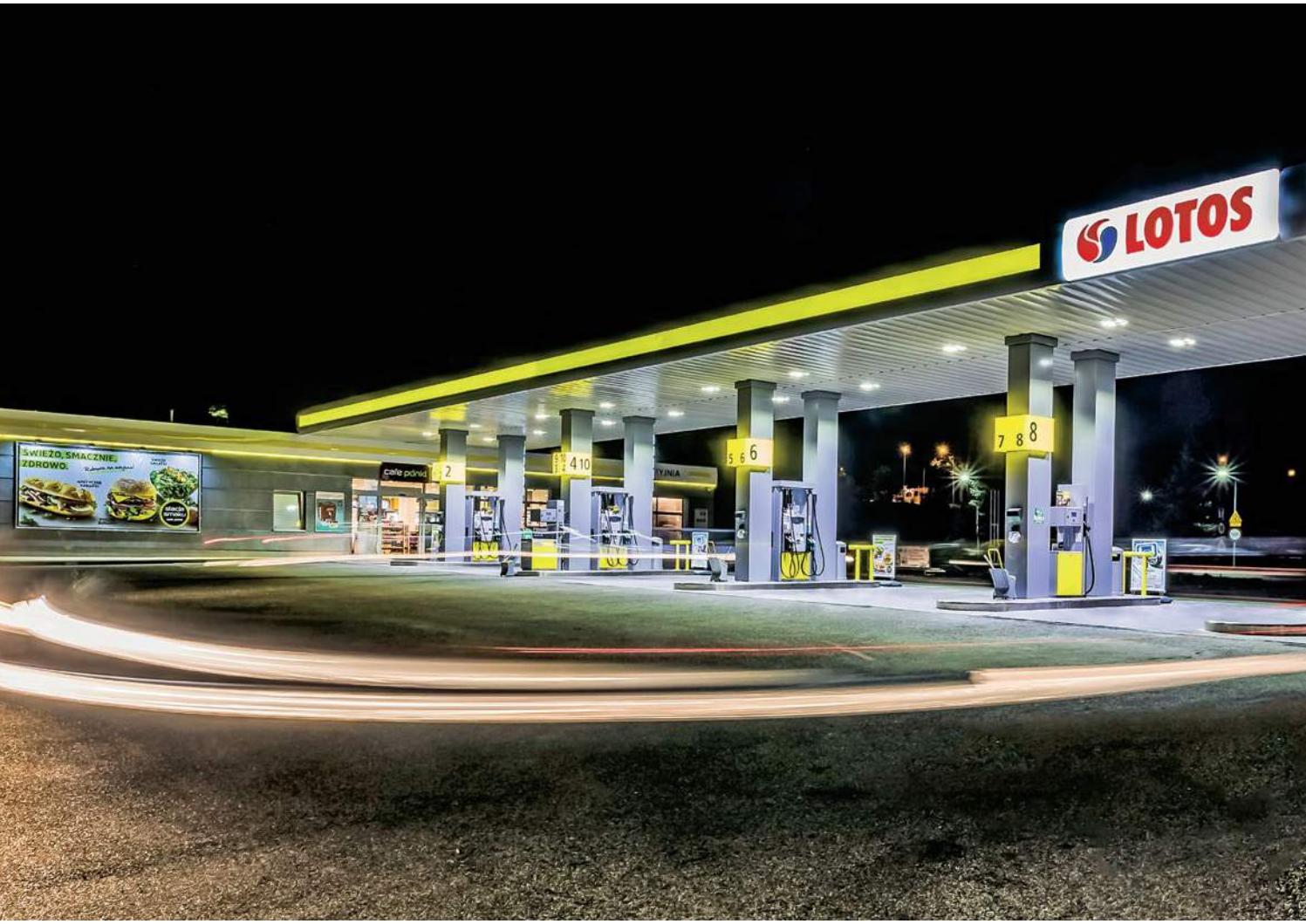

Koronawirus, czyli wielki test dla biznesu

Pandemia zmieniła świat w wielu sferach, także gospodarczej. Wielkie firmy musiały szybko dostosować się do nowych, trudnych warunków funkcjonowania. Czas izolacji i wprowadzonych obostrzeń stał się testem dla polskiego przemysłu. Grupa LOTOS, która ma strategiczne znaczenie dla bezpieczeństwa energetycznego naszego kraju, zdała ten test – zapewniła bezpieczeństwo pracownikom i klientom oraz zadbała o ciągłość produkcji. Koncern zaangażował się także we wsparcie służb medycznych i mundurowych

Grupa LOTOS jako spółka z większościowym udziałem Skarbu Państwa musi zapewniać bezpieczeństwo w obszarze funkcjonowanie państwa. Oznacza to nie tylko umożliwienie tankowania pojazdów na stacjach paliw, lecz także ochronę ciągłości produkcji rafinerii. Już w pierwszych dniach po wybuchu pandemii koronawirusa w koncernie powołano sztab kryzysowy. Jego członkowie na bazie regularnych telekonferencji wypracowywali wytyczne. Wprowadzono znaczne

eprasa.pl 7463047971

zmiany w funkcjonowaniu zakładu: maksymalnie ograniczono liczbę kontaktów, umożliwiono pracę zdalną, odwołano wyjazdy i szkolenia służbowe. Zmieniono też organizację pracy na terenie zakładu. Dzięki tym działaniom rafineria pracowała niemal na najwyższych obrotach (98 proc.) przez cały okres trwania pandemii.

Wyzwaniem było też dostosowanie funkcjonowania stacji paliw do nowych warunków. W sieci LOTOS działa ponad 500 obiektów w całym kraju, przez które codziennie przewijają się tysiące klientów. Wszystkie stacje zostały kompleksowo wyposażone w środki czystości. Maksymalnie zadbano o bezpieczeństwo klientów i pracowników. Co ważne, wszystkie obiekty pozostały dostępne dla kierowców.

– Pandemia to wielkie wyzwanie dla naszej firmy. Chodzi nie tylko o zapewnienie bezpieczeństwa pracownikom rafinerii, stacji paliw i naszym klientom, lecz także o zachowanie ciągłości produkcji i dostaw. Dzięki doświadczeniu i zaangażowaniu naszych pracowników szybko udało nam się dostosować do nowych warunków. Postanowiliśmy również włączyć się we wsparcie polskiej służby zdrowia i służb mundurowych. Pomaganie w takich sytuacjach uważamy za coś naturalnego – mówi Paweł Jan Majewski, prezes zarządu Grupy LOTOS.

WSPARCIE DLA POLSKICH SZPITALI

Pandemia wymagała od wszystkich mobilizacji do wspólnego działania. Grupa LOTOS już w pierwszych dniach włączyła się w pomoc w walce z koronawirusem. Działania koncernu to przekazane służbie zdrowia miliony złotych i setki tysięcy dostarczonych środków ochrony indywidualnej. Dostrzegli to Polacy, którzy w badaniu ARC Rynek i Opinia wymienili Fundację LOTOS wśród czołówki podmiotów pomagających w zwalczaniu skutków pandemii.

Za pośrednictwem fundacji 5 mln zł trafiło do czterech placówek medycznych w województwie pomorskim i zachodniopomorskim: Uniwersyteckiego Centrum Medycyny Morskiej i Tropikalnej w Gdyni, 7. Szpitala Marynarki Wojennej z Przychodnią SPZOZ w Gdańsku, Samodzielnego Publicznego Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Szczecinie oraz Szpitala Wojewódzkiego im. Mikołaja Kopernika w Koszalinie. Pieniądze zostały przeznaczone m.in. na zakup respiratorów, łóżek szpitalnych, środków ochrony osobistej, termometrów bezdotykowych, leków i sprzętu jednorazowego użytku.

– COVID-19 to nowo wykryta choroba zakaźna głównie układu oddechowego, może ona jednak atakować, oprócz płuc, również inne narządy, w tym: nerki, serce czy przewód pokarmowy. Nieinwazyjnym, bezpiecznym i bezbolesnym badaniem pozwalającym na ocenę stanu wymienionych narządów jest ultrasonografia – mówiła lek. Anna Susmarska, kierownik Zakładu Diagnostyki Obrazowej gdyńskiej placówki. – Nowy aparat USG zapewni wysoką jakość diagnozowania oraz pozwoli na optymalne monitorowanie leczenia chorych z COVID-19. W imieniu pacjentów Uniwersyteckiego Centrum Medycyny Morskiej i Tropikalnej w Gdyni bardzo dziękuję za wsparcie.

– Dzięki wielkiej pomocy Grupy LOTOS udało nam się kupić ambulans. Będzie to nieocenione wsparcie dla naszego zespołu, który z determinacją i oddaniem walczy o zdrowie wszystkich pacjentów. Dziękujemy za gest solidarności w trudnym czasie pandemii. Każda pomoc jest dla nas na wagę złota – dodawała Natalia Andruczyk, rzecznik szczecińskiego szpitala.

W ramach środków od Fundacji LOTOS zakupiono też komorę BIO-BAG, służącą do transportu chorych, dla Szpitala Wojewódzkiego im. Mikołaja Kopernika w Koszalinie oraz osiem kardiomonitorów, moduł EEG i wózek akumulatorowy do przewozu odpadów skażonych dla 7. Szpitala Marynarki Wojennej z Przychodnią SPZOZ w Gdańsku. Wszystkie działania Grupy LOTOS wspierające szpitale prowadzone były w porozumieniu z Ministerstwem Aktywów Państwowych, kierowanym przez wicepremiera Jacka Sasina.

Dwa miliony złotych w postaci kart paliwowych trafiły również do 19 jednoimiennych szpitali zakaźnych w całej Polsce. Dzięki temu karetki i inne pojazdy mogły bezpłatnie tankować na stacjach LOTOS. Aby ułatwić transport chorych i przewóz próbek medycznych, koncern przekazał też pomorskim placówkom siedem pojazdów. Auta trafiły do Samodzielnego Publicznego Zakładu Opieki Zdrowotnej w Człuchowie, Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego w Gdańsku, 115. Szpitala Wojskowego z przychodnią w Helu, Niepublicznego Zakładu Opieki Zdrowotnej w Kartuzach, szpitala w Pucku oraz Szpitala św. Jana w Starogardzie Gdańskim.

WSPARCIE NA RÓŻNYCH FRONTACH

W pierwszym okresie epidemii najbardziej potrzebnym towarem dla służb medycznych był oczywiście płyn do dezynfekcji. Grupa LOTOS przekazała Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Szczecinie 1,5 tys. litrów płynu dezynfekcyjnego. Koncern podzielił się też swoimi zapasami środków ochrony indywidualnej. Wsparcie trafiło do mniejszych placówek medycznych,

Nowy aparat USG w gdyńskim szpitalu FOT. LOTOS

eprasa.pl 7463047971

Mural Grupy LOTOS w Krakowie
FOT. LOTOS

takich jak Niepubliczny Zakład Opieki Zdrowotnej Przychodnia Brzeźno w Gdańsku czy Wojewódzki Szpital Specjalistyczny w Częstochowie. LOTOS przekazał też maseczki ochronne i płyn do dezynfekcji dla funkcjonariuszy Komendy Głównej Policji w Warszawie. Łączna kwota tej darowizny to prawie 250 tys. zł.

W porozumieniu z Kancelarią Prezesa Rady Ministrów oraz Ministerstwem Aktywów Państwowych LOTOS współorganizował również dostawy środków ochrony indywidualnej. Pierwsza transza dotarła do kraju 9 kwietnia, a ostatnia 18 maja. W sumie gdański koncern na zlecenie polskiego rządu zakupił pół miliona kombinezonów, 300 tys. przyłbic i 100 tys. ochraniaczy na buty. W operację zaangażowanych było wiele podmiotów. Wsparcie logistyczne zapewniła Agencja Rozwoju Przemysłu. Za odbiór i przekazanie środków do magazynów odpowiedzialna była Agencji Rezerw Materiałowych, współpracująca w tym zakresie z Pocztą Polską. Finalnie środki zostały rozdystrybuowane do szpitali w całej Polsce zgodnie z wytycznymi Ministerstwa Zdrowia. Ostatnie dwie dostawy zorganizowano w ramach NATO-wskiego programu SALIS (Strategic Airlift International Solution). W związku z tym w operację zaangażowane były również Ministerstwo Obrony Narodowej oraz Polskie Siły Zbrojne.

Wsparcie Grupy LOTOS w walce z koronawirusem obejmowało nie tylko służby medyczne, lecz także służby mundurowe. Aby ułatwić pracę funkcjonariuszom działającym w okolicach granic Rzeczypospolitej, LOTOS umożliwił im korzystanie z bezpłatnych ciepłych napojów na stacjach paliw w ramach akcji „Pomagamy na granicy". Na początku wybrano punkty znajdujące się 30 km od granicy, potem jednak rozszerzono akcję na całą Polskę. Wsparcie adresowane było do Straży Granicznej, Wojska Polskiego, pogotowia ratunkowego, straży pożarnej, policji, straży miejskiej oraz służb celno-skarbowych. Darmowe paliwo, niezbędne do mobilnych działań operacyjnych, udostępniono także Pomorskiej Brygadzie Wojsk Ochrony Terytorialnej.

WSPARCIE POPRZEZ KAMPANIE SPOŁECZNE

Pandemia oznaczała izolację społeczną – Polacy zostali w domach. Brak bezpośredniego kontaktu z drugim człowiekiem sprawił, że szczególnym zainteresowaniem cieszyły się komunikatory społeczne i portale społecznościowe. Grupa LOTOS rozpoczęła więc specjalną akcję #WDomuTezJestNAJ. Dołączyli do niej ambasadorzy koncernu, którzy pokazywali, jak spędzają czas podczas domowej izolacji. Można było poznać kadrę skoczków narciarskich czy piłkarzy od innej, bardziej prywatnej strony. Kajetan Kajetanowicz bawił się z córką, a dr Tomasz Rożek zorganizował domowe eksperymenty dla najmłodszych, w których prezentował prawa fizyki i biologii. Artyści przygotowali relacje live, umożliwiające internautom obcowanie ze sztuką. Fani „Emocji do pełna" mogli też ekscytować się wirtualnymi wyścigami. W rajdach zmierzyli się Kajetan Kajetanowicz, skoczkowie narciarscy Jakub Wolny i Maciej Kot, kajakarka Karolina Naja oraz żeglarz Piotr Myszka.

W maju LOTOS zainicjował także kampanię „Każdy czeka na swoje NAJ", która umożliwiła posiadaczom kart LOTOS Navigator przekazanie punktów pozyskanych w programie lojalnościowym na badania związane z leczeniem koronawirusa. Kampanię promował spot telewizyjny, a w pięciu polskich miastach pojawiły się murale, będące owocem współpracy LOTOSU z polskimi malarzami, rysownikami i grafikami. W Gdańsku zobaczyliśmy polskich piłkarzy, w Warszawie skoczka Dawida Kubackiego, we Wrocławiu kierowcę rajdowego Kajetana Kajetanowicza, w Poznaniu parę długo niewidzących się zakochanych, a w Krakowie babcię, która po raz pierwszy może przytulić swojego wnuka.

eprasa.pl 7463047971

LOTOS rozwija się i inwestuje w nowe technologie

Rafineria Grupy LOTOS w Gdańsku
FOT. LOTOS

W czasie pandemii gdański koncern optymalizuje swoją pracę, utrzymując stabilną kondycję finansową. Dzięki temu może konsekwentnie realizować swoją strategię w obszarze rozwoju rynku paliw alternatywnych. Spółka doskonale wyczuwa rynkowe trendy i stawia na najnowsze technologie. Ostatnie miesiące to pracowity okres uruchomienia nowych projektów we współpracy z solidnymi partnerami

Rafineria Grupy LOTOS należy do najnowocześniejszych i najbardziej efektywnych zakładów w Europie. Utrzymanie wysokiej jakości i zysków udało się osiągnąć przede wszystkim dzięki zakończonemu niedawno Projektowi EFRA. Nowa infrastruktura, taka jak m.in. Instalacja Opóźnionego Koksowania (DCU), umożliwia jeszcze większą produkcję wysoko marżowych paliw. Pod koniec marca spółka pozytywnie zakończyła test bankowy, który przewidywała umowa kredytowa dotycząca projektu. Całkowity koszt inwestycji wyniósł ponad 2 mld zł.

DOBRA KONDYCJA KONCERNU

Pomimo trudnej sytuacji spowodowanej koronawirusem zakład Grupy LOTOS utrzymywał przerób ropy i produkcję na stabilnym poziomie, pracując praktycznie przy maksymalnym (98 proc.) wykorzystaniu swoich nominalnych mocy wytwórczych. Spółka szybko zaadaptowała się do nowych warunków rynkowych. W kwietniu Grupa LOTOS

eprasa.pl 7463047971

wyprodukowała o 8 proc. więcej olejów napędowych niż w kwietniu 2019 r., przy jednoczesnym zniwelowaniu produkcji paliwa lotniczego, na które popyt plasował się na bardzo niskim poziomie.

– Udowadniamy, że nawet w czasach światowego kryzysu potrafimy działać skutecznie. Grupa LOTOS, jako spółka o strategicznym znaczeniu dla polskiej gospodarki, musi zapewniać bezpieczeństwo w swoim obszarze funkcjonowania państwa. Dlatego też nieustannie i wnikliwie monitorujemy wszystkie procesy produkcyjne. Optymalizujemy koszty i staramy się odpowiadać na stawiane przed nami wyzwania. Wykorzystujemy elastyczność i przewagę, które zapewnia nam nasze bogate zaplecze technologiczne oraz nadmorska lokalizacja – zapewnia Paweł Jan Majewski, prezes zarządu Grupy LOTOS.

Rekordowe wyniki notuje m. in. spółka LOTOS Oil, która w pierwszych czterech miesiącach tego roku osiągnęła o ponad 55 proc. wyższy zysk niż w analogicznym okresie ubiegłego roku. Bardzo dobrze radzi sobie też spółka LOTOS Asfalt, która do kwietnia tego roku sprzedała o 21 proc. więcej asfaltów w porównaniu z analogicznym okresem 2019 r. Epidemia i wprowadzone w związku z nią ograniczenia w transporcie spowodowały natomiast gwałtowny spadek sprzedaży paliw na stacjach w drugiej połowie marca i w kwietniu. Co ważne, kolejne etapy odmrażania gospodarki przełożyły się już na stopniowe odwracanie tego trendu. Od końca kwietnia koncern notuje rosnący ruch na swoich stacjach.

Wizualizacja terminala LNG małej skali w Gdańsku

FOT. LOTOS

LIDER W OBSZARZE PALIW NOWEJ GENERACJI

Pandemia nie wstrzymała prac związanych z rozwojem obszaru paliw alternatywnych. Grupa LOTOS konsekwentnie realizuje w tym zakresie swoją strategię rozwoju rozpisaną do 2022 r. Pod koniec maja koncern poinformował o zakończeniu studium wykonalności projektu budowy terminala LNG małej skali w Gdańsku, który Grupa LOTOS analizuje w konsorcjum z Operatorem Gazociągów Przesyłowych GAZ-SYSTEM. W tym przypadku kluczowe również okazuje się nadmorskie położenie spółki. Dzięki bliskości portów w Gdańsku i Gdyni będzie możliwa szeroka dystrybucja gazu. W sumie obiekt ma być w stanie magazynować nawet do 3000 m sześc. LNG. Oprócz samego zbiornika magazynowego przedsięwzięcie obejmuje także stworzenie instalacji rozładunkowo-załadunkowej dla stanowiska statkowego, pompowni załadunkowo-rozładunkowej statku oraz pompowni autocystern i kontenerów.

Patrząc z perspektywy bardziej globalnej, to dobry ruch, wpisujący się w popularyzację gazu jako paliwa w transporcie okrętowym oraz uwypuklenie strategicznej pozycji Gdańska w obszarze Transeuropejskiego Korytarza Transportowego TEN-T Morze Bałtyckie – Morze Adriatyckie. Jak informuje spółka, LNG zostanie dostarczone na stacje paliw, do bunkrowania statków lub do instalacji off-grid, czyli tych poza siecią gazu ziemnego.

POSZUKUJEMY NAJLEPSZYCH PARTNERÓW

LOTOS z wielkim rozmachem rozwija także projekty związane z wodorem. Można powiedzieć, że spółka podeszła do tematu bardzo kompleksowo. Od początku wierzyła, że wodór może stać się paliwem przyszłości, i ściśle współpracowała z ośrodkami naukowymi. Uzyskała także pomoc od Unii Europejskiej dla swojego projektu „Pure H2", dzięki któremu na terenie zakładu w Gdańsku powstanie instalacja oczyszczania wodoru, instalacja sprężania i dystrybucji tego paliwa oraz dwie stacje tankowania (w Gdańsku i Warszawie). Produkt LOTOSU jest przełomowy dla polskiej gospodarki. Całkowity koszt inwestycji to ponad 10 mln euro.

Wspomniane stacje tankowania wodoru zostaną wybudowanie pod patronatem Toyoty Motor Poland. Wspólne plany obu partnerów w zakresie współpracy intensyfikującej prace nad rozwojem technologii wykorzystania wodoru w transporcie samochodowym zawarto w podpisanym pod koniec ubiegłego roku liście intencyjnym. – Jako Grupa LOTOS poszukujemy najlepszych partnerów, którzy pozwalają nam się rozwijać technologicznie. Tak też traktujemy współpracę z Toyotą w temacie wodoru. W 2021 r. będziemy jako pierwsi w Polsce produkować wodór o bardzo wysokiej czystości. Do tego czasu na

eprasa.pl 7463047971

pierwszych dwóch naszych stacjach chcemy też zbudować punkty ładowania samochodów tym paliwem, Toyota jest zaś jednym z dostawców, który takie samochody posiada. Chcemy upewnić się, że to, co przygotujemy, będzie spełniało wymogi rynkowe – mówi Marian Krzemiński, wiceprezes zarządu Grupy LOTOS ds. inwestycji i innowacji.

POMORSKA DOLINA WODOROWA ZE WSPARCIEM LOTOSU

Przedstawiciele Grupy LOTOS regularnie uczestniczą w roboczych spotkaniach z lokalnymi przewoźnikami i wspierają ich w przygotowaniach do „uwodornienia" komunikacji miejskiej. Potwierdzają to listy intencyjne zawarte z włodarzami Tczewa, Gdyni oraz Wejherowa. – Dostrzegamy potencjał wodoru. Polska jest jednym z czołowych producentów tego paliwa przyszłości. Cieszy nas współpraca z kolejnym miastem w naszym regionie w obszarze niskoemisyjnego transportu. Tego typu działania to dla nas naturalny krok, ale też i sygnał o rosnącej świadomości ekologicznej wśród samorządów – mówi Paweł Jan Majewski, prezes zarządu Grupy LOTOS.

Z inicjatywy koncernu powstał również Klaster Technologii Wodorowych i Czystych Technologii Węglowych, w ramach którego pod koniec ubiegłego roku zainicjowano koncepcję Pomorskiej Doliny Wodorowej. Celem tego przedsięwzięcia jest zwiększenie udziału wodoru jako paliwa w transportowym miksie energetycznym województwa pomorskiego. W połowie maja projekt ten, jako jeden z 11 na 35 wniosków złożonych w tym konkursie z całej UE, został oceniony pozytywnie. Dzięki temu konsorcjum samorządów z Gdyni, Gdańska, Tczewa i Wejherowa otrzyma stuprocentowe wsparcie ze środków unijnych na kompleksowe doradztwo przy wdrażaniu pojazdów wodorowych w komunikacji miejskiej. Powstająca na terenie Grupy LOTOS instalacja oczyszczania wodoru była jedną z najmocniejszych stron przedstawionej koncepcji. Koncern, będąc partnerem pomorskich miast, brał aktywny udział również w opracowywaniu wniosku konkursowego.

KOLEJNY PROJEKT BADAWCZO-ROZWOJOWY W ZAKRESIE WODORU

Polskie Sieci Elektroenergetyczne (PSE) to kolejny partner Grupy LOTOS współpracujący z nią w zakresie rozwoju technologii wodorowych. Obie spółki z większościowym udziałem Skarbu Państwa uruchomiły pod koniec maja wspólny projekt badawczo-rozwojowy dotyczący elektrolizerów i ich integracji w rynku energii. Współpracę tę mocno chwali Ministerstwo Aktywów Państwowych, które podkreśla, że wzmacnia to dążenie Polski do zmniejszenia emisyjności polskiego sektora elektroenergetycznego. Grupa LOTOS pragnie rozwijać nowe obszary pozyskiwania wodoru.

W projekcie realizowanym z PSE badane są możliwości współpracy elektrolizerów ze zmienną generacją energii elektrycznej pochodzącej z OZE. Istotnym elementem w ekologicznym wytwarzaniu zielonego wodoru jest zjawisko elektrolizy, czyli zmienianie składu chemicznego substancji poprzez poddanie jej napięciu elektrycznemu. Coraz częściej też w tym procesie wykorzystuje się wiatr czy energię słoneczną. Wyniki tych prac będą mogły być wykorzystane przez PSE do zapewnienia stabilizacji Krajowej Sieci Elektroenergetycznej, zwłaszcza w kontekście planowanego zwiększania udziału odnawialnych źródeł energii w miksie energetycznym Polski. Powinno to również wpłynąć na ekspansję rynku wodoru i rozwiązań zeroemisyjnych oraz zostać wykorzystane przy realizacji Narodowego Celu Wskaźnikowego.

CYFROWA PRZYSZŁOŚĆ GDAŃSKIEGO KONCERNU

Nowoczesny przemysł naftowy, który reprezentuje Grupa LOTOS, chętnie czerpie także ze zdobyczy nowoczesnych technologii i wykorzystuje potencjał sztucznej inteligencji (Artificial Intelligence). Czego dokładnie dotyczy działalność spółki w tym zakresie? Przede wszystkim koncern dysponuje całą masą danych, które należy odpowiednio przeanalizować i monitorować. Zapewnia to płynność procesów produkcyjnych, wysokie bezpieczeństwo, lepszą efektywność oraz oszczędność czasu i pieniędzy. Dzięki robotyzacji i cyfryzacji części produkcji otwierają się nowe perspektywy. LOTOS przy wdrażaniu tego typu inicjatyw współpracuje ze światowym gigantem z segmentu informatycznego, firmą Microsoft.

W maju tego roku amerykański koncern zapowiedział, że zamierza wydać w Polsce miliard dolarów na stworzenie Polskiej Doliny Cyfrowej, centrum obliczeniowego oraz inteligentnej polskiej Chmury Krajowej. W tych projektach aktywnie uczestniczy także LOTOS. Microsoft pochwalił polską spółkę za bycie jedną z najbardziej innowacyjnych firm w Polsce. – Budowa europejskiego Centrum Danych w naszym kraju to dowód, że Polska to ważny rynek o cyfrowym potencjale. To także kolejny krok cyfrowej transformacji. W Grupie LOTOS wiemy, że nowoczesne technologie i innowacje to istotne elementy rozwoju, dlatego współpracujemy z firmą Microsoft i widzimy już pierwsze pozytywne efekty tej kooperacji – mówi Paweł Jan Majewski, prezes zarządu Grupy LOTOS.

Doświadczeni i solidnie przeszkoleni pracownicy, którzy mają do dyspozycji nowoczesne rozwiązania technologiczne, oraz kierownictwo, które nieustannie dąży do rozwoju firmy – to wszystko sprawia, że LOTOS rośnie w siłę, staje się symbolem lidera idei przemysłu 4.0 i wyznacza kierunek zmian innym. Dzięki temu rosną wskaźniki polskiej gospodarki, a polscy obywatele mogą z optymizmem patrzeć na bezpieczeństwo energetyczne naszego kraju.

eprasa.pl 7463047971

Z prof. Jakubem Politem, historykiem, wykładowcą Uniwersytetu Jagiellońskiego
rozmawia Tomasz D. Kolanek

Kapitaliści Państwa Środka

eprasa.pl 7463047971

FOT. ADOBE STOCK

TOMASZ D. KOLANEK: Czy Chińska Republika Ludowa jest państwem komunistycznym?

PROF. JAKUB POLIT: Na to pytanie udziela się zazwyczaj trojakich odpowiedzi. Pierwsza brzmi: tak, ChRL jest państwem komunistycznym, co potwierdza tezę, że komunizm to system charakteryzujący się brakiem demokracji, terrorem i zniewoleniem człowieka.

Odpowiedź numer dwa, która trzyma się niemal tak mocno jak pierwsza, mówi: tak, Chiny są państwem komunistycznym, co dowodzi, że komunizm znacznie lepiej radzi sobie z rozmaitymi kłopotami niż kapitalizm i że to dopiero Pekin zbudował i wypromował prawdziwy system z marzeń Marksa i Engelsa.

Wersja trzecia zaś głosi, że współczesne Chiny nie są krajem komunistycznym.

Która z tych wersji jest prawdziwa?

Widzi pan, w tym miejscu pojawia się kłopot, ponieważ najpierw trzeba odpowiedzieć na pytanie: Czym tak naprawdę jest komunizm i jak właściwie należałoby go opisać?

Jeżeli założymy, że komunizm to, w największym uproszczeniu, ustrój, w którym chleb jest za darmo i w którym zlikwidowano wyzysk człowieka przez człowieka, to oczywiście wynika z tego, że Chiny państwem komunistycznym nie są. Ba! W takiej sytuacji można postawić tezę, że w historii świata nie było ani jednego państwa komunistycznego.

Jeśli przyjęlibyśmy ową opcję za prawdziwą, to należałoby zakończyć naszą rozmowę, ponieważ byłaby ona absurdalna. Rozmawialibyśmy bowiem o czymś, co nie istnieje i nigdy nie istniało.

A co z Kambodżą Pol Pota i Czerwonych Khmerów?

W Kambodży Pol Pota rzeczywiście wszystko było za darmo, ponieważ komuniści zlikwidowali tam pieniądze. Czy jednak nie było tam żadnych represji? Czy nastąpił tam, jak zapowiadał Marks, zanik państwa? Nie! Można więc śmiało postawić tezę, że z komunizmem jest jak z alkoholem: 100-procentowy w jednym i drugim wypadku nie istnieje, ale jego moc jest zawsze na tyle wystarczająca, żeby zwalić z nóg.

Jaka więc jest moc chińskiego komunizmu? Która koncepcja komunizmu najbardziej odpowiada Chinom? Marksa? Lenina? Stalina? Mao Zedonga? Pol Pota?

Niemal wszyscy, którzy usiłują odpowiedzieć na to pytanie, zaglądają do pism wymienionych przez pana „klasyków". Jest to jednak droga jałowa, ponieważ, jak wiadomo, komuniści chińscy i sowieccy walili się po głowach pismami Marksa, Engelsa, Lenina i każdy z nich uważał, że je lepiej zna, lepiej rozumie, lepiej komentuje i lepiej realizuje niż druga strona. Najzabawniejsze jest jednak to, że jedni i drudzy mieli rację, ponieważ cytaty Marksa i jego ideowych następców co rusz sobie zaprzeczają.

Zaproponuję więc inną odpowiedź. Dzisiaj różni mędrcy lubią stawiać tezy, że ten czy tamten osobnik nie jest prawdziwym komunistą. To tak samo jak mówiono kiedyś, że Osama bin Laden nie był prawdziwym muzułmaninem. Robili to zazwyczaj „niewierni", ludzie Zachodu, którzy twierdzili, że są lepszymi znawcami Koranu niż sami islamiści.

Idąc tym tropem, pozwolę zapytać: Dlaczego mamy się wynosić nad komunistów i uważać, że lepiej rozumiemy, co tak naprawdę jest komunizmem, niż oni sami?

Sugeruje pan, że skoro chińscy komuniści uważają, że są komunistami, to ChRL jest państwem komunistycznym?

Nie sugeruję, tylko tak twierdzę! ChRL rządzona jest przez Chińską Partię Komunistyczną, w której statucie stoi czarno na białym, że zbudowanie komunizmu stanowi podstawowy cel działań tej partii. Wobec tego dlaczego mamy im nie wierzyć?

Może i jest tak, że według definicji chiński komunizm to komunizm tylko na 60 proc., ale jednak nadal jest to komunizm. Jeśli ktoś chce jakiegoś dowodu, to proponuję nie brać do ręki pism Marksa, Engelsa czy Mao, ale Konstytucję ChRL z 1982 r. Można w niej przeczytać m.in., że w zasadzie w Chinach istnieje tylko własność państwowa, a sektor prywatny to uzupełnienie gospodarki opartej na systemie własności publicznej. Dopiero w nowelizacji sektor prywatny awansował z „uzupełnienia" do „ważnej składowej". Dalej jest tam napisane, że istnieją tylko dwie formy własności ziemi: państwowa i kolektywna.

Co ciekawe, w jednej z nowelizacji wprowadzono myk, którego by się nie powstydził najlepszy z naszych prawników. Stanowi on, że ziemia została rolnikom oddana, ale nie na zasadzie prawa własności, tylko w dzierżawę, czyli bez pełnych praw własności notarialnej. Jakby tego było mało, w Chinach nie można ziemią obracać, ale możliwe jest obracanie… prawem jej użytkowania. I tutaj pojawia się kolejny, jeszcze większy paradoks. Są bowiem politycy, naukowcy, ekonomiści etc., którzy twierdzą, iż wspomniany „haczyk" oznacza, że w gruncie rzeczy komunizm w Chinach jest fikcją, a dzięki tego typu sformułowaniom komuniści chińscy tak naprawdę budują kapitalizm, jakiego świat nie widział. Ale można zapytać odwrotnie:

eprasa.pl 7463047971

czy możliwy jest kapitalizm bez prawdziwego prawa własności?

Z pana wypowiedzi wynika, że źle postawiłem pytanie. Nie powinienem pytać: Czy Chiny są krajem komunistycznym, tylko czy są krajem totalitarnym?

A ja pozwolę sobie odpowiedzieć pytaniem: A czy PRL za czasów Edwarda „Dobrego" Gierka była państwem totalitarnym? Jedni powiedzą, że jak najbardziej, a drudzy, że w sumie fajnie wtedy było, bo pojawiła się coca-cola. Jeżeli porównamy Chiny do Kambodży Pol Pota czy Korei Północnej Kim Dzong Una, to na tle tych krajów Państwo Środka będzie krajem zapierających dech w piersiach swobód. Niemniej jednak tylko na szczeblu lokalnym – co najwyżej powiatowym. Im wyżej, tym więcej partii, a co za tym idzie – terroru.

Powiem szczerze, że nie wyobrażam sobie bardziej totalitarnego państwa niż to, które zmusza pod groźbą kary śmierci kobiety do przeprowadzenia aborcji, ponieważ ktoś sobie wymyślił projekt zwany „polityką jednego dziecka"...

Na szczęście władze odeszły od tego typu chorych i absurdalnych pomysłów, ale tylko dlatego, że zdały sobie sprawę, iż na obecnym etapie budowy komunizmu nie są w stanie w ten sposób sterować ludźmi, a zwłaszcza rolnikami. Powiem więcej: przywódcy chińscy w pewnym momencie zdali sobie sprawę, że w tym kraju bunt chłopów zmiótł już niejedną dynastię.

Skąd pana zdaniem wynika tak duże zafascynowanie wielu ludzi na szeroko pojmowanej prawicy Chinami? Skąd biorą się głosy mówiące, że jest to jedyna poważna alternatywa dla świata, z którą należy nawiązać jak najdalej idącą współpracę, przymykając jednocześnie oczy na tamtejsze zbrodnie, w myśl zasady „gospodarka jest najważniejsza"?

Fascynacja, o której pan mówi, jest wyrażana nie tylko przez „szeroko pojmowaną prawicę", zwłaszcza że takie twory jak niemiecka chadecja czy brytyjscy torysi, chociaż oficjalnie są to ugrupowania konserwatywne, to jednak z dawną prawicą nie mają wiele wspólnego.

Na Chiny najczęściej zerka i podziwia je ta najbardziej ortodoksyjna prawica, która zazwyczaj ma minimalną reprezentację w każdym parlamencie. To przedstawiciele tego typu ugrupowań głoszą teorie, że chiński model, czyli państwo oparte na „liberalnej gospodarce i silnej policji", jest kuszącym i bardzo dobrym rozwiązaniem.

Z drugiej strony bardzo często pomija się to, że także nieortodoksyjna lewica patrzy z zachwytem na ChRL i wskazuje, że dopiero tam zrealizowały się marzenia Trockiego o tym, że komunizm się rozwija znacznie szybciej niż kapitalizm, co mają potwierdzać tamtejsze wskaźniki, o gospodarce, której osiągnięcia na pierwszy rzut oka są bardzo imponujące w porównaniu np. ze wskaźnikami Unii Europejskiej.

Do tego można dorzucić, że jednocześnie ze strony prawicowej pojawiają się głosy: patrzcie, jak kapitalizm w Chinach się wspaniale rozwija, bo tam nie ma przeszkód w postaci państwa opiekuńczego, bo tam się nie płaci emerytur chłopom, bo tam można rzeczywiście zyski transferować etc.

I tutaj wracamy do początku naszej rozmowy. Jak to właściwie jest? Skoro Chiny, jak ustaliliśmy, są krajem komunistycznym, to dlaczego tak wielu chwali i podziwia chiński kapitalizm?

Nie jest to nic nadzwyczajnego. Skoro w swoim czasie Żydów obwiniano zarówno za pojawienie się morderczego komunizmu, jak i morderczego kapitalizmu, opierając się na tych samych obserwacjach, to dlaczego podobnych zabiegów ekwilibrystycznych nie można zastosować do Chin?

Ale jeżeli popatrzymy na te wszystkie chińskie inwestycje, osiągi przemysłowe i wskaźniki gospodarcze, to chyba nie możemy powiedzieć, że polityka prowadzona przez Państwo Środka jest nieskuteczna? Może to jednak chiński system, jakkolwiek go nazwiemy, jest przyszłością?

Nie, proszę pana, nie jest! Proszę nie dać się ogłupić. Chiny mają więcej mieszkańców niż Europa Zachodnia i Stany Zjednoczone razem wzięte. Chińska cywilizacja ma wspaniałą metrykę, a powierzchnia tego kraju to ponad 9,5 mln km kw. Ludność ChRL jest arcypracowita, a na obszarze kraju znajdują się wręcz niezliczone bogactwa naturalne. Można wymieniać i wymieniać. Proponuję więc odwrócić pana sugestię i zapytać: W jaki sposób przy takich wskaźnikach wyjściowych kraj o tak licznych walorach mógłby nie być mocarstwem i nie osiągać tak imponujących wyników gospodarczych?

Ale przecież w czasach Mao Zedonga Chiny przez lata, mimo wymienionych przez pana możliwości, wlekły się w światowym ogonie gospodarczym.

Przypadek Mao jest tak nietuzinkowy, że należałoby mu poświęcić odrębną rozmowę. Uważał on np., że dzięki recytowaniu komunistycznych sloganów chorzy wyzdrowieją, ślepcy odzyskają wzrok, a ludzie starsi staną się ponownie pełnymi wigoru 20-latkami. To samo tyczyło się niemal każdego aspektu życia codziennego, że wspomnę tylko pomysł na zwiększenie rozmiarów pomidora do rozmiarów arbuza poprzez czytanie czerwonej książeczki. Jeśli dodamy do tego totalną ingerencję przewodniczącego w każdą dziedzinę życia i gospodarki, to nie można się dziwić, że zmiana w podejściu następców Mao, czyli zezwolenie obywatelom na w miarę normalne i swobodne działanie, przyniosła skutek w postaci potężnego skoku gospodarczego. Czy można jednak mówić, że jest to jakakolwiek zasługa tamtejszego systemu? Nie! Powtórzę: byłoby czymś nienormalnym, gdyby jeden z największych, najludniejszych i najbardziej zasobnych krajów świata mógł się szczycić innymi wskaźnikami gospodarczymi.

Co jeszcze oprócz wymienionych przez pana kwestii świadczy o tym, że ChRL jest państwem komunistycznym?

W Konstytucji ChRL mamy zastrzeżenie, że socjalistyczna własność publiczna jest święta i nienaruszalna i że „legalny" majątek obywateli jest nienaruszalny. Jak wiadomo, często jest to własność ukradziona innym. Interesujące jest, że jeżeli nawet rozmaici chińscy komuniści uwłaszczyli się na majątkach, tak jak i nasi byli komunistyczni prominenci, to na Tajwanie i w Hongkongu są starsi ludzie, którzy posiadają papiery mówiące, że owe zakłady, które przejęto w ChRL (a potem często „sprywatyzowano"), są tak naprawdę ich własnością. Właśnie dlatego w jednym z artykułów chińskiej ustawy zasadniczej napisano, że legalnie posiadany majątek prywatny jest nienaruszalny. Co to jednak znaczy „legalnie posiadany", skoro nie ma to nic wspólnego z cywilizowanymi normami, to tylko komuniści raczą wiedzieć. Jak się zdaje, ma to wykluczyć sytuację, w której wspomniani starsi ludzie (lub ich potomkowie) zgłoszą się z potwierdzonymi notarialnie papierami. Jeśli jednak partia może skonfiskować komuś własność, przyznać ją państwu, potem w procesie uwłaszczenia oddać ją aparatczykom i nazwać to „legalnie posia-

eprasa.pl 7463047971

daną, nienaruszalną własnością", to kto zagwarantuje, że taka operacja nie może być podjęta po raz drugi? Albo trzeci?

Inny przykład: w Konstytucji ChRL jest napisane, że państwo ma wspierać takie idee i postawy jak patriotyzm, umiłowanie pracy i socjalizmu, kolektywizm, komunizm, sprzeciw wobec kapitalizmu i feudalizmu. Absurd polega na tym, że na początku XXI w. sekretarz generalny Jiang Zemin oficjalnie przyjął do partii prywatnych przedsiębiorców-kapitalistów i oznajmił o tzw. teorii trzech reprezentacji, czyli robotnikach, chłopach i właśnie „prywaciarzach", którzy mają stanowić o sile Chin. Rozumiem, że ci kapitaliści w szeregach partii komunistycznej również mają walczyć o zniszczenie kapitalizmu i feudalizmu, czyli de facto popełnić zbiorowe seppuku.

Jak w związku z tym należy to traktować?

Tak jak pisma Marksa, Engelsa i Lenina – jak totalny bełkot. W Konstytucji ChRL jest o wiele więcej tego typu smaczków. Na samym początku dokumentu jest napisane, że suwerenem jest lud, ale nikt nie wie, czym tak naprawdę jest ów lud. To nie jest tak jak w preambule do Konstytucji III RP „My, naród polski". Lud, czyli „renmin", to nie jest to samo co „guomin", czyli ogół obywateli. Nie wszyscy obywatele są ludem Chin i chyba nikt tak naprawdę nie może być pewny, czy może się do niego zaliczać.

Na samym początku konstytucji ChRL jest napisane, że suwerenem jest lud, ale nikt nie wie, czym tak naprawdę jest ów lud. Lud, czyli „renmin", to nie jest to samo co „guomin", czyli ogół obywateli. Nie wszyscy obywatele są ludem Chin i chyba nikt tak naprawdę nie może być pewny, czy może się do niego zaliczać

Dlaczego?

Sprawdzałem w wydanych w ChRL słownikach, czym jest ów „lud". Okazuje się, że jest to „ogół socjalistycznego świata pracy i popierających socjalizm patriotów oraz patriotów popierających jedność ojczyzny". Z całego tego wywodu wynika, że jeżeli ktoś nie popiera socjalizmu bądź dążeń ChRL do aneksji Tajwanu, to do ludu nie należy. Nawet gdyby – przypuśćmy – takie indywidua stanowiły większość mieszkańców.

Bardzo często używa pan słowa „socjalizm". Może więc lepiej do Chin pasowałoby określenie „państwo socjalistyczne"? Skoro ich ustawa zasadnicza mówi o obronie socjalizmu, a nie komunizmu... Swoją drogą, czy zgodzi się pan z tym, że socjalizm to jednak dużo ładniejsze słowo niż komunizm? Socjalizmem się przecież nikogo nie straszy. Socjalizm często się promuje...

No tak, ale można w związku z tym zapytać: Czy Lenin był komunistą? Każdy powie, że kto jak kto, ale on komunistą był. I tu musimy nagle z przerażeniem stwierdzić, że Lenin do końca życia pozostawał członkiem – uwaga! – Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji.

Czyli jak to właściwie jest? Komunizm czy socjalizm?

Z punktu widzenia komunistów nie ma to żadnego znaczenia. Język marksistów, zarówno tych sprzed stu lat, jak i tych współczesnych, tych z ZSRS, tych z PRL czy ChRL, jest zwykłym bełkotem („dialektyką"), którego domeną jest jedna wielka sprzeczność. Nie ma sensu, żeby się tym zajmować.

Wychodzi więc na to, że Chińczycy to jedni z nielicznych, którzy przeczytali od deski do deski „dzieło" towarzysza Stalina pt. „W sprawie marksizmu w językoznawstwie". Jak inaczej nazwać bełkot zawarty w Konstytucji ChRL?

Nie tylko „Językoznawstwo", ale i wiele innych dzieł tego Gruzina, do czego nikt oficjalnie się nie przyzna. W Chinach np. parlament, największy na świecie, ma przynajmniej teoretycznie prawo składania projektów poprawek do konstytucji. I co? Jeszcze nigdy tego nie zrobił... Projekty przygotowywał zjazd partii.

Za czasów Gierka w PRL teoretycznie również można było zgłaszać kandydatów spoza Frontu Jedności Narodu, ale jakoś nikt nigdy – nie wiadomo dlaczego – tego nie uczynił. W ZSRS z kolei można było zgłosić odpowiednim organom złe postępowanie oficera NKWD, tylko że każdy, kto tak zrobił, znikał w niewyjaśnionych okolicznościach.

A czy sami Chińczycy czują się komunistami?

W Chinach nie istnieje praktycznie żaden liczący się sprzeciw wobec reżimu, więc na pierwszy rzut oka należałoby powiedzieć: tak, czują się komunistami. Bądźmy jednak szczerzy: w PRL za Edwarda Gierka, z którym to państwem się porównuje obecną ChRL, przez większość czasu taki opór także nie istniał.

Jest wzrost gospodarczy, na głowę nie kapie, można coś zjeść, a ci, którzy są bliżsi partii, mogą się czegoś dochrapać i nachapać. Oczywiście nie wierzy się w żaden komunizm, ale czy sami rządzący w niego wierzą? Istnieje pewnego rodzaju identyfikacja z państwem, to znaczy istnieje poczucie dumy, które istniało również w III Rzeszy – że odnosimy coraz większe sukcesy, że napis „Made in China" się liczy, że robimy karierę światową, że pojawiają się robiący tu pieniądze cudzoziemcy (mimo że ich nie lubimy) itd. Czy jest to jednak jeszcze komunizm, a obywatele takiego państwa to komuniści? Jałowa dyskusja.

Jałowa?! Przecież rozmawiamy już dłuższą chwilę!

Rozmawiamy, bo jesteśmy nakłaniani przez rozmaite autorytety, niekoniecznie moralne, do postrzegania świata w taki sposób, jaki próbują nam narzucić. Jeżeli ktoś się rzeczywiście podnieca wskaźnikami, że komunizm musi zwyciężyć, to może rzeczywiście znaleźć na to w Chinach niezliczone dowody, jak pewien wykładowca z Uniwersytetu Wrocławskiego, który pisuje książki o tym, jak to w Chinach buduje się wspaniały komunizm. Jeśli zaś ktoś chce w tym widzieć zwycięstwo kapitalizmu, to niech tak to właśnie sobie widzi. W kapitalizmie musi jednak istnieć prawo – nawet surowe, ale funkcjonujące realnie – oraz poszanowanie własności. Zwycięża rzeczywiście silne, represyjne i w znacznej mierze totalitarne państwo, wszystko jedno, jaki chcemy mu nadać szyld. Taki to już model.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor rozmowy jest dziennikarzem PCh24.pl.

prof. Jakub Polit – historyk, zajmuje się historią powszechną XX w., zwłaszcza historią Chin, wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego.

eprasa.pl 7463047971

Państwo w postpandemicznej rzeczywistości musi być odważne

Piotr Hofman, prezes Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

Jeszcze w lutym wydawało się, że Polska zakończy ten rok z dodatnim wzrostem PKB na poziomie 3–3,5 proc. Sejm przyjął pierwszą w najnowszej historii naszego kraju ustawę budżetową bez deficytu. Dług publiczny w relacji do PKB zbliżał się do 40 proc. Bezrobocia praktycznie nie było. To był zupełnie inny świat od tego, który mamy teraz

Wraz z wybuchem epidemii koronawirusa wszystko się zmieniło. Lockdown gospodarki spowodował, że tysiące firm stanęło przed widmem upadłości, setkom tysięcy pracowników w oczy zajrzało bezrobocie, z marnymi perspektywami na szybkie znalezienie pracy. To był szok, który uderzył w fundamenty rozwoju ekonomicznego Polski. Zadziałał negatywnie zarówno na popyt, jak i na podaż w skali niespotykanej od dziesięcioleci.

POMOC NA 4 Z PLUSEM

Rząd względnie szybko podjął działania zmierzające do łagodzenia skutków tego uderzenia. Mieliśmy zatem do czynienia z kolejnymi odsłonami tarczy antykryzysowej. W parlamencie w zasadzie zapanował konsensus w tej sprawie, a ukradkiem nawet opozycji zdarzało się pozytywnie skomentować uchwalane regulacje.

Czy wszystko zrobiono idealnie, aby pomóc przedsiębiorcom? Pewnie nie, Rada Gospodarcza Strefy Wolnego Słowa wysyłała za pośrednictwem Biura Rzecznika MŚP swoje pomysły dotyczące ulepszania rządowych propozycji. Niemniej jednak zarówno tempo pomocy, jak i jej skalę ocenić trzeba pozytywnie. Polska jest wśród liderów w Unii Europejskiej, jeśli chodzi o rozmach wsparcia, świetnie zadziałał mechanizm współpracy najważniejszych instytucji odpowiedzialnych za gospodarkę w naszym kraju. Widać było, że prezydent, rząd, bank centralny oraz państwowe agencje grały do jednej bramki. Ta zdolność do kooperacji

ARTYKUŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z RADĄ GOSPODARCZĄ STREFY WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 7463047971

pozwoliła na uratowanie wielu firm i miejsc pracy.

Teraz jesteśmy na dosyć zaawansowanym etapie odmrażania przedsiębiorczości. Wiele branż zaczyna stopniowo, acz systematycznie wracać do normalnego funkcjonowania. Kolejne sektory łapią drugi oddech po lockdownie. Nasuwa się pytanie, kiedy będą mogły oddychać pełną piersią. Zależy to w dużej mierze od tego, jakie kroki podejmie rząd, aby przywrócić gospodarkę na ścieżkę dynamicznego wzrostu.

TRZEBA MIEĆ PLAN

Wiele wskazuje na to, że filarem postpandemicznego odbicia będą inwestycje publiczne. To po stronie państwa leży teraz odbudowanie optymizmu wśród przedsiębiorstw i gospodarstw domowych. Rozmach projektów komunikacyjnych, o których mówią prezydent Duda i premier Morawiecki, napawa nadzieją. Jej oparciem jest znana z makroekonomii reguła mnożnika, zgodnie z którą państwowe wydatki przełożą się na wzrost popytu, ten z kolei rozkręci kulejącą produkcję, tak aby przedsiębiorstwa mogły w pełni wykorzystać przytłumione możliwości. Efektem powinna być poprawa sytuacji na rynku pracy.

Tyle teoria, dużo jednak zależeć będzie od praktyki. Ważne, aby antykryzysowy impuls wywołał korzystne efekty w długim okresie. Innymi słowy, aby trwale zwiększył się potencjał produkcyjny naszej gospodarki. Ten w dużej mierze zależy od sytuacji w polskich przedsiębiorstwach, szczególnie tych z sektora MŚP. Dlaczego są one takie ważne? Dlatego że to tam akumulowany jest kapitał narodowy. Wypracowane przez te firmy zyski zostają w Polsce i mogą być reinwestowane na miejscu. Rozwój podmiotów z polskim kapitałem to w konsekwencji miejsca pracy o wyższej produktywności, a zatem także lepiej płatne. Tak buduje się dobrobyt, a przecież państwo dobrobytu było główną obietnicą obecnej władzy.

Aby cele te zrealizować, trzeba mieć wizję, dobrze przemyślany plan i odpowiednie narzędzia jego realizacji. Pora rozpocząć nad nim poważną dyskusję.

MAMY KONKRETNE PROPOZYCJE

Rada Gospodarcza Strefy Wolnego Słowa od lat uczestniczy w takiej dyskusji. Nasze propozycje dotyczą takich zagadnień, jak: zamówienia publiczne, finansowanie polskich przedsiębiorstw czy system podatkowy. Kładziemy nacisk na budowę polskiego kapitału z wykorzystaniem konkretnych rozwiązań.

Zacznijmy zatem od zamówień. W przyszłym roku wejść w życie ma nowa ustawa regulująca zamówienia publiczne. Zawiera ona wiele korzystnych dla przedsiębiorstw regulacji, niemniej jednak obecnie można się jeszcze zastanowić nad jej udoskonaleniem. W pracach nad tą ustawą padł pomysł przyznania określonej puli inwestycji firmom z sektora MŚP. Wówczas nie został on zaakceptowany w obawie przed negatywną reakcją Komisji Europejskiej. Teraz jednak sprawy mają się zupełnie inaczej. Akceptowane są, warte wiele miliardów, programy pomocy publicznej. Unijne instytucje łagodniej podchodzą do tych kwestii niż jeszcze kilka miesięcy temu. Wykorzystajmy tę okazję. Polska jest w ogonie państw, jeśli chodzi o partycypację mniejszych firm w rynku zamówień publicznych. Otwórzmy zatem ten rynek na oścież właśnie dla krajowych MŚP. Promujmy przy tym współdziałanie tych podmiotów. Niech konsorcja takich przedsiębiorstw chcące startować w przetargach korzystają z dodatkowym punktów, niech system podatkowy wreszcie dostrzeże tę formułę działania, tak aby rozliczenia między konsorcjantami nie wiązały się ze wzrostem ryzyka podatkowego.

Ważną rolę mają w tym kontekście do odegrania spółki Skarbu Państwa. To także one powinny generować dla mniejszych podmiotów popyt na innowacyjne towary i usługi. Widać zresztą sporą aktywność w tym obszarze. Giganci z udziałem Skarbu Państwa powołują własne fundusze CVC, ich celem jest poszukiwanie atrakcyjnych projektów, które zwiększą konkurencyjność inwestora, a ogólnie innowacyjność całej polskiej gospodarki. Ten kierunek wart jest utrzymania. Rada Gospodarcza podjęła w ubiegłym roku hasło „Duzi dla małych", to właśnie taki model współpracy jest obecnie najkorzystniejszy i pozwoli szybciej rozwijać się podmiotom z sektora MŚP.

Kolejna sprawa to finansowanie. Dzisiaj banki zaostrzają wymogi ubiegania się o kredyt. Trudniej będzie zatem o wsparcie z sektora bankowego. Wciąż jednak niewykorzystany pozostaje potencjał rynku kapitałowego. Ma on przyjętą przez rząd strategię rozwoju, ciągle jednak chyba niewiele się w tej materii dzieje. Warto, aby zawarte w SRRK (strategia rozwoju rynku kapitałowego) rozwiązania były realizowane. Łatwiejsza powinna być emisja obligacji, zarówno emitenci, jak i nabywcy dłużnych papierów powinni korzystać z preferencji podatkowych. Mowa o tzw. ukosztowieniu emisji dla celów podatkowych. Ciekawym rozwiązaniem byłoby, aby przedsiębiorstwa z dobrym standingiem finansowym korzystały z rządowych gwarancji, ich dług mógłby także być nabywany przez bank centralny na rynku wtórnym. Dobrze, aby system gwarancji takich instytucji jak Bank Gospodarstwa Krajowego pozostał z nami na dłużej.

Większość przedsiębiorców wykorzystuje środki własne do finansowania swojej działalności, w tym inwestycji w rozwój. Polskie regulacje nie traktują jednak tych wydatków jako kosztu podatkowego. To zaburza neutralność opodatkowania, warto, aby obok kosztów odsetkowych także środki własne miały właściwości tarczy podatkowej.

Pozostając w temacie danin publicznych, nasz kraj wciąż jest w dole rankingów konkurencyjności podatkowej. Wiele ulg, które prawo przyznaje firmom, obarczonych jest licznymi obwarowaniami i dodatkowymi wymogami. To musi się zmienić. Kluczem nie jest wysokość stawek, tylko prostota rozliczenia. Im łatwiej i szybciej, tym lepiej!

Od dawna Rada Gospodarcza Strefy postuluje wprowadzenie metody kasowej (na wzór tej obowiązującej w podatku VAT) w PIT i CIT. To jeden ze sposobów skutecznego wsparcia przez państwo firm dotkniętych trudnościami związanymi z zatorami płatniczymi. Problem ten będzie w najbliższym czasie narastał.

PAŃSTWO MUSI DZIAŁAĆ ODWAŻNIE

Wymienione wyżej propozycje wymagają zdecydowania i odwagi po stronie państwa. Musi je ono wykazać, taka jest bowiem potrzeba czasów, w których żyjemy. Warto już teraz zasiąść do debaty nad nowym programem gospodarczym dla Polski. Potrzebujemy, aby powstał jak najszybciej. Rada Gospodarcza Strefy Wolnego Słowa jest gotowa, aby włączyć się w jego opracowanie.

Autor jest prezesem Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa
www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl

Rada Gospodarcza
STREFY WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 7463047971

Z Anną Malinowską, dziennikarką i pisarką
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

FOT. IPN

Demon zła

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Dlaczego Salomon Morel nie stanął przed sądem?

ANNA MALINOWSKA: Ponieważ uciekł do Izraela. A ten kraj nie przewiduje ekstradycji swoich obywateli. W dokumentach ze śledztwa w sprawie obozu Zgoda jest obfita korespondencja między polską stroną, domagającą się ekstradycji Morela, i izraelską, która jej odmawia. Powoływano się głównie na to, że „wyemigrował" on z Polski w 1993 r. i uzyskał obywatelstwo izraelskie. I był osobą w podeszłym już wieku, schorowaną, która przeżyła Holokaust.

Zanim został katem, był ofiarą?

Podczas okupacji niemieckiej w swojej rodzinnej wiosce Garbowie na Lubelszczyźnie musiał się ukrywać wraz z bliskimi. Jak wiele innych żydowskich rodzin. 21 grudnia 1942 r. we wsi doszło do egzekucji. Rozstrzelani zostali rodzice Salomona, jego brat i bratowa. Z całej rodziny przeżyli jedynie on i jeden z braci, Izaak. 23-letni wówczas Salomon chronił się w stodołach, oborach, chlewikach. Miał szczęście, bo kilku miejscowych mu pomogło. Dość łatwo można sobie wyobrazić, co wówczas czuł. Dookoła Niemcy polowali na Żydów, niedługo później dygnitarze III Rzeszy podejmą decyzję „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej". Morel czuł się jak zaszczute zwierzę. Z kłębowiskiem własnych myśli i przeżyć. Czy człowiek, któremu zastrzelono rodzinę, jest ofiarą? Oczywiście, nie mam co do tego wątpliwości. Nie mam ich również co do tego, że bycie ofiarą nie jest tożsame z dożywotnim usprawiedliwieniem. Zwłaszcza że pisząc o życiu Morela, zrozumiałam, że w jego przypadku okupacyjne doświadczenia niewiele tłumaczą. Mogą być jedynie furtką, ujściem. Niczym więcej.

Początek i koniec kariery w Polsce Ludowej zapewnił mu zwierzchnik z partyzantki?

Morel trafił do partyzantki Armii Ludowej. W lesie znalazł się w samym epicentrum wydarzeń, wśród ludzi, którzy chwilę później będą budować Polskę Ludową. Siłą rozpędu jego oddział już latem 1944 r. znalazł się w Lublinie. Morel i reszta bardzo szybko dostawali pracę w Milicji Obywatelskiej lub w Urzędzie Bezpieczeństwa. Czują się pewnie. Ważne stanowiska i urzędy pełnią ich dowódcy z lasu. Pierwszym miejscem pracy Salomona w listopadzie 1944 r. stał się Zamek w Lublinie. Przetrzymywano w nim AK-owców, „element niepewny". Wykonywano wyroki, panowały koszmarne warunki. Morel, szeregowy funkcjonariusz, niczym specjalnym się tam nie wyróżniał. Wręcz przeciwnie. Naczelnik tamtego więzienia złożył nawet wniosek o jego zwolnienie. Ponieważ nie wykonywał sumiennie swoich obowiązków, nie szanował regulaminu i zachowywał się arogancko. Podobne zarzuty naczelnik postawił jeszcze kilku innym strażnikom. Władza jednak zamiast ich wyrzucić, przerzuciła ich do pracy w innych więzieniach. Morel na chwilę trafił do Tarnobrzega, by już w lutym 1945 r. wyjechać na Śląsk. I awansować, bo mianowano go komendantem obozu Zgoda. Z mizerną edukacją, bez żadnych kwalifikacji. Chłopak z lubelskiej wioski stał się ważną górnośląską personą. Czy ktoś bezpośrednio zapewnił mu taką karierę? Dokumenty na ten temat milczą. Nowa władza miała problemy z kadrami. Brakowało ludzi. Trzeba też pamiętać o specyfice Górnego Śląska. Ślązakom komuniści niespecjalnie się podobali. Przykładowo trzon milicyjnych śląskich kadr tworzyli ludzie z Zagłębia. Dopiero pod koniec 1945 r. w milicji pojawi się większa grupa Ślązaków. Trudno powiedzieć, czy ktoś

eprasa.pl 7463047971

Morela na stanowisko komendanta szczególnie rekomendował. W aktach Morela znajduje się pisemne zaświadczenie Mieczysława Moczara, który pisze, że Morel służył w oddziałach partyzanckich na terenach Lubelszczyzny i brał czynny udział w akcjach bojowych z Niemcami. Jednak jest datowane na rok 1947.

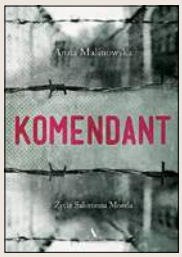

ANNA MALINOWSKA „KOMENDANT" AGORA 2020

Podaje pani liczne przykłady sadyzmu tego – że przytoczę określenie jednej z jego ofiar – demona zła...

Trudno, pisząc o Morelu i Zgodzie, ich uniknąć. Wszystkie oparte są na zeznaniach świadków. O tym, co tam się działo, mówili byli więźniowie.

Na zawodowym szlaku najważniejszymi przystankami stały się dlań Świętochłowice i Jaworzno?

Do obozu w Świętochłowicach trafiali często Bogu ducha winni Ślązacy. Dla nowej władzy „element niepewny", bo podpisali volkslistę. A trzeba pamiętać, że volkslista czym innym była na Górnym Śląsku, wcielonym do III Rzeszy, a czym innym w Generalnym Gubernatorstwie. Niemcy traktowali Ślązaków jako pełnoprawnych obywateli III Rzeszy. Najpierw Ślązacy mieli podpisać tzw. palcówkę. Namawiał do niej bp Stanisław Adamski, uważając, że będzie to doskonały kamuflaż, który pomoże przetrwać czas okupacji. Że bez tego doszłoby do wysiedlenia ze śląskiej ziemi uświadomionych i dobrych Polaków. Później jednak z „palcówki" zrezygnowano. I wówczas już sami Niemcy decydowali o wpisywaniu na volkslistę i zaszeregowaniu do odpowiedniej grupy. Wszystko działo się za plecami samych zainteresowanych. Na Śląsku więc volkslisty w żaden sposób nie można utożsamiać ze zdradą państwa polskiego. Do Jaworzna z kolei trafiali młodzi „przestępcy". Zdecydowana ich większość za przynależność do powojennych antykomunistycznych grup konspiracyjnych. To rzeczywiście były ważne miejsca w zawodowej działalności Morela. Bo i w jednym, i drugim przypadku zostało w III RP wszczęte śledztwo, co spowodowało ucieczkę Morela z Polski. Ale ważnym przystankiem w jego życiu były też Katowice. Tu wraz z rodziną mieszkał najdłużej. Tu też zmienił się w mieszczucha umawiającego się na brydża z sąsiadami. Ze zdobytym wyższym wykształceniem prawniczym kierował tutejszym więzieniem już w zupełnie innych realiach. W 1956 r. więziennictwo przeszło pod zarząd Ministerstwa Sprawiedliwości. Wcześniej zajmował się nim Departament Więziennictwa Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Bieżące sprawy rozwiązywano za pomocą okólników i wytycznych, nadzór prokuratorski miał tylko formalny charakter, nie dbano o morale personelu. Pracownicy więzień mieli zajmować się izolacją opozycji politycznej. Przecież wówczas utrwalił się podział więźniów na pospolitych i politycznych. Dopiero po 1956 r. stopniowo odchodzono od tego modelu na rzecz resocjalizacji. Pojawią się przepisy, które precyzują, kto może być funkcjonariuszem służby więziennej, przewidują kary za naruszenie dyscypliny służbowej itp. A Morel do nakazów nowej rzeczywistości się stosuje. Po 1956 r. nie ma już żadnej skargi na jego pracę i metody.

Wdrażany w Jaworznie system wychowawczy z uporem maniaka zachwalał Kazimierz Koźniewski...

Rzeczywiście. Chociaż z biegiem lat wydaje się, że łuski powinny spaść z oczu. Trzeba pamiętać, że w Jaworznie wdrażano pedagogikę Antona Makarenki. Ten sowiecki dydaktyk uważał, że młodzi przestępcy dzięki odpowiednim działaniom wychowawczym pokochają komunizm, staną się budowniczymi „wspaniałego" ustroju, ideowcami. Zagwarantować to miały ciężka praca i pranie mózgu – pogadanki, książki, filmy, przedstawienia teatralne. Szkopuł w tym, że polscy więźniowie w przeciwieństwie do podopiecznych Makarenki nie byli niepiśmiennymi sierotami z ulicy. Pochodzili z normalnych domów, często byli lepiej wykształceni niż personel, który się nimi zajmował. Ten eksperyment w polskich warunkach nie miał prawa się udać! Zdecydowanej większości tych młodych chłopaków nie udało się złamać. Koźniewski nie potrafił dostrzec nie tylko absurdu tej sytuacji, lecz także koszmaru, który rozgrywał się w Jaworznie. Katorżniczej pracy, indoktrynacji ideologicznej, srogich kar, wpajania donosicielstwa. Dla niego to więzienie było „inne" niż wszystkie, bo działał w nim Dom Kultury, a w oknach brakowało krat.

Dlaczego Morel przedwcześnie przeszedł w stan spoczynku?

Ponieważ nadszedł marzec 1968 r. Miał wówczas tylko 49 lat, musiał przejść na emeryturę z racji żydowskiego pochodzenia. Rozgoryczony zaszył się w domu. Wydaje mi się, że szczególnie bolało go to, iż za wszystkim, co się działo, stali jego ludzie z partyzantki. Gdzie w marcu 1968 r. podziało się braterstwo broni? Jednak co znamienne, Morel wówczas nie opuścił kraju. Został w Katowicach. Do końca życia powtarzał, że w pierwszej mierze czuje się Polakiem, polskim patriotą nawet! Pisał o tym w swoich ostatnich listach, które wysyłał z Izraela do przyjaciół w Garbowie.

Żywot animowanego emeryta przerwała wizyta dziennikarza z USA czy list otwarty?

Zaczęło się od wizyty Grażyny Kuźnik, dziennikarki, która pracowała wówczas w lokalnym tygodniku „Tak i Nie". Zainteresowała się obozem w Jaworznie, poznała byłych więźniów, docierała do byłych strażników. I trafiła do mieszkania Morela. Chociaż bezpardonowo ją wyrzucił, opublikowała teksty informujące o jego przeszłości. Niebawem o swoich zmarłych krewnych ze Zgody zaczęli się upominać Ślązacy. Zaczęto wysyłać pierwsze oficjalne listy. W końcu było już po 1989 r. Bogdan Pyka, były więzień z Jaworzna, napisał list otwarty, zamieszczony przez „Dziennik Zachodni". No i w końcu przyjechał John Sack, amerykański dziennikarz. Drążył, pytał, dociskał i bomba eksplodowała. Tematu nie dało się już wyciszyć.

Śledztwo tak się ślimaczyło, że zdołał zbiec...

Dzisiaj, z perspektywy czasu oglądając zgromadzone w śledztwie dokumenty, można mieć wątpliwości co do sposobu jego prowadzenia. Sądzę, że ta sprawa przerosła ówczesnych śledczych. Wielu ich działań nie potrafię zrozumieć. Częściej niż Morela, gdy był jeszcze w Polsce, przesłuchiwano Wacława Łochockiego, któremu w Zgodzie podlegały sprawy administracyjne. Zupełnie nie wiem dlaczego, bo to nic nowego do śledztwa nie wnosiło. Śledczy, którzy prowadzili postępowanie, zmieniali się dość często. Świadkowie w swoich zeznaniach czasem podają ważne informacje, które nie są weryfikowane i pogłębiane.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Anna Malinowska – absolwentka Uniwersytetu Śląskiego, dziennikarka, pisarka, autorka książek: „Brunatna kołysanka. Historie uprowadzonych dzieci" i „Komendant. Życie Salomona Morela".

eprasa.pl 7463047971

Kto wydał rotmistrza?

HISTORIA

Kto w
rtm. Pilecki

Tadeusz Płużański

Jednym z kapusiów, przez którego wpadli rtm. Witold Pilecki i jego współpracownicy, był wieloletni agent i partyzant sowiecki, w czasie wojny wydający żołnierzy Armii Krajowej na Nowogródczyźnie, a po wojnie kapitan Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego

Niektórzy wsypę grupy rtm. Pileckiego przypisują wyłącznie Leszkowi Kuchcińskiemu. Przed wojną był członkiem Obozu Narodowo-Radykalnego, po 1939 r. – w składzie Armii Krajowej. W TAP działał razem z Tadeuszem Płużańskim, moim ojcem, który po wojnie był kurierem Pileckiego do II Korpusu gen. Andersa we Włoszech. Kuchciński od końca 1945 r. pełnił funkcję szefa Od... czeństwa i Służb Polityc... Obszaru Centralnego W... Krewniak rotmistrza, ... ki, w opracowaniu „Był se... śmierci?" napisał: „W przy... Pileckiego i jego bliskich wy... ników siły bezpieczeństwa z... jeden z wypróbowanych spos... wprowadzając do organizacji ... agenta Leszka Kuchcińskiego".

Historyk prof. Wiesław Jan W... w prokuratorskiej książce „Rotmi... Pilecki" ujawnił, że agent Kuchci... pracowywał grupę „Witolda" prze... miesięcy: „Dzięki jego informacjom ... cjonariusze MBP mieli ułatwione za... podczas śledztwa". Los Kuchcińskiego ... jest znany: Związana z MBP obrończyn... Tadeusza Płużańskiego, Alicja Pintaro... twierdziła, że „poszedł do piachu".

Wysocki kontynuuje: „Oprócz ewi... dentnie agenturalnej działalności Leszka Kuchcińskiego, która spowodowała aresztowania, istnieją wyraźne poszlaki dotyczące innych sposobów penetracji siatki »Witolda« przez bezpiekę. Wydaje się, że wokół rotmistrza zaciskały się trzy ...

54

Anna Mandrela

Na tezę o tym, że rtm. Pileckiego wydał kpt. Wacław Alchimowicz, nie ma dowodów

W numerze 22 (375) tygodnika „Do Rzeczy" ukazał się artykuł Tadeusza Płużańskiego „Kto wydał rotmistrza Pileckiego". Autor stwierdza w nim, że „jednym z kapusiów, przez którego wpadli rtm. Witold Pilecki i jego współpracownicy" był kpt. Wacław Alchimowicz. Argumentem przytoczonym na potwierdzenie tej tezy miał być m.in. udział Alchimowicza w sowieckiej partyzantce podczas wojny. Jednak z tych wydarzeń nie wynika, że Alchimowicz wydał rtm. Pileckiego i jego towarzyszy. Na postawioną przez pana Płużańskiego tezę brak jest dowodów, w aktach IPN nie ma bowiem ani słowa o rzekomym donoszeniu Alchimowicza na Pileckiego i jego towarzyszy.

Co ciekawe, większość historyków nie wspomina w tym kontekście o Stefanie Guzie, który pod pseudonimem Jakub już od jesieni 1946 r. przekazywał do UB informacje o Tadeuszu Płużańskim, jego narzeczonej Stanisławie Skłodowskiej oraz o rtm. Witoldzie Pileckim, którego nazwiska nie znał. W archiwum IPN zachowały się obszerne meldunki Jakuba. Oto fragment jednego z nich z listopada 1946 r.: „O oznaczonym czasie byłem w Bydgoszczy i spotkałem Tadeusza na dworcu. Po wyjściu z dworca powiedział on mi, że z nim razem przyjechał jego inspektor i przedstawił mi go na ulicy. Według oświadczenia Tadeusza miał ten obywatel pracować jako sprawozdawca w Oświęcimiu przez przeciąg dwóch lat. Jeszcze przed końcem z Oświęcimia uciekł".

O roli Stefana Guza w rozpracowaniu grupy rtm. Pileckiego opowiedziała dr Alicja Paczoska-Hauke podczas konferencji „Oblicza zdrady" zorganizowanej przez IPN w 2017 r., a obszerne fragmenty jego agenturalnych meldunków umieściłam w książce „Kto zdradził Witolda Pileckiego?" (Warszawa 2019).

MELDUNKI KAZIMIERZA CZARNOCKIEGO

Stefan Guz nie był jednak agentem, który bezpośrednio przyczynił się do aresztowania Witolda Pileckiego. Rotmistrz został aresztowany kilka dni po meldunku agenta „Zielińskiego" (Kazimierza Czarnockiego), w którym pojawiły się słowa: „Na czele Warszawy stoi Witold". Kazimierz Czarnocki był zastępcą Wincentego Kwiecińskiego i sekretarzem Komitetu Porozumiewawczego Organizacji Polski Podziemnej, posiadał sporo kontaktów i znał też osoby z grupy rtm. Pileckiego. W Zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość Czarnocki był przełożonym Leszka Kuchcińskiego, który przekazywał mu informacje z MBP od pracującego tam Wacława Alchimowicza. Jedną z tych informacji było ostrzeżenie o agencie w strukturach WiN oraz o mających nadejść aresztowaniach. Niestety raport ten trafił do Kazimierza Czarnockiego, który współpracował z bezpieką.

Z planu agenturalnego rozpracowania o kryptonimie V dowiadujemy się, że Kazimierz Czarnocki naprowadził funkcjonariuszy na Leszka Kuchcińskiego, a następnie na Tadeusza Płużańskiego w marcu 1947 r. Od tej pory cała grupa była dokładnie obserwowana. Do tego czasu kpt. Alchimowicz zdążył przekazać antykomunistycznemu podziemiu wiele cennych informacji: o warunkach w więzieniach, o sfałszowanych wynikach referendum, a także o agencie żydowskiego pochodzenia Gabrielu Zacharewiczu, którego MBP wysłało do Londynu.

Wiele wskazuje na to, że szefostwo MBP długo nie wiedziało, który z ich pracowników wykrada tajne informacje i przekazuje je podziemiu. W rysunku przedstawiającym wydział informacyjny WiN przy pracowniku MBP, z którym kontaktował się Leszek Kuchciński „Bigiel", postawiono znak zapytania. Alchimowicz został zidentyfikowany jako wtyczka WiN w MBP dopiero po meldunku Kazimierza Czarnockiego: „Bigiel znów podjęty. Zapowiedzianych materiałów dziś nie dostarczył, ponieważ nie był pewny, czy spotkanie dojdzie do skutku. Według tego, co mówi, Alchmanowicz ma trudności, ponieważ odsunięty jest ostatnio od ciekawszych spraw".

Chociaż agent „Zieliński" przestawił kilka liter w nazwisku pracownika MBP, dla jego pracodawców sprawa była jasna. Kilka dni później Alchimowicz został aresztowany, następnie skazany na karę śmierci w procesie bez obrońcy i zamordowany 11 lutego 1948 r. w więzieniu mokotowskim. Natomiast Leszek Kuchciński został zabity na początku maja 1947 r. podczas próby ucieczki przed aresztowaniem. Z kolei agent „Zieliński", czyli Kazimierz Czarnocki, żył do 1981 r., zajmując się dziennikarstwem i związkiem łyżwiarskim w Elblągu. Niektórzy historycy twierdzą, że Alchimowicz i Kuchciński zostali zabici, gdyż wiedzieli zbyt wiele. Tak postawioną hipotezę trudno jest jednak potwierdzić. Zazwyczaj w tamtym czasie agenci, któ-

eprasa.pl 7463047971

HISTORIA SOWIECKIEGO PARTYZANTA

„PARTYZANCI TO WASI PRZYJACIELE"

WYWIAD DLA NKGB

„WYDAŁ NA SIEBIE WYROK"

KTO BYŁ WALLENRODEM?

FOT. IAN

rych meldunki przyczyniły się do aresztowań, nie byli zabijani, ale wykorzystywani w kolejnych operacjach. Gdyby jednak Alchimowicz i Kuchciński mieli z jakiegoś powodu zostać zlikwidowani, taki sam los musiałby czekać również Kazimierza Czarnockiego, który z całej trójki posiadał najwięcej informacji o podziemiu antykomunistycznym.

Postać Kazimierza Czarnockiego jako agenta, który doprowadził do aresztowania działaczy WiN oraz grupy rtm. Pileckiego, pojawia się w publikacjach dr. Łabuszewskiego, jednak o Czarnockim nie przeczytamy nic w większości książek poświęconych postaci rotmistrza (Wysocki, Cyra, Płużański). Historycy od lat winą za zdradę grupy Pileckiego obarczają Alchimowicza lub Kuchcińskiego, ignorując inne możliwe hipotezy badawcze.

DOKUMENTY DOTYCZĄCE WACŁAWA ALCHIMOWICZA

W artykule „Kto wydał rotmistrza Pileckiego?" Tadeusz Płużański pomija argumenty, które mogłyby świadczyć o tym, że działalność Alchimowicza nie doprowadziła do aresztowań w grupie. Najprawdopodobniej ci dwaj mężczyźni nigdy się nie spotkali. Pilecki zapytany o Alchimowicza miał odpowiedzieć: „oficera z MBP, który dawał materiały Płużańskiemu Tadeuszowi, nigdy nie widziałem i nie znam jego nazwiska. Wiem tylko ze słów Płużańskiego Tadeusza, że oficer ten dawał mu materiały z MBP, nie żądając za nie żadnego wynagrodzenia, a jedynie prosił on Płużańskiego Tadeusza, by w razie zaaresztowania go, zaopiekował się jego rodziną, co mu Płużański Tadeusz przyobiecał".

W aktach IPN znajdujemy również raport z 1954 r., sporządzony przez Młynarczyka (wicedyrektora Ściśle Tajnego Biura do spraw Funkcjonariuszy MBP), w którym Wacław Alchimowicz został opisany jako wtyczka WiN w MBP. Alchimowicz jest w tym dokumencie uznany za tego, który zdradził swoich komunistycznych przełożonych i za to wykonano na nim wyrok kary śmierci. W raporcie nie pojawia się ani słowo o jego rzekomym udziale w rozpracowaniu grupy rtm. Pileckiego. W 1997 r. o Wacława Alchimowicza zapytano komunistycznego zbrodniarza Adama Humera, który przebywał wtedy w więzieniu. Humer potwierdził, że Alchimowicz był wtyczką WiN w MBP.

Należy również wspomnieć o tym, że po latach Alchimowicz został zrehabilitowany. W 1991 r. Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego w Warszawie postanowił stwierdzić „nieważność wyroku skazującego Wacława Alchimowicza, ponieważ został on skazany w okresie pomiędzy 1.01.1944 a 31.12.1956 r., zaś przypisane mu przestępstwa związane były z jego działalnością na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego".

„RAPORT BRZESZCZOTA"

Skąd zatem teza o roli Leszka Kuchcińskiego i Wacława Alchimowicza w aresztowaniu grupy rtm. Pileckiego? Wiesław Jan Wysocki i Tadeusz Płużański twierdzą, że „raport Brzeszczota", zawierający informacje od Wacława Alchimowicza, był prowokacją UB. Tekst ten został przekazany przez Leszka Kuchcińskiego grupie Witolda Pileckiego.

W „raporcie Brzeszczota" zawarto sugestię przeprowadzenia zamachów na życie najbardziej niebezpiecznych funkcjonariuszy MBP. Rzekoma prowokacja miała polegać na przedstawieniu organizacji rtm. Pileckiego jako terrorystycznej, a nie tylko szpiegowskiej. Zarzut zamachów pojawił się w akcie oskarżenia Pileckiego, ale prasa propagandowa pomijała ten wątek. W Studium Polski Podziemnej w Londynie znajduje się relacja Felicji Wolff, jednej z kurierek Pileckiego, która twierdziła, że koledzy Pileckiego rzeczywiście planowali zamachy. Oczywiście Witold Pilecki nie mógł się do tego przyznać w śledztwie ani podczas rozprawy sądowej. Jednak w raporcie, który wysłał na Zachód, Pilecki stwierdził, że popiera plan likwidacji czołowych funkcjonariuszy MBP: „Akcje takie, jak to wykazuje raport Brzeszczota, muszą mieć miejsce, o ile chce się zupełnie przeciwdziałać zupełnemu zsowietyzowaniu Polski".

Oprócz sugestii, aby zamordować Józefa Czaplickiego (Izydora Kurca), Józefa Różańskiego (Goldberga) i Julię Brystygierową, w „raporcie Brzeszczota" pojawia się wiele informacji o funkcjonowaniu MBP. Dokument trafił do grupy rtm. Pileckiego w grudniu 1946 r., a do aresztowań w grupie doszło w maju 1947 r. To osłabia hipotezę, że dokument był jedynie prowokacją UB. W takim wypadku wystarczyłoby go podrzucić na kilka dni przed aresztowaniem lub w samym dniu aresztowania.

Pojawiające się w wielu publikacjach twierdzenie, że „raport Brzeszczota" był prowokacją UB, a Leszek Kuchciński i Wacław Alchimowicz zakapowali rtm. Pileckiego, nie znajduje potwierdzenia w dokumentach źródłowych ani w kontekście historycznym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7463047971

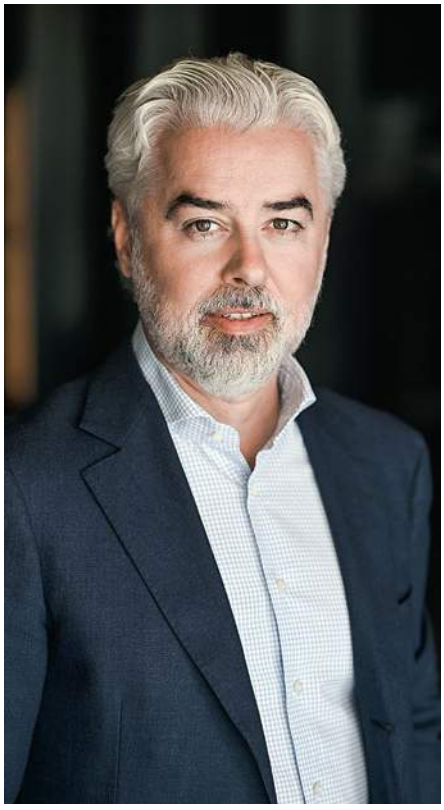

Rozmowa z Gheorghem Marianem Cristescu, prezesem Polskiego Holdingu Hotelowego

Oddaliśmy hotele medykom

Prawie 3 tys. pokoi w blisko 30 hotelach. Czy zbudowanie drugiej pozycji w kraju w branży hotelowej pozwoliło bezpieczniej Polskiemu Holdingowi Hotelowemu przetrwać czas kryzysu związanego z pandemią?

GHEORGHE MARIAN CRISTESCU: Tak. Nie tylko pozwoliło nam przetrwać, lecz także pozwoliło na szerokie działania. Udowodniliśmy, że można sprawnie ochronić swój biznes, ale również zaangażować swój potencjał kadrowy czy samą strukturę hoteli, aby pomóc w walce z koronawirusem.

Czy wasi klienci odczują skutki lock downów i obostrzeń? Zakładam, że biznes będzie chciał jakoś odrobić straty.

Podaż będzie zawsze uzależniona od popytu. Jesteśmy częścią polskiego rynku hotelarskiego i wszystkie nasze działania są uzależnione od aktualnej sytuacji na rynku. To dotyczy dystrybucji naszych hoteli, ale również ustalenia cen na podstawie codziennych analiz rynkowych. Niestety w hotelach biznesowych zapotrzebowanie na noclegi jest w dalszym ciągu znikome i sądzę, że dzisiaj cena nie gra tutaj roli. Dopóki granice nie będą otwarte, dopóki samoloty nie będą znów latać, a firmy nie odmrożą podróży służbowych, dopóty nie będziemy mieli wysokiego obłożenia w hotelach biznesowych. Odrębną sytuację mamy w hotelach wypoczynkowych, gdzie już obserwujemy wzmożony ruch i to nie tylko w naszych hotelach, lecz także ogólnie, we wszystkich kurortach.

A pracownicy PHH?

Odczuli kryzys tak jak większość z nas. Jednak nasza firma w związku z zaangażowaniem w walkę z pandemią była bardzo aktywna w tym czasie. Nie było takiego momentu, żeby ludzie nie mieli co robić. Przechodziliśmy przez ten trudny czas jako wspólnota. Skorzystaliśmy z rządowej Tarczy Antykryzysowej, w związku z tym obniżyliśmy zakres pracy o 20 proc. i o tyle samo wynagrodzenia. Podjąłem jednak decyzję, że po części utracone dochody naszych pracowników pokryjemy z pieniędzy z Tarczy, dzięki czemu ostatecznie pracownicy odczuli obniżkę przez trzy miesiące o 8 proc. Redukcja zatrudnienia nie była potrzebna. Uważam bowiem, że byłoby błędem spieszyć się ze zwolnieniami pracowników, pamiętając, z jaką trudnością wcześniej zbudowaliśmy silny zespół – i nie mówię tu jedynie o kadrze kierowniczej, lecz także o pracownikach liniowych.

Czyli jest pan optymistą, jeśli chodzi o perspektywę wychodzenia z kryzysu związanego z pandemią?

eprasa.pl 7463047971

Jestem racjonalnym optymistą. Znam analizy gospodarcze pisane też przez podmioty niezwiązane z Polską, które mówią, że nasze działania – od szybkiego zamknięcia przez tarczę kryzysową Polskiego Funduszu Rozwoju – były racjonalne i dobrze przemyślane. Chciałbym też zaznaczyć, że od początku pandemii w Polsce oddaliśmy nasze hotele do dyspozycji medyków czy na izolatoria dla chorych łagodnie przechodzących chorobę. Podjęliśmy przy tym takie działania zabezpieczające pracowników oraz gości, że do dziś nie mieliśmy żadnego przypadku zachorowań. Jestem przekonany, że osoby podejmujące decyzje dotyczące odmrożenia gospodarki względem segmentu hotelowego brały pod uwagę nasze doświadczenia, co jest zrozumiałe, ponieważ jesteśmy największą spółką Skarbu Państwa, jeśli chodzi o turystykę, hotelarstwo, ale też jesteśmy jednym z największych graczy na rynku hotelowym w kraju.

Mimo kłopotów, które dotknęły też PHH, włączyliście się w pomoc w czasie pandemii. Czy to znów zaprzeczenie twierdzeniu o tym, że „kapitał nie ma narodowości"?

To nie tylko jeden z przykładów, ale przede wszystkim egzemplifikacja tego, że pochodzenie kapitału ma znaczenie. I jeśli ktoś mówi inaczej, to wie doskonale, że tak nie jest i ma jakieś inne cele do osiągnięcia. Przez ostatnie dwa lata udało nam się wzmocnić tę firmę pod względem zarówno finansowym, jak i kadrowym. Takiej roli od lat nie odgrywała żadna spółka Skarbu Państwa działająca na wolnym rynku, z bardzo silną konkurencją zewnętrzną. W tym wszystkim większość naszych hoteli przed pandemią osiągała wyniki powyżej średniej rynkowej, a sama spółka PHH wyznacza pewne trendy na lokalnym rynku hotelowym.

Zaprzecza pan kolejnemu przekonaniu – że coś państwowego zawsze działa gorzej niż wolny rynek. Jak to się robi?

Wszystko zależy od ludzi. Jeśli się zatrudnia fachowców i się ich odpowiednio motywuje, ale też pozwala działać – w ramach dobrze zorganizowanych struktur i przy dobrym biznesplanie – to osiągnie się sukces. Sam kształtowałem się jako hotelarz na wolnym rynku. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli dane będzie mi zrealizować mój plan na stworzenie PHH, to będzie to sukces. Miałem szczęście, że trafiłem na odpowiednie osoby, które zrozumiały ten plan. Chciałem szczególnie podkreślić tu rolę premiera Mateusza Morawieckiego, który rozumiał zasadność wzmocnienia polskiego kapitału hotelowych spółek Skarbu Państwa. Dziś wiele się mówi o budowaniu synergii w obrębie spółek Skarbu Państwa, a my byliśmy jedną z pierwszych spółek, które zaczęły to wprowadzać w życie.

Pomoc w pandemii zaczęliście od cateringu, a nie od miejsc hotelowych. Dlaczego?

Gdy zdaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy potrzebni, zgłosiliśmy naszą gotowość do Ministerstwa Aktywów Państwowych. Otrzymałem informację, że jest potrzeba dotycząca obsługi cateringu dla stacji epidemiologicznych. Jako że posiadamy oddział cateringu w stolicy, zaczęliśmy ten projekt pomocy w Warszawie. Przekazaliśmy też informacje do kolegów z całego kraju i wiem, że inne podmioty, np. dobry hotel w Gdańsku, też się w to włączyły.

Potem pomagaliście znów trochę nietypowo – przeszkoliliście pracowników do pomocy na infoliniach sanepidu i NFZ.

To kolejny dowód na to, co już powiedziałem – że warto inwestować w profesjonalną kadrę.

W hotelarstwie szkolimy ludzi, którzy mają do czynienia z klientami, nierzadko trudnymi. Inne spółki Skarbu Państwa pomogły w pierwszej kolejności przede wszystkim, bo miały swoje działy call center. W naszym przypadku przekazaliśmy do wsparcia 30 pracowników, którzy szybko nauczyli się być zarówno konsultantami, jak i wsparciem dla infolinii NFZ.

Przygotowaliście też hotele i izolatoria dla medyków oraz ich rodzin.

Wszystkie nasze obiekty były gotowe do przekształcenia na izolatoria lub dla medyków. PHH stał się hubem i kontaktem pomiędzy wojewodami, szpitalami i NFZ. To była intensywna praca, gdyż nie posiadaliśmy wcześniej informacji o tym, które hotele zlokalizowane są w pobliżu szpitali. Musieliśmy dopiero stworzyć taką bazę hoteli i dzięki temu udało nam się wspólnymi siłami – i duża tu zasługa operacyjna wojewodów – zbudować sieć izolatoriów oraz hoteli dla medyków i ich rodzin. Komuś, kto nie był w środku tych wydarzeń na początku pandemii, trudno będzie zrozumieć, jak stresująca i wyczerpująca była to praca. W spółce PHH na miejscu działał sztab kryzysowy. Pracowaliśmy od poniedziałku do niedzieli 24 godziny na dobę.

Do czego powołana została fundacja Hotele dla Medyków?

W trakcie działań zdałem sobie sprawę, że możemy zrobić jeszcze więcej. Przed oczami miałem ministra Szumowskiego i jego walkę o nasze bezpieczeństwo. Najpierw myślałem o publicznej zbiórce pieniędzy, ale zasugerowano mi, że lepiej stworzyć fundację. Tak też zrobiliśmy. Jako zarząd PHH wpłaciliśmy milion złotych jako fundator. Wsparcie finansowe zadeklarowały od samego początku Polski Holding Nieruchomości, Przedsiębiorstwo Państwowe Porty Lotnicze oraz Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych, dzięki czemu ruszyliśmy z budżetem 3 mln 250 tys. zł. Dla nas nie było czasu na dywagacje i rozmowy, tylko na działanie, a poprzez stworzenie fundacji chcieliśmy również pokazać solidarność z naszymi kolegami z branży.

Wiem, że organizowaliście też spotkanie z przedstawicielami władz Rumunii, którzy chcieli się od nas uczyć rozwiązań osłonowych dotyczących kryzysu koronawirusa. Co ich najbardziej interesowało?

Jestem przewodniczącym Polsko-Rumuńskiej Bilateralnej Izby Handlowo-Przemysłowej. Rumunia od kilku lat bardzo nam zazdrości instytucji, jaką jest PFR. Oni również chcą stworzyć u siebie podobny fundusz. Moje pierwsze rozmowy z prezesem Pawłem Borysem odbyły się trzy lata temu, kiedy razem z panem prezesem odwiedziliśmy stronę rumuńską, przedstawiając jej zarys działania i możliwości instytucji PFR. Teraz, podczas kryzysu, dowiedzieli się, jak PFR funkcjonuje oraz wspiera polskich przedsiębiorców. Powstała wola powrotu do rozmów ze stroną polską i zostałem poproszony o zorganizowanie wideokonferencji w tej sprawie. Mogę być tylko dumny z tego, że gdy premier Morawiecki dowiedział się o tej inicjatywie, chciał w niej uczestniczyć razem z premierem Rumunii, Ludovicem Orbanem. Rozmawiano o wielu szczegółach i byłem pod wrażeniem, w jaki sposób strona rumuńska przyjmowała te wszystkie informacje o działaniach PFR nie tylko w trakcie kryzysu, lecz także w kontekście przyszłości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7463047971

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Piłsudski na Sachalinie

Zatrzymał się w połowie mostu, oparł o balustradę. Według jedynego świadka, obejrzał się jeszcze za siebie. Zawinął połę płaszcza i przełożył nogę nad barierką. Potem drugą. Jego stopy balansowały na krawędzi mostu. Ręce wygiął do tyłu, dłonie zacisnął na balustradzie. Pozwolił głowie bezwładnie opaść ku rzece. Być może wiedział, że zaraz przyjdzie sen. Wystarczy, że zamknie oczy, a potem pozwoli myślom swobodnie opływać mózg".

Scena ta – przedstawiona w sugestywny sposób w książce Pawła Goźlińskiego „Akan" – rozegrała się 17 maja 1918 r. w Paryżu. Mężczyzną, który rzucił się do Sekwany, był 52-letni Polak. Nazywał się Bronisław Piłsudski i był bratem polskiego brygadiera, dowódcy Legionów. Bronisław nie był jednak tylko bratem słynnego człowieka. Jego biografia była nie mniej pasjonująca.

Jako młody człowiek – tak jak Józef – zaangażował się w działalność socjalistyczną. Był zamieszany w spisek na życie cara Aleksandra III (brał w nim udział również brat Lenina), za co aresztowała go rosyjska policja. Został skazany na karę śmierci, którą zamieniono na 15 lat zesłania na dalekim wschodzie. Trafił na Sachalin. I tu zaczyna się najciekawsza część tej opowieści. Piłsudski zaprzyjaźnił się bowiem z tamtejszym, bardzo słabo znanym Europejczykom, ludem Ajnów.

Plemię to zafascynowało go i Bronisław przez wiele lat badał jego kulturę, język i obyczaje. Ożenił się nawet z miejscową kobietą, a jego potomkowie do dzisiaj mieszkają w Japonii. W 1906 r. Piłsudski zdecydował się na powrót do Europy. Jego samobójcza śmierć do dzisiaj owiana jest mgłą tajemnicy. Tę naprawdę niesamowitą, a nadal mało znaną biografię Paweł Goźliński zdecydował się przedstawić w formie powieści. Powieści opartej na dziennikach Bronisława, jego listach i innych dokumentach. A więc – wiernie oddającej prawdziwy przebieg wydarzeń.

Z reguły nie jestem zwolennikiem takich eksperymentów, ale tym razem – zagrało. W efekcie dowiedziałem się mnóstwa ciekawych rzeczy o bracie Józefa Piłsudskiego, a przy okazji przekonałem się, że gatunek literacki, jakim jest powieść historyczna, nie jest wcale martwy. Wprost przeciwnie, ma się świetnie. ©℗

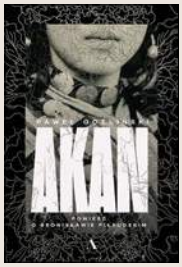

★★★★★★

PAWEŁ GOŹLIŃSKI „AKAN" AGORA 2019

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Biskup Jan Muskata

Najważniejszym przeciwnikiem Łokietka w czasach walk o Kraków był miejscowy biskup, Jan Muskata. Dostojnik pochodził z Wrocławia, jego ojciec był zamożnym kupcem handlującym przyprawami. Podobno od nazwy jednej z nich (gałki muszkatołowej) wziął się jego przydomek, złośliwi zaś uważali, że swoje przezwisko biskup zawdzięczał wyjątkowemu upodobaniu do jednego z gatunków win (Muscat).

Muskata studiował we Włoszech, co zapewniło mu dobry początek kariery. Był gorliwym zwolennikiem króla czeskiego (a później także polskiego) Wacława II i dzięki jego poparciu objął stanowisko biskupa krakowskiego. Król mianował go również starostą w Małopolsce, dzięki czemu Muskata stał się najpotężniejszym człowiekiem w Polsce. 20 czerwca 1295 r. otrzymał też przywilej pozwalający mu obwarować biskupie miasta: Kielce, Sławków, Iłżę i Tarczek.

Hierarcha dbał o umocnienie pozycji biskupów krakowskich, a jego głównym celem była budowa księstwa kościelnego niezależnego od władzy świeckiej. Był świetnym organizatorem i zarządcą, ale fatalnym duszpasterzem. Zaniedbywał swoje obowiązki, opuszczał nabożeństwa, łamał przykazania. Podczas walk z Łokietkiem oddziały biskupa dopuszczały się gwałtów i rabunków, nie oszczędzając kościołów i klasztorów popierających piastowskiego księcia. Podobno spalono aż 37 świątyń, a sam biskup wskazywał na topór jako najlepszy klucz do otwierania kościołów!

Łokietek i Muskata nie znosili się z całego serca, a biskup po wygaśnięciu Przemyślidów popierał Luksemburgów, chcących objąć władzę w Polsce. Pomimo zawarcia ugody z Łokietkiem szybko doszło do konfliktu i dostojnik wyjechał z Krakowa. W tej sytuacji książę zaprosił go na rozmowy do stolicy, obiecując nietykalność osobistą. Muskata uwierzył i wylądował w lochu. Łokietek nie przejmował się danym słowem i uważał, że uwięziony biskup będzie bardziej powolny w negocjacjach. Faktycznie miał rację, wypuścił Muskatę dopiero po pół roku i nie przejmował się specjalnie groźnymi reakcjami papiestwa. Mógł sobie na to pozwolić, arcybiskup gnieźnieński Jakub Świnka wytoczył bowiem Muskacie proces kanoniczny, zawieszając go w obowiązkach, do czego dorzucił jeszcze ekskomunikę. W efekcie biskup spędził kilka lat na wygnaniu, a jego powrót do Krakowa był dowodem zwycięstwa Łokietka. Muskata już w ogóle nie angażował się w politykę, ale musiał wziąć udział w królewskiej koronacji swojego wroga, co było dla niego ogromnym upokorzeniem. Zmarł dwa tygodnie później. ©℗

eprasa.pl 7463047971

Marcin Szczudło, Wiceprezes PGNiG Obrót Detaliczny odpowiedzialny za obszar CNG/LNG

PGNiG Obrót Detaliczny z największym kontraktem w historii spółki na dostawy LNG

Skroplony gaz ziemny, czyli LNG, sprowadzany do Polski dzięki Terminalowi im. Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu szybko zyskuje popularność wśród producentów i firm przemysłowych działających na terenie Polski. Potwierdza to rekordowa umowa PGNiG Obrót Detaliczny na dostawy blisko 19 tysięcy ton tego ekologicznego paliwa na potrzeby fabryki LG pod Wrocławiem. To kolejny ważny kontrakt dla największego polskiego detalicznego sprzedawcy gazu ziemnego.

Gaz dostarczany do Świnoujścia trafia w większości do polskiej sieci gazowniczej. Część jednak, nadal w postaci skroplonej, jest dystrybuowana za pomocą kriogenicznych zbiorników i cystern. Ten sposób dostarczania gazu cieszy się coraz większym zainteresowaniem przedsiębiorców, którzy potrzebują ekologicznych i elastycznych rozwiązań. Dowodem tego zainteresowania jest kontrakt z LG Electronics – jeden z największych tego typu w historii Grupy PGNiG – podkreśla Jerzy Kwieciński, Prezes Zarządu PGNiG SA.

Inwestycja koreańskiej firmy LG Chem to największa tego rodzaju fabryka w Europie, a odbiorcami produkowanych tam baterii do samochodów elektrycznych, mają być czołowe koncerny motoryzacyjne. Jej znaczenie dla gospodarki podkreślał już w 2017 r. ówczesny wicepremier, a obecnie premier Mateusz Morawiecki podczas wręczania koreańskiej firmie zezwolenia na prowadzenie działalności. W marcu br. LG Chem Wrocław Energy otrzymała z kolei kredyt w wysokości 480 mln euro na kontynuację budowy od Europejskiego Banku Inwestycyjnego.

Gaz LNG, który jest transportowany specjalnymi cysternami, jest w nich utrzymywany w temperaturze około -162°C. Po dotarciu na miejsce dostawy, skroplony gaz ziemny LNG trafia do stacji regazyfikacji, która umożliwia zmianę stanu skupienia z ciekłego na gazowy. W ramach tego procesu paliwo zwiększa swoją objętość ponad 600-krotnie.

– Oprócz niewątpliwych zalet skroplonego gazu ziemnego, ten kontrakt to również efekt naszej skuteczności sprzedażowej. Dość powiedzieć, że wolumen dostaw przewidzianych dla LG, jest ponad dwukrotnie wyższy niż w przypadku naszej poprzedniej największej umowy, podpisanej w ubiegłym roku z firmą, działającą w branży chemicznej – podkreśla Henryk Mucha, Prezes Zarządu PGNiG Obrót Detaliczny.

- W ramach umowy z LG Electronics Wrocław, PGNiG Obrót Detaliczny do 2025 roku dostarczy łącznie blisko 19 tysięcy ton skroplonego gazu ziemnego. To największa umowa sprzedaży LNG w historii Spółki – podkreśla Marcin Szczudło, Wiceprezes PGNiG Obrót Detaliczny odpowiedzialny za obszar CNG/LNG.

Nic dziwnego, że LG Electronics Wrocław zdecydowało się na wybór tego ekologicznego paliwa do zasilenia swojej fabryki w Biskupicach Podgórnych w województwie dolnośląskim. Paliwo LNG docelowo zasili stację regazyfikacji, którą PGNiG wybuduje przy zakładzie produkcyjnym LG. Zgodnie z planem ma ona zostać uruchomiona na początku grudnia 2020 roku. Do tego czasu dostawy LNG będą realizowane do tymczasowej instalacji mobilnej.

– Uruchomienie już teraz w pełni sprawnej mobilnej instalacji regazyfikacji, to odpowiedź na potrzeby naszego klienta. Dzięki temu możemy niezwłocznie rozpocząć dostawy paliwa niezbędne do zasilania procesów produkcyjnych. Cieszymy się, że ekologiczny gaz ziemny zyskuje popularność w Polsce. Co ważne, dotyczy to nie tylko przemysłu, ale również transportu – dodaje Marcin Szczudło.

Skroplony gaz ziemny może być również wykorzystywany do napędzania pojazdów, podobnie jak bardzo popularny w Polsce gaz LPG. Dotyczy to jednak przede wszystkim ciężkiego transportu kołowego, gdzie stanowi najlepszą, ekologiczną alternatywę dla dominującego w tym segmencie oleju napędowego, ponieważ oznacza między innymi 10-krotnie mniejszą emisję cząstek stałych niż w przypadku ON. Może on również służyć do napędzania autobusów, tak jak w Warszawie, gdzie paliwo LNG zasila 35 tego typu pojazdów.

Innym, zyskującym rosnącą popularność w Polsce, paliwem gazowym jest CNG, czyli sprężony gaz ziemny. Znajduje on coraz szersze zastosowanie w transporcie publicznym i usługach komunalnych. Według szacunków PGNiG w najbliższym czasie po polskich drogach będzie jeździć łącznie ponad 620 autobusów gazowych zasilanych tym ekologicznym paliwem. Oznacza to wzrost liczby tego typu pojazdów o 75% względem roku 2016. Równolegle liczba pojazdów komunalnych zasilanych CNG wzrosła w Polsce od 2016 roku o ponad 130%!

eprasa.pl 7463047971

Z Niemiec do Fortu Trump?

Jacek Przybylski

W ciągu najbliższych miesięcy, raczej już po listopadowych wyborach w USA, do Polski może trafić część amerykańskich żołnierzy z baz w Niemczech. Warszawa konsekwentnie zabiega też o przerzucenie nad Wisłę części arsenału jądrowego, starając się jednak nie rozdrażnić przy tym europejskich sojuszników i nie osłabiać pozycji Berlina

Baza lotnicza w Ramstein (największa baza amerykańskich wojsk poza terytorium USA), centrum dowodzenia operacjami w Europie i w Afryce (EUCOM) w okolicach Stuttgartu, szpital wojskowy nieopodal Landstuhl oraz wielki poligon w Bawarii. To tylko niektóre strategiczne obiekty, z których Amerykanie korzystają na terenie Niemiec. Na stałe u zachodniego sąsiada Polski stacjonuje 34,5 tys. żołnierzy oraz 17 tys. pracowników cywilnych wojska.

eprasa.pl 7463047971

FOT. U.S. AIR FORCE/ZUMA PRESS/FORUM

To i tak nie tak wiele w porównaniu z liczbą Amerykanów, którzy stacjonowali nad Renem u schyłku zimnej wojny. W 1990 r., gdy Niemcy były jeszcze krajem frontowym, było ich ponad 200 tys.

Niemcy pozostają jednak drugim krajem na świecie z największym amerykańskim kontyngentem wojskowym. Pierwszym jest Japonia, której Trump również jeszcze w kampanii przedwyborczej groził wycofaniem wojsk, jeśli nie zacznie płacić Ameryce za ochronę. Obecnie w Japonii w ponad 20 amerykańskich bazach stacjonuje ok. 50 tys. amerykańskich żołnierzy. Zamknięcie amerykańskiego parasola wojskowego nad Japonią wydaje się jednak mało realne, gdyż wzmocniłoby jedynie takie kraje jak Chiny czy Korea Północna. Inaczej jest z Niemcami.

KARA DLA MERKEL?

Według informacji dziennikarzy „Wall Street Journal", „Der Spiegel" oraz Agencji Reutera prezydent Donald Trump stracił wiarę, że Berlin zwiększy wydatki na obronność, i wydał niedawno polecenie wycofania z Niemiec 27,5 proc. kontyngentu, czyli 9,5 tys. wojskowych. Odpowiedni dokument miał już nawet podpisać prezydencki doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Robert O'Brien. Według Reutersa część wycofywanych z Niemiec amerykańskich żołnierzy wróci do baz na terenie Stanów Zjednoczonych, a część ma być na stałe skierowana do innych krajów sojuszniczych, w tym do Polski.

Z informacji „Wall Street Journal" wynika, że dyskusje dotyczące wycofania wojsk z Niemiec trwały w amerykańskiej administracji od września 2019 r. Do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy" wiadomość dotycząca liczby amerykańskich oddziałów, które opuszczą Niemcy, nie została potwierdzona. O planach prezydenta nie zostały jeszcze nawet oficjalnie poinformowane władze Niemiec, a nawet Pentagon czy amerykański Kongres. I choć niektórzy eksperci wątpią, aby polecenie Trumpa udało się rzeczywiście zrealizować przed listopadowymi wyborami prezydenckimi w USA, to dla wielu taka decyzja nie byłaby zaskoczeniem. Obecna administracja w Waszyngtonie nie pierwszy raz wysyła podobne sygnały. O gotowości do realizacji takiego scenariusza już w sierpniu 2019 r. ostrzegał niemieckie władze ambasador USA w Berlinie.

Oficjalnie takie działania mają być konsekwencją zbyt małych w ocenie Białego Domu wydatków na obronność – Niemcy przeznaczają na ten cel zaledwie 1,3 proc. PKB, choć oficjalnie podczas szczytu NATO w Walii w 2014 r. kraje sojuszu umówiły się, że będzie to minimum 2 proc. PKB.

– Liczni prezydenci prosili największą gospodarkę Europy, by płaciła za własną obronę. Jest to prośba, która ciągnęła się przez lata i wiele rządów – podkreślał ambasador Richard Grenell.

Amerykanie mają dość ponoszenia większości wydatków na obronność sojuszu północnoatlantyckiego. „W przeciwieństwie do Niemiec Polska wypełnia zobowiązanie do wydatkowania 2 proc. PKB na rzecz NATO. Chętnie byśmy powitali w Polsce amerykańskich żołnierzy stacjonujących w Niemczech" – zauważyła jesienią ubiegłego roku na Twitterze ambasador USA w Warszawie Georgette Mosbacher.

Pandemia koronawirusa i związane z nią wydatki Niemiec i Francji na ratowanie gospodarek krajów strefy euro jeszcze mocniej ograniczyły szanse na to, by władze w Berlinie chętnie zwiększały swoje wydatki na obronność. Jakby tego było mało, niemiecki rząd zdecydował niedawno o odmrożeniu Maximatora – szpiegowskiego paktu, który powstał, gdy w drugiej połowie lat 70. XX w. do monachijskiego baru weszli Niemiec, Duńczyk, Szwed i Holender (w 1985 r. do tego grona dołączyła też Francja). Pakt ten formalizował ścisłą współpracę wywiadowczą wspomnianych krajów i jest przez Amerykanów postrzegany jako konkurencja dla Sojuszu Pięciorga Oczu, czyli teoretycznie tajnego porozumienia wywiadowczego USA, Wielkiej Brytanii, Kanady, Australii oraz Nowej Zelandii.

Najnowsza decyzja Donalda Trumpa – który jeszcze podczas swej poprzedniej kampanii przedwyborczej mówił, że NATO jest przestarzałe – ma też bez wątpienia związek z tym, że stosunki między przywódcami Niemiec i Stanów Zjednoczonych są najbardziej napięte od zakończenia drugiej wojny światowej. Niektóre media spekulują, że przywódca Ameryki ostateczną decyzję o znaczącym ograniczeniu liczby oddziałów na terenie Niemiec podjął stosunkowo nagle i bez konsultacji z Berlinem, urażony faktem, że kanclerz Angela Merkel nie chciała przylecieć na spotkanie liderów państw G7, które Biały Dom chciał zorganizować w czerwcu obecnego roku. Dwudziestominutowa rozmowa telefoniczna Trumpa i Merkel – którzy od dawna za sobą nie przepadają – przebiegała ponoć w wyjątkowo chłodnej atmosferze.

MILIARDY NA WSPÓLNĄ BAZĘ

Czy odmowa kanclerz Niemiec na zaproszenie przywódcy Ameryki rzeczywiście mogła przesądzić o losie wojsk USA? Nie wiadomo. Nie wiadomo również, ilu z wycofanych z Niemiec żołnierzy ma wrócić do USA, a ilu mogłoby trafić do baz w Europie Środkowo-Wschodniej. Od zeszłego roku spekuluje się, że do Polski

eprasa.pl 7463047971

mogłoby trafić dodatkowo od tysiąca do kilku tysięcy żołnierzy.

– Mam nadzieję, że część żołnierzy amerykańskich wycofywanych z Niemiec trafi do Polski, będzie to wzmocnienie wschodniej flanki NATO, trwają rozmowy, rezultat zostanie podany do publicznej wiadomości za jakiś czas – tak doniesienia amerykańskich mediów komentował w Radiu RMF FM premier Mateusz Morawiecki. W zabiegach o dodatkowe amerykańskie oddziały władze w Warszawie sprytnie wykorzystują ego prezydenta USA. Nie bez powodu, gdy Andrzej Duda rozmawiał w Waszyngtonie z Donaldem Trumpem, zabiegając o zwiększenie amerykańskiej obecności wojskowej i budowę pierwszej wspólnej bazy, zaproponował nazwę „Fort Trump". Obecny gospodarz Białego Domu słynie bowiem z tego, że uwielbia nazywać budynki (i nie tylko) swoim nazwiskiem: z tego powodu np. 202-metrowy wieżowiec przy prestiżowej nowojorskiej Piątej Alei nosi nazwę Trump Tower, a nazwisko miliardera noszą również hotele, kasyna, prywatne pola golfowe oraz kompleksy mieszkaniowe w wielu miastach Ameryki.

Przedstawiciele polskich władz w rozmowach z Amerykanami podkreślają również, że obecność armii USA jest istotna także po to, aby chronić amerykańskie interesy. A to kolejny argument, który tak doświadczony przedsiębiorca jak Donald Trump doskonale rozumie. Zwłaszcza że Polska jest gotowa wyłożyć na taką inwestycję miliardy dolarów. Kłopot w tym, że Warszawa planowała wydać na Fort Trump nie więcej niż 2 mld dol., a to zdaniem Waszyngtonu za mało. Gigantyczne inwestycje w infrastrukturę byłyby konieczne zwłaszcza, jeśli Polska chciałaby przejąć nie tylko jednostki wsparcia, lecz także którąś ze strategicznych jednostek bojowych, istotnie zwiększającą potencjał obronny w razie ewentualnego konfliktu zbrojnego. A jest co przejmować. W Niemczech stacjonują m.in. eskadra F-16, batalion wyrzutni Patriot oraz 2. Pułk Kawalerii US Army (żołnierze ci brali już udział w manewrach w Polsce). Brak odpowiedniej infrastruktury sprawiłby z kolei, że do Polski trafić by mogły co najwyżej jednostki logistyczne lub sztaby dowodzenia.

Spór między Warszawą a Waszyngtonem dotyczy nie tylko pieniędzy, ale też lokalizacji ewentualnej stałej bazy. Polsce zależy, by była ona jak najbliżej granicy z Rosją. Obecnie bowiem amerykańskie wojska stacjonują głównie bliżej granicy polsko-niemieckiej: np. w Żaganiu, Świętoszowie, Bolesławcu czy w Skwierzynie. Polacy zaproponowali sześć możliwych lokalizacji, ale USA wolałyby zbytnio nie drażnić Moskwy.

Między innymi na te dwie kwestie: wysokości inwestycji oraz lokalizacji zwróciła uwagę Agencja Reutera, informując w czwartek, że projekt budowy Fort Trump jednak upadł. Tę wiadomość błyskawicznie zdementowała jednak ambasador USA w Warszawie. „Negocjacje idą zgodnie z planem! Ich efekty będą jeszcze bardziej imponujące niż pierwotna wizja Prezydenta" – napisała na Twitterze Georgette Mosbacher.

GNIEW BERLINA I MOSKWY

Z nieoficjalnych informacji „Do Rzeczy" wynika, że rząd w Warszawie nie tylko kusi prezydenta USA budową Fortu Trumpa, lecz także od wielu miesięcy zabiega o to, aby to do Polski trafiła część arsenału jądrowego. Zabiegom tym sprzyja m.in. wspomniana ambasador Mosbacher.

Problem polega na tym, że do operacji przerzucenia amerykańskich oddziałów do Polski nie wystarczy przekonać tylko Amerykanów, lecz także naszych sojuszników w NATO, a to już zadanie o wiele bardziej skomplikowane. Władze w Berlinie nie odczytują decyzji o zmniejszeniu liczby wojsk w Niemczech jako sposobu na wzmocnienie flanki wschodniej sojuszu, lecz jako działanie Waszyngtonu wymierzone w niemiecki rząd. Wycofanie jednej czwartej personelu wojskowego uderzy bowiem ekonomicznie w niektóre regiony Niemiec, w których tysiące miejsc pracy zależą właśnie od amerykańskiej obecności.

Warszawa chciałaby więc mieć więcej żołnierzy USA, ale nie kosztem Berlina. Poważny konflikt polityczny między dwoma ważnymi graczami w NATO byłby bowiem na rękę głównemu wrogowi sojuszu północnoatlantyckiego: Władimirowi Putinowi. Wszelkie rozłamy wśród sojuszników osłabiają bowiem zdolności obronne NATO. Moskwa tradycyjnie będzie też interpretować jako wrogie i antyrosyjskie wszelkie ruchy amerykańskich wojsk w Europie Środkowo--Wschodniej.

Kreml nerwowo reagował już na wybieg polegający na tym, że aby nie budować w Polsce i krajach bałtyckich stałych baz wojsk NATO, wprowadzono zasadę stałej, lecz rotacyjnej obecności wojsk amerykańskich. Część polityków z zachodniej Europy nie chce niepotrzebnie drażnić Rosji zmianą tej formuły. Polityk partii Zielonych Jürgen Trittin ostrzega, że decyzja o stałym rozlokowaniu wojsk USA w Polsce naruszy postanowienia wciąż obowiązującego Aktu Założycielskiego NATO-Rosja z 1997 r.

Może to być jednak błędna interpretacja lub wygodna wymówka. Dokument ten nie zakazuje bowiem wprost „stałego stacjonowania żołnierzy NATO w krajach Europy Środkowej i Wschodniej". W zawartym ponad dwie dekady temu dokumencie czytamy jedynie, iż „NATO podkreśla, że w obecnych i dających się przewidzieć warunkach bezpieczeństwa Sojusz będzie realizował swoją misję kolektywnego bezpieczeństwa i inne zadania raczej poprzez zapewnienie niezbędnej kompatybilności operacyjnej, integracji i możliwości wzmocnienia niż przez zwiększanie liczebności sił zbrojnych stacjonujących permanentnie […]. Rosja zastosuje podobne ograniczenia, jeżeli chodzi o rozmieszczenie swoich sił konwencjonalnych w Europie". Pod koniec XX w. „w dających się przewidzieć warunkach" nie mieściły się rosyjska agresja na Gruzję oraz Ukrainę, ciągłe zwiększanie ilości wojsk w Kaliningradzie, pozorowanie ataku nuklearnego na cele w Szwecji etc. Tak radykalna zmiana warunków bezpieczeństwa jest wystarczającym usprawiedliwieniem do umieszczenia stałych baz na terytorium Europy Środkowo-Wschodniej.

Dyplomatyczny tor przeszkód wymaga od władz w Warszawie dużej sprawności. Z punktu widzenia Polski poparcie sojuszników na Starym Kontynencie powinno być równie ważne jak wsparcie ze strony Ameryki, w której wystarczy przecież zmiana na stanowisku prezydenta, by doszło do ważnych zmian w podejściu do starych i nowych sojuszników oraz starych i nowych wrogów. Nawet reelekcja Trumpa nie wyklucza też całkowicie potencjalnie groźnych scenariuszy, takich jak choćby ogłoszenie, że Ameryka opuszcza NATO (to obecnie stosunkowo mało realne) lub np. likwiduje bazy w Niemczech w ramach antychińskiego sojuszu z Rosją (to niestety bardziej realistyczny scenariusz, który dla Polski mógłby być fatalny w skutkach). Ważne więc, aby zabiegając o zacieśnianie współpracy z USA i ściągając na nasze terytorium kolejne oddziały US Army, dbać też o dobre relacje z najbliższymi unijnymi sojusznikami, które – w kontekście brexitu – stały się jeszcze bardziej istotne. Najważniejsze jest jednak rozwijanie własnych sił zbrojnych. Jako kraj frontowy powinniśmy jak najwięcej inwestować w podnoszenie zdolności obronnych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7463047971

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Jacek Bartosiak o geopolitycznej ekspansji Moskwy!

Piotr Zychowicz – **Z Wehrmachtu do Andersa**
Ryszard Kaczmarek – **Polacy w armii Hitlera**
Tomasz Stańczyk – **Morderstwo krakowskiego mecenasa**
Sławomir Cenckiewicz – **Realiści kontra romantycy**
James Willey – **Lubieżne kochanki nazistów**
Tomasz Kornaś – **Nagonka na Józefa Mackiewicza**
Marian Zacharski – **Polacy w sieci Abwehry**
Nikołaj Iwanow – **Dlaczego Stalin pokonał Hitlera**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 7463047971

Zamach na włoską demokrację

Olivier Bault

Wyciekły wiadomości wymieniane przez włoskich prokuratorów i sędziów. Wynika z nich, że mogli wykorzystywać stanowiska do prowadzenia polityki i uderzania w lidera opozycji

Z rozmów ludzi wymiaru sprawiedliwości wynika, że forsując zarzuty wobec Matteo Salviniego, wiedzieli, iż od strony prawnej nie można mu niczego zarzucić

FOT. FABIO FRUSTACI/EPA/PAP

Sądownictwo we Włoszech kieruje się zasadą niezależności od władzy ustawodawczej i wykonawczej, a na straży tej niezależności stoi naczelna rada sądownictwa (Consiglio Superiore della Magistratura, CSM), odpowiednik polskiej KRS. Składa się ona z 27 członków, spośród których 16 to sędziowie i prokuratorzy. Wybierani są we własnym gronie, a w wyborach tych ścierają się różne „prądy", którym przypisuje się barwy polityczne. Ośmiu członków CSM jest wybieranych przez parlament, a reszta to trzej członkowie z urzędu: prezydent Republiki Włoskiej, który jest zarazem przewodniczącym CSM, I prezes Sądu Kasacyjnego i prokurator generalny. Tak więc włoska naczelna rada sądownictwa przypomina starą polską Krajową Radę Sądownictwa, kiedy większość jej członków było wybieranych przez środowisko sędziowskie.

Niestety, jak się o tym przekonali Włosi w ostatnich tygodniach, taka organizacja sądownictwa może stanowić zagrożenie dla demokracji i praworządności. Sam prezydent Sergio Mattarella musiał w końcu, ponad tydzień po wybuchu skandalu, wypowiedzieć się na temat ujawnionych powiązań politycznych prokuratorów i sędziów. Uczynił to 29 maja, mówiąc o swoim „poważnym zaniepokojeniu" w obliczu wydarzeń, nazywając zaistniałą sytuację „degeneracją systemu »prądów« i niedopuszczalnym splotem relacji między politykami a urzędnikami sądownictwa". Zdaniem prezydenta Włoch sytuacja wymaga pilnej reformy naczelnej rady sądownictwa. Skandal jest na tyle duży, że przewodniczący krajowego stowarzyszenia sędziów i prokuratorów (ANM), skupiającego ogromną większość włoskich sędziów i prokuratorów, musiał podać się do dymisji wraz z sekretarzem generalnym organizacji.

POLITYKA NA CZACIE

21 maja włoski dziennik „La Verità" ujawnił treść rozmów prowadzonych za pomocą internetowego komunikatora i SMS-ów przez prokuratora Luca Palamarę, byłego przewodniczącego ANM. W ten sposób dziennikarze udowodnili to, o czym prawica mówi od dawna, a co lewica zwykle neguje: sądownictwo we Włoszech cierpi na duży przechył lewicowy i jako takie bywa wykorzystywane przez lewicę do walki politycznej z prawicą i jej postulatami. Już na początku pierwszej dekady XXI w. centroprawicowy premier Silvio Berlusconi, gdy sam był obiektem kilku śledztw i procesów dotyczących jego prywatnych interesów, atakował w swoich przemówieniach „czerwone togi", które oskarżał o polityczną nagonkę. Jak ujawniła „La Verità", w 2018 r. na celowniku „czerwonych tog" znalazł się lider prawicowej Ligi Matteo Salvini, który był wówczas świeżo upieczonym ministrem spraw wewnętrznych i wicepremierem pierwszego rządu Giuseppe Contego. Co gorsza, w polityczną nagonkę na ministra był zamieszany sam wiceprzewodniczący naczelnej rady sądownictwa, który dostał się do CSM w 2014 r. prosto z lewicowego rządu Matteo Renziego. Mowa o Giovannim Legninim. Jest to były działacz włoskiej partii komunistycznej, a do 2014 r.

eprasa.pl 7463047971

czynny polityk centrolewicowej Partii Demokratycznej (PD).

Jak wynika z ujawnionych czatów, Palamara i Legnini rozmawiali z prokuratorami i sędziami, naciskając na nich, aby oskarżyli i osądzili wicepremiera Salviniego za jego zakaz wypuszczenia nielegalnych imigrantów na ląd, choć mieli świadomość, iż wicepremier działa zgodnie z prawem. W jednej takiej sprawie proces Salviniego miał rozpocząć się 4 lipca przed tzw. trybunałem ministrów. Po wybuchu skandalu pierwszą rozprawę odroczono na październik, oficjalnie z powodu panującej sytuacji epidemicznej.

STATKI I IMIGRANCI

Gdyby zarządzano dziś wybory, Salvini miałby wszelkie szanse zostać nowym premierem Włoch, stojącym na czele prawicowej koalicji skupiającej jego własną Ligę, centroprawicową partię Forza Italia (FI) Silvio Berlusconiego oraz narodowców z partii Fratelli d'Italia (FI) pod wodzą Giorgii Meloni. Tymczasem w wytoczonej przeciw niemu sprawie grozi mu wyrok do 15 lat więzienia oraz od sześciu do ośmiu lat pozbawienia czynnych praw wyborczych. Prokuratorzy, którzy próbowali go początkowo oskarżać o bezprawne pozbawienie imigrantów wolności, przyznawali w wymianie wiadomości, że Salvini miał prawo po swojej stronie.

Rozmowy Palamary na WhatsApp oraz SMS-owe z 2018 r., które upublicznili dziennikarze, trafiły w ręce prokuratury w Perugii. Ta prowadzi wobec Palamary śledztwo w sprawie korupcji i kumoterstwa dotyczące okresu, gdy był on członkiem naczelnej rady sądownictwa (do CSM wszedł w 2014 r.).

Wymiana wiadomości dotyczy sprawy statku włoskiej straży przybrzeżnej „Diciotti". W sierpniu 2018 r. minister Salvini zakazał wypuszczenia z niego na ląd w sycylijskim porcie Katania 137 nielegalnych imigrantów. Salvini dopiero po pięciu dniach pozwolił imigrantom zejść na ląd (po otrzymaniu jasnych obietnic ich przyjęcia ze strony innych krajów europejskich i Kościoła we Włoszech). Za namową lokalnej prokuratury i po otrzymaniu w październiku 2018 r. akt sprawy od trybunału ministrów w Palermo trybunał ministrów miasta Katanii zwrócił się do włoskiego Senatu o odebranie Salviniemu immunitetu, aby móc osądzić go w tej sprawie. Trybunał ministrów to we Włoszech specjalny wydział sądów powszechnych, zajmujący się przestępstwami popełnionymi przez członków rządu. W tej konkretnej sprawie Senat odrzucił w marcu 2019 r. możliwość osądzenia szefa Ligi, gdyż wciąż trwała koalicja Ligi z M5S. Inaczej stało się, gdy Senat głosował w sprawie pozbawienia Salviniego immunitetu w lutym tego roku. Będąc wtedy już w koalicji z Partią Demokratyczną, ten sam M5S głosował odwrotnie w bardzo podobnej sprawie statku „Gregoretti" (to również statek włoskiej straży przybrzeżnej z nielegalnymi imigrantami na pokładzie, którym pod koniec lipca 2019 r. ówczesny minister spraw wewnętrznych zabraniał przez kilka dni zejścia na ląd).

Gdyby teraz zarządzono wybory, Salvini miałby szansę zostać premierem. Tymczasem grozi mu pozbawienie czynnych praw wyborczych

„TRZEBA ATAKOWAĆ"

W sprawie „Diciotti" postępowanie o nielegalne zatrzymanie imigrantów otworzył jako pierwszy Luigi Patronaggio, prokurator miasta Agrigento na Sycylii, który na własną rękę przeprowadził inspekcję na pokładzie statku 22 sierpnia 2018 r. Dwa dni później Patronaggio odebrał SMS-a od członka CSM Luca Palamary: „Drogi Luigi, Legnini zadzwoni również do ciebie, wszyscy jesteśmy z tobą". Nazajutrz po tej wiadomości sycylijski prokurator oficjalnie wszczął śledztwo dotyczące ówczesnego ministra spraw wewnętrznych.

W innej wymianie wiadomości – z 25 sierpnia 2018 r. – na temat sprawy „Diciotti" Palamara otrzymał sceptyczną opinię prokuratora miasta Viterbo Paola Auriemmy: „Muszę z przykrością powiedzieć, że nie bardzo widzę, w czym Salvini popełnia błąd. Ktoś próbuje nielegalnie wejść na teren Włoch i minister spraw wewnętrznych interweniuje, aby temu zapobiec. I nie rozumiem, co ma do tego prokuratura w Agrigento". Palamara, który zapewniał wcześniej prokuratora w Agrigento o poparciu z jego strony i ze strony wiceprzewodniczącego naczelnej rady sądownictwa, odpisał na to: „Masz rację, ale trzeba go teraz atakować".

Z innej wymiany wiadomości między wiceszefem CSM a Palamarą (z 24 sierpnia 2018 r.) wynika, że Legnini – który do 2014 r. i od 2018 r., po zakończeniu kadencji w CSM, był czynnym politykiem Partii Demokratycznej – uzgadniał z innymi członkami naczelnej rady sądownictwa CSM i stowarzyszenia włoskich sędziów i prokuratorów ANM strategię ataku na Salviniego, wykorzystując sprawę statku „Diciotti".

W ostatnich dniach sierpnia 2018 r., gdy trybunał ministrów w Palermo zajmował się tą sprawą, Palamara kontaktował się z sędzią Fabiem Pilato. Oto fragment tej rozmowy ujawnionej przez „La Verità":

Pilato: „Zgadnij, kto jest przewodniczącym trybunału ministrów w Palermo".

Palamara: „Kto?"

Pilato: „Ja".

Palamara: „Genialnie!"

W dniu pierwszej publikacji „La Verità" – 21 maja – senator Matteo Salvini napisał do prezydenta Republiki Włoskiej Sergia Mattarelli, pochodzącego podobnie jak Legnini z Partii Demokratycznej, wyrażając zaniepokojenie zachowaniem czołowych członków CSM i ANM, które stanowi jego zdaniem wyraźne pogwałcenie zasady trójpodziału władzy. Odnosząc się do procesu, który go czeka w sprawie „Gregoretti", Salvini prosił także prezydenta Włoch o interwencję, aby zapewnić mu sprawiedliwy proces i bezstronny sąd.

Sprawa ta została podniesiona pod koniec maja w Parlamencie Europejskim, a ściślej w Komisji Wolności Obywatelskich, Sprawiedliwości i Spraw Wewnętrznych (tzw. Komisji LIBE) przy okazji prezentacji krytycznego raportu na temat Polski w ostatnim tygodniu maja. Francuski członek tejże Komisji Nicolas Bay, należący do frakcji Tożsamość i Demokracja, w której zasiadają także eurodeputowani Ligi, wspomniał o skandalu związanym z nadużyciami włoskich prokuratorów i sędziów i zapytał, dlaczego Parlament Europejski interesuje się ciągle tylko Polską i Węgrami. Następnie, w liście do przewodniczącego Komisji LIBE, który jest także sprawozdawcą w sprawie Polski, Bay zażądał debaty na temat instrumentalizacji wymiaru sprawiedliwości we Włoszech przez obecną koalicję rządzącą, jako że stanowi ona zagrożenie dla praworządności państwa członkowskiego Unii i godzi w prawa podstawowe ważnego lidera politycznego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7463047971

Karmazynowy

Piotr Włoczyk

Powietrze ciężkie od dwutlenku siarki, karmazynowe rzeki oleju napędowego, autostrada przez radioaktywne składowisko. Najnowsza tragedia w rosyjskiej Arktyce to żaden wypadek przy pracy. Kreml od lat wlicza trucie środowiska w koszt rozwoju Rosji

Urzędnicy musieli być przerażeni, widząc na ekranach komputerów minę Władimira Putina. – Dlaczego agencje rządowe dowiedziały się o tym fakcie dopiero po dwóch dniach? Czy będziemy się dowiadywali o sytuacjach kryzysowych z mediów społecznościowych? – grzmiał rosyjski prezydent podczas wideokonferencji z urzędnikami z Norylska.

Na pierwszy ogień poszedł Wiaczesław Starostin, szef elektrowni należącej do koncernu Norylski Nikiel, największego na świecie producenta niklu i platyny. Starostin został właśnie aresztowany, grozi mu pięć lat odsiadki za pogwałcenie przepisów ochrony środowiska. Niewykluczone jednak, że nie będzie jedynym oficjelem, który zostanie wsadzony za kratki za coś, co w Rosji jest w zasadzie normą, a konsekwencje grożą tylko wtedy, kiedy żadnymi metodami nie da się ukryć katastrofy. A tej katastrofy nie sposób było zamieść pod dywan – widok karmazynowej rzeki za bardzo się rzuca w oczy.

Dramat dyrektora Starostina – i przy okazji gigantycznych połaci rosyjskiej Arktyki oraz mieszkających tam ludzi – rozpoczął się 29 maja, gdy olbrzymi zbiornik na olej napędowy nagle zaczął się przechylać. Według wstępnej oceny specjalistów powodem było topnienie wiecznej zmarzliny, co naruszyło strukturę terenu.

Jeden z pracujących w pobliżu robotników nagrał przerażający film, na którym widać, jak coraz większa rzeka diesla wylewa się ze zbiornika mieszczącego 30 tys. ton paliwa. W ciągu kilku godzin na zewnątrz wydostało się 20 tys. ton oleju napędowego (ok. 300 cystern pociągowych).

Według oficjalnej wersji wydarzeń lokalne władze zwlekały dwa dni z poinformowaniem „góry" o wycieku. Efektem tego było zbyt późne ustawienie na rzece Ambarnaja specjalnych zapór, które miały powstrzymać paliwo.

Wprawdzie Swietłana Radionowa, szefowa Rosprirodnadzoru (Federalnej Służby Nadzoru nad Zasobami Naturalnymi), przekonywała, że paliwo nie dotarło do jeziora Piasino (wypływające z niego rzeki mogą zanieść olej napędowy do Morza Karskiego), ale już Wasilij Riabinin, lokalny inspektor tego urzędu, przyznał, że nie wykonuje się w jeziorze odpowiednich testów i według niego możliwe, iż olej napędowy już zanieczyścił jezioro.

Elena Panowa, rosyjska wiceminister zasobów naturalnych i ekologii, w przypływie szczerości powiedziała, że co najmniej 10 lat zajmie lokalnemu ekosystemowi powrót do stanu sprzed katastrofy.

ARKTYCZNA PUSTYNIA

Problem w tym, że stan sprzed katastrofy był już wystarczająco katastrofalny. Norylsk to absolutna czołówka najbardziej zanieczyszczonych miejsc na świecie. Według wszelkich norm nikt nie powinien tam mieszkać, tymczasem jest to dom dla blisko 200 tys. ludzi.

Leżący 300 km na północ od koła podbiegunowego Norylsk to też jedno z najbardziej odizolowanych miejsc na świecie. Nie da się tam dotrzeć inaczej jak tylko samolotem albo statkiem. Trudno się dziwić, że mieszkańcy Norylska mówią o reszcie Rosji (tej, która jest ze sobą skomunikowana drogowo) „kontynent". A i bez rekordowego skażenia oraz odizolowania od reszty świata Norylsk to wyjątkowo nieprzyjazne miejsce do życia. Od listopada do stycznia jego mieszkańcy nie widzą słońca, a z kolei latem słońce w ogóle tam nie zachodzi. Temperatury wahają się od –60 do +30 st. C.

Norylsk został zbudowany w latach 30. przez łagierników, którzy wydobywali z ziemi bogactwa naturalne potrzebne Stalinowi do zbudowania potęgi przemysłowej ZSRS. Według ostrożnych szacunków historyków tamtejsze łagry pochłonęły ok. 250 tys. istnień ludzkich. Do dziś deszcze wypłukują tam z ziemi ludzkie kości pogrzebane w czasach stalinizmu byle jak i byle gdzie.

Norylski Nikiel to największy pracodawca w regionie. Tylko zakłady należące do NN jeszcze niedawno wyrzucały z siebie co roku nawet 2 mln ton dwutlenku siarki. Tyle tej trucizny nie emituje w ciągu roku cały francuski przemysł. Ostatnio zanieczyszczenie powietrza zostało nieco zmniejszone, ale jego jakość to wciąż koszmar. Efektem dziesięcioleci trucia na niespotykaną skalę jest apokaliptyczny krajobraz dookoła miasta, gdzie straszą tylko martwe pieńki. Wyjałowiony teren równy jest niemal powierzchni województwa opolskiego. Jeżeli wszystko to niewystarczająco odstrasza turystów, to jeszcze rosyjska bezpieka dba, by żaden nieproszony

eprasa.pl 7463047971

Władze elektrowni próbowały ukryć katastrofalne skutki rozszczelnienia zbiornika oleju napędowego

FOT. ROSYJSKA SŁUŻBA RATOWNICTWA MORSKIEGO

wypływ

zagraniczny gość nie odwiedził Norylska – potrzebna jest do tego specjalna przepustka wydawana przez FSB.

Ostatnie zdjęcia karmazynowej rzeki to w zasadzie nic nowego dla mieszkańców miasta. Cztery lata temu świat obiegły zdjęcia rzeki Daldykan, przepływającej obok Norylska, która na kilka dni zmieniła kolor na krwistoczerwony. Podejrzenia od razu padły na olbrzymi zakład NN. Początkowo władze NN upierały się, że „kolor rzeki nie różni się od jej normalnego stanu", ale po kilku dniach przyznały, że doszło do pęknięcia rurociągu.

Najnowszy wyciek oleju napędowego nasuwa też skojarzenia z katastrofą z 1994 r., która wydarzyła się w Republice Komi. Doszło tam wówczas do wycieku ropy naftowej, który okazał się osiem razy większy od katastrofy tankowca „Exxon Valdez" u wybrzeży Alaski. Sprzątanie skutków od początku prowadzone było fatalnie. Po kilku dniach doszło do przerwania prowizorycznej tamy, którą postawiły służby ratunkowe.

„Jeżeli chodzi o rurociąg, to prawda, jest sporo wycieków, ale są one teraz reperowane. To się zdarza od czasu do czasu – takie małe wycieki" – usłyszeli wówczas od wysoko postawionego urzędnika ministerstwa sytuacji nadzwyczajnych amerykańscy dziennikarze, którzy prowadzili śledztwo na temat wycieku.

STRZAŁ W PŁUCA

„Azbest – moje miasto i przeznaczenie" – tabliczka z takim oto napisem wita wjeżdżających do miasta, które niewątpliwie jest jednym z najciekawszych punktów na ekologicznej mapie Rosji. W 65-tysięcznym Asbieście, położonym 1,5 tys. km na wschód od Moskwy, od 130 lat wydobywa się – a jakżeby inaczej – azbest. To największy na świecie producent tego materiału. Przy obecnym wydobyciu wystarczy go jeszcze co najmniej na 100 lat.

„Nie mogę powiedzieć, że jest zupełnie bezpieczny. Ale można go używać w kontrolowany sposób bez stwarzania niebezpieczeństwa" – powiedział w rozmowie z dziennikarzami „The New York Times" Wiaczesław Koczelajew, szef Uralasbest, największego pracodawcy w Asbieście. Jego firma sprzedaje co roku ok. 300 tys. ton azbestu, z czego 80 proc. za granicę, głównie do Azji i Afryki. Uralasbest wydobywa surowiec z kopalni odkrywkowej, używając do tego dynamitu. Każdy strzał wznieca chmurę pyłu, która rozchodzi się po okolicy...

Według szacunków WHO z powodu chorób spowodowanych przez kontakt z azbestem każdego roku umiera ponad 100 tys. ludzi. Mimo raportu medycznego z 2016 r., który stwierdził wśród asbieścian dużo wyższy odsetek chorych na raka płuc w stosunku do reszty Rosji, mieszkańcy miasta, z którymi rozmawiali dziennikarze „NYT", dosyć zgodnie twierdzili, że obawy medyków są przesadzone, a azbest jest błogosławieństwem dla tego regionu.

„Wszystko jest niebezpieczne do pewnego stopnia. Nie ma czegoś takiego jak stuprocentowa gwarancja, że coś nie jest niebezpieczne" – powiedział dziennikarzom 88-letni Wiktor Stiepanow, emerytowany pracownik fabryki azbestu, który swój wiek podaje za najlepszy dowód na to, że azbest nie jest taki niebezpieczny.

Chociaż trudno sobie wyobrazić, by firmy takie jak Norylski Nikiel czy Uralasbest mogły działać np. w UE, to wygląda na to, że są w Rosji biznesy jeszcze mniej przyjazne środowisku.

„Ten teren to w zasadzie ekologiczna katastrofa. Musimy działać, inaczej będziemy tu mieli ekologiczny Czarnobyl" – powiedziała w lipcu zeszłego roku Swietłana Radionowa, wspomniana już wyżej szefowa Federalnej Służby Nadzoru nad Zasobami Naturalnymi. Te mało optymistyczne słowa dyrektor Rosprirodnadzoru wypowiedziała podczas wizytacji opustoszałej fabryki chemicznej firmy Usolyekhimprom w obwodzie irkuckim. Co musiała zobaczyć na miejscu, żeby straszyć dziennikarzy „ekologicznym Czarnobylem"? Radionowa mówiła, że w środku zakładu (splajtował w 2017 r.) składowane są, w skandalicznym warunkach, „ogromne" ilości m.in. rtęci, które mogą się przedostać do syberyjskich rzek. Wizytacja szefowej Rosprirodnadzoru ujawniła, że na 600 ha terenów fabrycznych składowane są najróżniejsze silnie trujące odpady, które są dla Syberii bombą zegarową.

To wszystko nie znaczy jednak, że takie historie to lokalne ekscesy, które zdarzają się tylko na prowincji. Jeszcze na początku pandemii koronawirusa mieszkańcy południowej części stolicy Rosji urządzili protest w sprawie budowy, którą ochrzczono „Drogą do Śmierci". Chodzi o drogę szybkiego ruchu, którą władze Moskwy postanowiły poprowadzić przez środek… składowiska odpadów atomowych z czasów sowieckich. Okoliczni mieszkańcy obawiają się, że prace ziemne sprawią, iż skażony materiał zostanie rozniesiony po całej okolicy.

„To mój dom. Nie chcę się stąd przeprowadzać, by uciec przed promieniowaniem jądrowym. Nie chcę się bać, że oni bezmyślnie rozkopią ten teren i pył radioaktywny wzniesie się w powietrze" – mówił reporterom Siergiej Własow, jeden z protestujących.

Mer Moskwy stara się uspokoić demonstrantów, twierdząc, że prace zostaną wykonane z zachowaniem stosownych procedur, ale mieszkańcy tej części stolicy najwidoczniej nie do końca wierzą w zapewnienia władz. Ciekawe dlaczego?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7463047971

FOT. NATALIA FEDOSENKO/TASS/GETTY IMAGES

Kapciowa rewolucja?

Karol Kaźmierczak

Bloger zmobilizował tysiące ludzi do ulicznego protestowania przeciw „karaluchowi", czyli rządzącemu Białorusią od 26 lat Aleksandrowi Łukaszence

Wideobloger, którego kilkanaście miesięcy temu nie znał jeszcze prawie nikt na Białorusi, stał się głównym rywalem Łukaszenki na wczesnym etapie kampanii przed wyborami prezydenckimi zaplanowanymi na 9 sierpnia bieżącego roku. Siergiej Cichanowicz stworzył dobrze zarabiający biznes polegający na produkcji klipów filmowych. W zeszłym roku postanowił zająć się polityką. Zaczęło się dość niewinnie, od krótkiego nagrania ukazującego wzrost cen podstawowych produktów na Białorusi w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Z biegiem czasu materiały stawały się coraz dłuższe i coraz ostrzejsze. Wśród nagrań znalazły się wywiady z najbardziej znanymi białoruskimi opozycjonistami, takimi jak Mikoła Stakiewicz czy Pawieł Siewiaryniec. Jednak w większości materiałów Cichanowicz robił politykę inną metodą. Odwiedzał mniejsze miejscowości, rozmawiał z ludźmi na temat problemów z lokalnymi urzędnikami, wymiarem sprawiedliwości, zarządami komunalnych domów mieszkalnych, dyrekcjami państwowych przedsiębiorstw. Wszystko zamieszczał na kanale YouTube o nazwie Strana dla Żyzni (Kraj do Życia) sugerującej, że pod władzą Łukaszenki Białoruś nie jest państwem, w którym żyje się łatwo i przyjemnie.

HOMO NOVUS – RUSSKIJ CZEŁOWIEK

Żadnych wielkich deklaracji o demokracji, prawach człowieka, Zachodzie. Krótkie i proste rozmowy o małych zarobkach i wysokich cenach. Po rosyjsku, w języku używanym przez zdecydowaną większość obywateli Białorusi. Sam Cichanowicz również jest rosyjskojęzyczny, pochodzi bowiem z Homla, niemal półmilionowego miasta położonego w południowo-wschodnim zakątku Białorusi, blisko granic Rosji, Ukrainy i strefy czarnobylskiej. W mieście nie działa tradycyjna białoruska opozycja, wpływy białoruskiej kultury i języka są tam minimalne. W przekazie blogera brzmią głównie nuty bolączek ekonomiczno-socjalnych mieszkańców Białorusi. Nie podejmuje kwestii kulturowo-tożsamościowych, co już wywołało niezadowolenie nestora białoruskiej opozycji, nacjonalisty Zianona Paźniaka.

Wyrośnięcie Cichanowicza, człowieka spoza kręgów tradycyjnej opozycji, dowodzi słabości tej ostatniej. Tylko pandemia koronawirusa pozwoliła działaczom pięciu prozachodnich środowisk opozycyjnych uniknąć zbyt głośnej kompromitacji. Szumnie ogłaszane w lutym, organizowane według skomplikowanej, drobiazgowo przygotowywanej proce-

eprasa.pl 7463047971

dury prawybory, mające wyłonić jednego opozycyjnego pretendenta przeciwko Łukaszence, zakończyły się spektakularną klapą z powodu sporów między kandydatami na kandydatów. Cichanowicz przebił się pomimo, a może właśnie dlatego, że używa dosadnego języka, jakiego nie używają opozycyjni politycy. Smaga Łukaszenkę, określając go od miesięcy mianem „karalucha". Tysiące ludzi to podchwyciło. Wyszli na ulice na wezwanie blogera, zabierając ze sobą broń na karaluchy właśnie... czyli kapcie, które stały się symbolem kampanii.

Dzisiaj można już stwierdzić, że Cichanowicz nadstawiał ucha i kamerę, by usłyszeć o ludzkich problemach, nie bezinteresownie. 7 maja ogłosił, że chce zostać prezydentem Białorusi. Trafił do aresztu za grudniowe wykroczenie akurat w takim terminie, by nie mógł się zarejestrować jako potencjalny kandydat, więc w ostatniej chwili zarejestrowała się jego żona Swietłana. Kampania zbierania podpisów poparcia dla jej kandydatury zmobilizowała do wyjścia na ulice nie tylko tysiące mieszkańców Mińska i Grodna, lecz także biernych do tej pory mieszkańców wschodniej Białorusi. Zbiórki podpisów przeradzają się w spontaniczne manifestacje.

CORAZ GORSZA STABILIZACJA

Nagła popularność Cichanowicza i aktywność ludzi na ulicach znacznie przerasta skądinąd niemałe talenty socjotechniczne blogera i wysoką jakość techniczną jego nagrań. Wydaje się, że frustracja w nieskorym do aktywizmu politycznego społeczeństwie Białorusi przekroczyła pewną granicę z powodów socjalno-ekonomicznych. Władza Łukaszenki przez dwie dekady była oparta na pewnym niepisanym kontrakcie – spokojne życie obywateli na czasem skromnym, ale zawsze stabilnym poziomie materialnym w zamian za swobodę rządów dla „baćki" (ojczulka). Białorusini przez lata mieli więc pełne zatrudnienie, niskie opłaty, czyste i bezpieczne ulice, preferencyjne kredyty mieszkaniowe umarzane w przypadku rodzin wielodzietnych. Przeciętni obywatele żyli spokojniej i dostatniej niż zwykli Rosjanie, nie wspominając o Ukraińcach.

Jednak ten postradziecki socjalizm w dość małym państwie pozbawionym surowców naturalnych działał głównie dzięki będącemu również radzieckim dziedzictwem modelowi relacji z Rosją. Moskwa przez lata po prostu dotowała białoruską gospodarkę. To subsydiowanie mogło sięgać nawet poziomu 10 proc. białoruskiego PKB. Jednak Władimir Putin postanowił skończyć z tym modelem, stopniowo urynkowił ceny za gaz i ropę, od których zależy kondycja białoruskiej gospodarki. Do tego doszedł ciężki kryzys finansowy w 2011 r. Główne od lat hasło Łukaszenki – stabilizacja – przestało być atrakcyjne, bo w oczach ludzi zaczyna oznaczać stagnację.

Dodatkowym czynnikiem, który wzmocnił frustrację społeczeństwa, był sposób, w jaki władze Białorusi (nie) radzą sobie z pandemią koronawirusa. Oficjalne dane z 6 czerwca mówiły o 47 tys. zarażonych w dość niewielkim społeczeństwie. Część obywateli utraciła poczucie bezpieczeństwa, które obok stabilizacji było głównym argumentem władzy. Wielu zauważyło, że po raz pierwszy od lat prezydent utracił kontrolę nad tym, co się dzieje w kraju.

Tłumy, jakie ustawiają się w kolejkach do stolików z kartami na podpisy poparcia dla potencjalnych kontrkandydatów Łukaszenki, są obrazem, który będzie się powtarzał i może skończyć się „Płoszczą" – jak nazywa się białoruski odpowiednik Majdanu. Tak jak 10 lat temu, gdy w wieczór wyborczy dziesiątki tysięcy ludzi wyszły na główny plac Mińska. Łukaszenko próbuje zapobiec takiemu rozwojowi sytuacji politycznej, która zawęziłaby jego pole manewru w stosunkach międzynarodowych, szczególnie wobec Rosji. Chce zdusić mobilizację przeciwników w zarodku. Cichanowicz może zostać w areszcie na dłużej. Funkcjonariusze znaleźli 900 tys. dol. niewiadomego pochodzenia za kanapą w jego daczy.

Ludzie jednak podpisują się na listach opozycjonistów jeszcze tłumniej. Czy wyjdą na Płoszczę? Do tego popychał ich Cichanowicz, wzywając obywateli, by nie głosowali w wyborach, które z góry uważa za sfałszowane, lecz by przyszli do lokali wyborczych, aby odnotować oszustwa, a potem domagali się kolejnych wyborów, już bez udziału obecnego prezydenta. To scenariusz na białoruski Majdan. Część komentatorów, także przeciwników obecnego systemu, uważa, że będzie to katastrofa dla białoruskiej państwowości, a na takiej destabilizacji zakończonej obaleniem wieloletniego przywódcy Moskwa może tylko skorzystać. Niektórzy sugerują nawet, że Cichanowicz to po prostu „rosyjski projekt". Faktem jest, że Cichanowicz robił interesy w Moskwie, tam zarejestrował firmę ze wspólnikiem Rosjaninem, a w czasie kampanii nazwał Rosjan „braćmi" Białorusinów.

SCENARIUSZ ULICZNY

Po uwięzieniu Cichanowicza najpoważniejszym pretendentem do urzędu jest Wiktor Babaryko, który z Rosją powiązany był w sposób dużo poważniejszy, jako wieloletni prezes Biełgazprombanku, czyli działającego na Białorusi banku należącego do Gazpromu. Babaryko choć wysunął postulat opuszczenia skupionej wokół Rosji organizacji wojskowej ODKB i podniósł postulat neutralności Białorusi, to jednocześnie nie wykluczył unii monetarnej ze wschodnim sąsiadem. Zarówno on, jak i trzeci poważny kandydat – były urzędnik administracji Łukaszenki, Walerij Cepkało – kreują się na kandydatów liberalnych i nowoczesnych, korzystających z cyfrowych technologii, próbując ukazać Łukaszenkę jako zacofanego, starego wiekiem i jeszcze starszego mentalnie polityka, którego doświadczenia zawodowe zatrzymały się w czasach zarządzania kołchozem. Białoruś, a szczególnie jej stolica – Mińsk, stała się w ostatniej dekadzie znaczącym „zagłębiem" usług IT i pisze się wręcz o „ajtisznikach" jako całej specyficznej grupie społecznej. Dla tej grupy, mającej być awangardą liberalnych zmian, Babaryko czy Cepkało mogą być atrakcyjną propozycją.

Jeśli lud Białorusi ruszy na Płoszczę, o ile nie zostanie wdrożony żaden „rosyjski projekt", skończy się tak jak zawsze. Interweniuje OMON. Kilka głów zostanie rozbitych. Potem będą liczne areszty czołowych opozycjonistów, wybrane grono spędzi za kratkami kilka miesięcy, a niektórzy może nawet kilka lat, jak swego czasu Mikoła Statkiewicz, kontrkandydat Łukaszenki z 2010 r., czy Aleksandr Kazulin, kontrkandydat Łukaszenki z 2006 r. Łukaszenko już zapowiedział, że „majdanów na Białorusi nie będzie". Zrobił to w czasie upublicznionej rozmowy z szefem białoruskiego KGB.

Jak odniosą się do tego typu sytuacji USA i państwa UE? Czy będzie to oznaczać powrót do sankcji i koniec ocieplenia? Czy jednak zachodni politycy przekroczą ideologiczne granice i będą intensyfikować i zacieśniać relacje z przywódcą tak mało pasującym do liberalnych standardów, by utrzymać jego pozycję wobec Rosji?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu Kresy.pl.

eprasa.pl 7463047971

FOT. ALEXEI NIKOLSKY/SPUTNIK/PAP

LOTERIA PODCZAS WYBORÓW

Władimir Putin chce zmienić konstytucję, by móc dalej sobie rządzić Rosjanami. Problem w tym (dla niego oczywiście), że Rosjanie muszą jednak przyjść na głosowanie i poprzeć te zmiany. A tu z frekwencją zapowiada się mały problem. Jak donoszą rosyjskie niezależne media, i na to znaleziono radę. Na przykład w Kraju Krasnojarskim przy lokalach wyborczych będzie konkurs. Taki tam, o konstytucji. Parę pytań. A do wygrania – 50 smartfonów, 10 samochodów i – uwaga – 10 mieszkań. Konkurs z nagrodami w postaci tabletów, smartfonów, samochodów i mieszkań zorganizowany zostanie też w Irkucku. Bo po co ludzi zmuszać do popierania władzy, jeśli można ich poparcie po prostu sobie kupić?

KONIEC „TYCH SCEN" W FILMACH?

Pandemia jest okrutna. Nie dość, że ludzie chorują, gospodarki mają zadyszkę, to jeszcze wprowadzona zostanie cenzura w filmach. W Stanach Zjednoczonych branża filmowa przygotowuje się do wznowienia produkcji. „The Sun" ujawnił wytyczne dla ludzi z Hollywood. Wynika z nich, że wymazane ze scenariuszy – ewentualnie zastąpione komputerowym animacjami – mają zostać m.in. sceny łóżkowe. Koniec seksu na ekranach.

HOTEL NIE DLA GRUBYCH

Poprawnie politycznie rzecz ujmując – ludzie „szczupli inaczej" będą szykanowani w Niemczech. Właścicielka designerskiego hotelu (tłumacząc na polski – dziwnie, ale za to bardzo drogo) w Cuxhaven w Dolnej Saksonii wprowadziła limit dla klientów. Nie przyjmuje na nocleg ważących ponad 130 kg. Powód? W hotelu meble są designerskie (tłumacząc na polski – dziwne, ale za to bardzo drogie), więc właścicielka bardzo się o nie martwi. Uważa, że jak na designerskim krześle usiądzie klient szczupły inaczej, to krzesło przestanie być ładne (a co za tym idzie, nie będzie też już drogie). Wszyscy wiedzą jednak, że chodzi o coś zupełnie innego. Pod jednym z klientów zapadło się designerskie łóżko (wiadomo jakie). Pan pozwał hotel, ale zawarto porozumienie poza sądem.

PLAGA DZIKICH KURCZAKÓW

Nowa Zelandia poradziła sobie z koronawirusem. Kraj poinformował niedawno, że nie ma tam już żadnych nowych zarażeń. Są za to inne problemy. Podczas lockdownu zwielokrotnił się wcześniej znany już problem przedmieść Auckland. Otóż wcześniej już sprawiały kłopot kurczaki porzucone przez farmerów i zdziczałe. Teraz, gdy ludzie siedzieli w domach, rozmnażały się na potęgę. Same ich krzyki i to, co wypada im spod ogona, to tylko część problemu. Wraz z kurczakami – co powie wam każdy polski rolnik – pojawiły się szczury. Są duże i jest ich dużo. Nowozelandczycy nie chcą tych kurczaków, ale też nie chcą ich „skrzywdzić". Zamiast je zabijać i spożywać, próbują z weterynarzami odławiać je sieciami, co nie jest zadaniem łatwym. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Floyd pomoże Trumpowi?

Demonstracje po brutalnym policyjnym zabójstwie czarnoskórego George'a Floyda rozlały się na świat. W Polsce pewna polonistka zwróciła się z apelem do ministra edukacji o usunięcie ze spisu lektur „W pustyni i w puszczy" Henryka Sienkiewicza. „Kali ma twarz Floyda" – stwierdziła w petycji, uderzając w przyjazny wizerunek Kalego, który w przeciwieństwie do Floyda nie wiódł życia kryminalisty, a z pewnością nie miał na koncie włamania, podczas którego mierzył z broni palnej do ciężarnej kobiety (za co Floyd odsiedział w więzieniu pięć lat i nie był to jego jedyny wyrok).

Elity Partii Demokratycznej nie czytują Sienkiewicza ani Mickiewicza, ale progresywni liderzy i lewicowi aktywiści zdecydowali się porzucić „mędrca szkiełko i oko" i postąpić zgodnie ze starą zasadą: „Jeśli ktoś Kalemu zabrać krowy, to jest zły uczynek. Dobry, to jak Kali zabrać komuś krowy". Ta sama lewica, która apelowała, że koronawirus jest tak niebezpieczny, iż należy zatrzymać gospodarkę, a wybory prezydenckie urządzić wyłącznie drogą korespondencyjną, teraz szumnie nawołuje do masowych ulicznych protestów.

Apel ten może wyrządzić demokratom tyle krzywdy co próba impeachmentu. Część demonstracji przeradza się bowiem w brutalne ataki na policję, grabieże sklepów czy podpalenia samochodów. Tymczasem historia Ameryki sugeruje, że demokraci zyskują tylko na pokojowych protestach, rozróby skłaniają wyborców ku republikanom, co np. ułatwiło wygraną Nixonowi w 1968 r.

Walczyć trzeba i z rasizmem, i z przemocą, i z głupotą. A przykładem tej ostatniej jest wmawianie, że rasistami są czytelnicy Sienkiewicza lub widzowie „Przyjaciół". W przeciwnym razie na cenzurowanym znajdzie się też choćby „Bill Cosby Show". ©℗

eprasa.pl 7463047971

PGNiG od 2016 roku sprowadza skroplony gaz ziemny do Polski poprzez Terminal LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu. Ostatnio spółka zarezerwowała dodatkową moc terminalu, która będzie dostępna po jego rozbudowie

Gaz ziemny wydobywany przez PGNiG z norweskich złóż popłynie do Polski przez budowany gazociąg Baltic Pipe

PGNiG zapewnia bezpieczne dostawy gazu do Polski

Postępuje skuteczna dywersyfikacja źródeł i kierunków dostaw gazu ziemnego do Polski. Udział rosyjskiego gazu w imporcie z blisko 89 proc. jeszcze w 2016 roku, spadł do ok. 60 proc. w 2019 roku. O stabilne dostawy błękitnego paliwa w przystępnych dla Polaków cenach dba Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo.

Wyraźna zmiana w strukturze importu jest możliwa dzięki konsekwentnemu działaniu i realizacji strategii PGNiG, w której jedną z głównych ról odgrywa stopniowe odchodzenie od dostaw pochodzących z jednego źródła.

- To właśnie między innymi w ten sposób rozumiemy hasło „Jesteśmy blisko Ciebie". Jako lider rynku gazu w Polsce wypełniamy naszą misję – bycia odpowiedzialnym, zaufanym i bezpiecznym dostawcą energii dla 7 milionów naszych krajowych odbiorców – mówi Jerzy Kwieciński, Prezes Zarządu PGNiG SA.

TRZY FILARY DYWERSYFIKACJI

Skroplony gaz ziemny, czyli LNG, to jeden z filarów procesu dywersyfikacji, dzięki któremu możemy być spokojni o ciągłość i bezpieczeństwo dostaw. W ciągu ostatnich czterech lat PGNiG zwiększyło udział LNG w całości gazu sprowadzanego do Polski z 8 proc. do ponad 23 proc., właśnie kosztem importu z Rosji.

Gaz w postaci skroplonej jest sprowadzany przez Terminal LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu. Terminal stwarza nieograniczone możliwości kupowania LNG na całym świecie. PGNiG współpracuje z katarskim Qatargas, a także z amerykańskimi partnerami: Cheniere Energy, Port Arthur LNG z Grupy Sempra oraz Venture Global LNG. Dostawy od Cheniere już przypływają do Polski, a ładunki od pozostałych producentów z USA rozpoczną się w ciągu kilku lat. LNG przypływa do nas również m.in. z Norwegii.

Terminal w Świnoujściu zostanie w najbliższych latach rozbudowany. Planując import LNG w przyszłości, PGNiG podpisało już umowę na rezerwację dodatkowych mocy, które terminal będzie oferował po rozbudowie.

KIERUNEK NORWESKI

Rozwijając własne wydobycie, PGNiG inwestuje za granicą. Dzięki temu ma już 31 koncesji na poszukiwanie i wydobycie gazu w Norwegii. Gazu sprowadzanego z Norweskiego Szelfu Kontynentalnego będzie w przyszłości coraz więcej. Pierwsze dostawy nowo wybudowanym gazociągiem Baltic Pipe popłyną do Polski już w 2022 roku.

WAŻNE KRAJOWE ZŁOŻA

Krajowe wydobycie gazu zabezpiecza około jednej piątej zapotrzebowania Polski na ten surowiec. Mamy dobre perspektywy eksploatacji złóż krajowych, dlatego PGNiG będzie w przyszłości zwiększać wydobycie m.in. ze złoża Przemyśl.

Konsekwentnie realizowana przez PGNiG strategia dywersyfikacji dostaw jest gwarancją ciągłości dostaw gazu i bezpieczeństwa energetycznego kraju. Efekty są już widoczne. Tylko w I kwartale tego roku wolumen dostaw LNG dla PGNiG wyniósł 0,98 mld m sześc. po regazyfikacji, co oznacza wzrost aż o 34 proc. w porównaniu do ubiegłego roku. Stabilny wzrost importu LNG w kolejnych latach, możliwość sprowadzania do Polski gazu przez Baltic Pipe oraz rozwój wydobycia krajowego pozwolą płynnie zastąpić dostawy z kierunku wschodniego.

eprasa.pl 7463047971

FOT. ADOBE STOCK

Tarcza (nie)idealna

eprasa.pl 7463047971

Tomasz Cukiernik

W sytuacji blokady gospodarki przez państwo Tarcza Antykryzysowa dla firm jest niezbędna, ale ma ona wiele poważnych niedociągnięć

Magdalena Stupkiewicz, która w Stegnie prowadzi studio reklamy, otrzymała mikropożyczkę i postojowe za jeden miesiąc. Nadal nie ma jednak odpowiedzi na wniosek o umorzenie składki ZUS. – Przepisy zakładają, że zasiłek opiekuńczy mogą dostać jedynie rodzice dzieci poniżej ósmego roku życia. Proszę sobie wyobrazić rodzica pracującego czy prowadzącego działalność, który wychowuje dzieci samotnie i mają one choćby 8 lat i dzień. Taki rodzic nie ma możliwości jednocześnie zapewnić dzieciom całodobowej opieki, pełnej edukacji w domu i wydajnie pracować, zwłaszcza jeśli pracy nie może wykonywać zdalnie. I taki rodzic nie ma prawa do zasiłku opiekuńczego – ubolewa Stupkiewicz. Jej zdaniem utrudnieniem są wszystkie nowe procedury biurokratyczne oraz kosmiczne tempo zmiany przepisów i ich interpretacji w każdej kolejnej odsłonie Tarczy. – Na przykład jeszcze w Tarczy 2.0 osoba samozatrudniona nie mieściła się w definicji mikroprzedsiębiorcy. Teraz już się mieści i może skorzystać z mikropożyczki – dodaje Stupkiewicz.

NIE BYŁOBY ZA CO ŻYĆ

Chcący zachować anonimowość przedsiębiorca z Pomorza opowiada, że skorzystanie z pomocy w ramach Tarczy było dość proste. – Wystarczyło utworzyć Profil Zaufany, np. przez bankowość elektroniczną, a potem złożyć wniosek w urzędzie pracy o pożyczkę. Sama wypłata środków nastąpiła po 10 dniach od złożenia wniosku. Także w przypadku wniosków do ZUS o umorzenie składek proste było złożenie wniosku, bo można to zrobić, logując się na stronie ZUS. Natomiast najszybciej udało się uzyskać pomoc w ramach subwencji z PFR. W czwartek złożyłem wniosek przez bankowość elektroniczną. W piątek miałem odpowiedź, a w poniedziałek środki na koncie – mówi przedsiębiorca. Jednak mimo złożenia wniosku zaraz po wprowadzeniu Tarczy nadal nie ma potwierdzenia, że wniosek do ZUS został przyjęty, a składki umorzone. – Pomoc oceniam pozytywnie i mam nadzieję, że nie przyjdzie mi za nią zapłacić podwójnie w późniejszym czasie, bo np. okaże się, że pożyczka 5 tys. jednak nie jest bezzwrotna albo że ZUS nie umorzył mi składek – zaznacza.

Lockdown spowodował, że Paulina Zawadzka, właścicielka salonu kosmetycznego z Włodawy (woj. lubelskie), wraz z rodziną została pozbawiona środków do życia, pozostając z kosztami za lokal, księgową i media. Uzyskała pożyczkę 5 tys. zł i postojowe, za co zakupiła nowe kosmetyki, gdyż te pootwierane przestały się nadawać do użytku. Jednak nie załapała się na subwencję, bo jej pracownik ma umowę od 1 stycznia, a nie od 31 grudnia 2019. – Pomimo że wróciłam do pracy, to nie są to pieniądze, które zarabiałam wcześniej. Ludzie nie przychodzą, nie zapisują się na te droższe zabiegi. Bardzo dużo kosmetyczek narzeka, że po kryzysie nie wróciło do nich po 70–80 proc. klientek i siedzą bez pracy. Martwię się, co będzie dalej – mówi Zawadzka.

Współwłaściciel firmy Sweetly & Salty z Bydgoszczy także odczuł, że wprowadzone obostrzenia spowodowały spadek obrotów do poziomu 8 proc. sprzed epidemii, a koszty stałe przewyższają to, co może mu zaproponować Tarcza Antykryzysowa. Żeby pokryć zobowiązania za kwiecień, przedsiębiorca musiał sprzedać samochód firmowy poniżej jego wartości.

Jak podkreślają moi rozmówcy, pomoc w ramach kolejnych tarcz jest bardzo chaotyczna. – Niepotrzebne jest rozdrobnienie całej tej pomocy: ZUS, urząd pracy, bank… Ludzie nie wiedzą, gdzie, jak, komu mają składać wnioski. Z usystematyzowaniem pomocy jest olbrzymi problem – mówi ekonomistka Beata Pachnik-Łodzińska, właścicielka biura podatkowego Tax Expert Consulting w Zielonej Górze.

POMOCOWY CHAOS

Ostatecznie można tę rządową pomoc podzielić na cztery główne rodzaje: 1. Pożyczka 5 tys. zł wypłacana przez urzędy pracy, która może zostać umorzona w 100 proc.; 2. Umorzenie składek ZUS; 3. Świadczenie postojowe – pracodawca płaci pracownikowi wynagrodzenie w wysokości 60 proc. jego podstawy, ale nie mniej niż minimalna płaca. ZUS rekompensuje pracodawcy tę kwotę, wypłacając 2080 zł; 4. Subwencja z Polskiego Funduszu Rozwoju wypłacana przez banki, która wynosi 36 tys. zł na etat i może zostać umorzona do 75 proc.

Zdaniem Pachnik-Łodzińskiej część pomysłów z Tarczy Antykryzysowej jest dobra, bo zapewnia przedsiębiorcom przetrwanie, natomiast sama realizacja, sporządzanie wniosków, składanie ich, rozpatrywanie to żmudny proces.

Jak zauważa księgowa Renata Cygan, prezes Biura Rachunkowego Aurum w Sosnowcu, w przypadku pomocy od ZUS przedsiębiorca musi mieć uregulowane należności wobec ZUS i urzędów skarbowych na koniec 2019 r. – To jest taka idea z UE, która mówi, że „daje się dobremu". Jak ktoś jest nierzetelny, nie płaci, to się go nie wspiera. Daje się temu, co już ma. Nawet jeśli ktoś popadł w kłopoty – często nie ze swojej winy, bo np. ma dużego klienta, który mu nie płaci, i to z tego powodu on nie płaci dalej. To nie jest tak, jak mówi Jarosław Kaczyński, że „co to za przedsiębiorca co nie ma odłożonego na pół roku". Ja nie znam takiego przedsiębiorcy, który by miał odłożone na pół roku. Dobrze zarządzany pieniądz musi być nieustannie w obrocie – mówi Cygan. – W niektórych drukach-wnioskach o pomoc pod groźbą odpowiedzialności karnej przedsiębiorca musi potwierdzić, że znalazł się w złej sytuacji z powodu blokady COVID-owej. I to jest bardzo uznaniowe. Jak za trzy–cztery lata – kiedy przyjdzie kontrola – przedsiębiorca ma pamiętać, którego klienta stracił i dlaczego inny nie zapłacił? W niektórych wnioskach trzeba pisać, że sytuacja się nie poprawiła. Ale co to znaczy? – zastanawia się Katarzyna Nabożna-Motała, adwokat z Zielonej Góry.

PROBLEMY I NIEDOCIĄGNIĘCIA

Brakuje precyzyjnej informacji. Z badania Konfederacji Lewiatan wynika, że 37 proc. przedsiębiorców narzeka na niejasną interpretację przepisów dotyczących uzyskania pomocy w ramach Tarczy Antykryzysowej. Z kolei badanie BCC wykazało, że przedsiębiorcom najbardziej przeszkadza niejasność przepisów (88,6 proc.) oraz nadmiar biurokracji (43 proc.). Na przykład Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej wyjaśniło, że pieniądze z pożyczki można wydać tylko na bieżącą działalność firmy, ale nie wiadomo, co to oznacza.

– Na stronie ZUS jest informacja, że wniosek o postojowe można złożyć trzy miesiące od ogłoszenia zakończenia pandemii. Więc przedsiębiorcy i księgowi myśleli, że mają na to dużo czasu. A okazało się, że według ZUS wnioski powinny być

eprasa.pl 7463047971

złożone do końca miesiąca za poprzedni miesiąc. Z ustawy to nie wynika. Jest to mylące – opowiada Nabożna-Motała. W efekcie zdarzyły się osoby, które złożyły wnioski po terminie i otrzymały odpowiedź z ZUS, że nie przysługuje im świadczenie. – Są różne niuanse, kiedy nie wiadomo, co przedsiębiorca ma odpowiedzieć we wniosku. Sporo wniosków odpadło tylko dlatego, że nie dano informacji, jak należy podać właściwą datę rozpoczęcia działalności. Co autor miał na myśli? Co wniosek, to inny sposób podejścia. W różnych wnioskach co innego rozumie się przez „przychody" – mówi Pachnik-Łodzińska.

Problemem jest też tempo przyznawania pomocy finansowej, które jest różne w zależności od regionu i urzędu. Jedne wypłacają natychmiast, a inne nie odpowiadają nawet na wnioski. Generalnie banki szybko przekazują przedsiębiorcom należną im od PFR subwencję.

Opóźnienia w wypłacaniu pomocy dotyczą ZUS. – Na pożyczki trzeba długo czekać. Kadry urzędnicze nie zostały dobrze przygotowane, nie są w stanie przerobić wniosków – mówi Nabożna-Motała.

– Nad odroczeniem składek ZUS zaczęli myśleć, jak już termin zapłaty składek ZUS minął. Wniosek o pożyczkę 5 tys. zł złożyłem w kwietniu. Mamy czerwiec, a ja jeszcze nic nie dostałem. Czekam półtora miesiąca, a przecież te pieniądze nie są potrzebne za dwa–trzy miesiące, tylko już teraz, na życie, skoro firmy nie działają. To jaka to jest realna pomoc? Ci ludzie umrą z głodu, zanim te pieniądze przyjdą – mówi Marek Jarocki, przedsiębiorca z branży logistycznej.

– Firma musi wypłacić pracownikowi pieniądze, a dopiero po długim czasie otrzymuje postojowe od ZUS. I to jest duży problem, zwłaszcza w takich firmach, które były z urzędu zamknięte, tak jak zakłady fryzjerskie, kosmetyczne, gastronomia, sklepy. Może się okazać, że część z tych podmiotów się nie podniesie, bo ta pomoc przyszła zbyt późno – potwierdza ten problem Pachnik-Łodzińska.

Są także inne niedociągnięcia. ZUS odmawia przedsiębiorcom świadczeń na opiekę nad dziećmi w związku z epidemią, argumentując nieopłaceniem składki, w związku z czym wypada się z ubezpieczenia chorobowego w sytuacji, gdy przedsiębiorca zgodnie z Tarczą złożył wniosek o umorzenie składki, którą miało za niego uiścić państwo. – Nie ma komunikacji pomiędzy poszczególnymi jednostkami w ZUS – ocenia Nabożna-Motała. Nie wiadomo też, czy można łączyć zasiłek opiekuńczy nad dzieckiem z powodu COVID z postojowym? W postojowym chodzi o niemożliwość świadczenia pracy w danym okresie. A skoro ktoś wziął świadczenie na opiekę, to ZUS może potem się przyczepić, że ktoś nie pracował. – Jest duże pole do interpretacji urzędniczej, co potencjalnie może oznaczać przyszłe kłopoty przedsiębiorcy – obawia się Nabożna-Motała.

Tarcza Antykryzysowa – tak jak każda pomoc państwa, z funduszami UE na czele – rodzi zachowania patologiczne

ZAPŁACĄ SAMI PRZEDSIĘBIORCY

Z badania BCC wynika, że dla 68 proc. firm instrumenty zaproponowane w ramach tarcz nie są wystarczającym wsparciem. – Problemem jest to, że ci, którzy ustalają procedury, tak do końca nie wiedzą, jak działają systemy. Tam na górze brakuje praktyków, którzy by wiedzieli, jak w ZUS funkcjonuje „Płatnik", PUE ZUS – mówi Pachnik-Łodzińska.

– Te formularze, które trzeba wypełniać, pisał ktoś w pijanym widzie – urzędnik niemający zielonego pojęcia o życiu. Poza podstawowymi danymi po co wyjaśnienia dochodów, przychodów, kontrahentów za 2017 czy 2018 r.? Zmusza się ludzi do wypełniania bezsensownych formularzy. Mało tego, większość tych danych urzędy posiadają – denerwuje się Jarocki. Jego zdaniem można to było zrobić prosto: z wykorzystaniem portalu e-Obywatel i bez angażowania urzędników, bo 90 proc. przedsiębiorców i tak elektronicznie składa JPK-i.

– Jeżeli firma ma zatrudnionych pracowników i co miesiąc są składane deklaracje do ZUS, to łatwo byłoby dokonać niewielkich korekt w programie, w którym składa się deklaracje. Zamiast tego wdraża się odrębne procedury, wypełnia się wnioski, które ktoś z drugiej strony musi odebrać, rozpatrzyć, napisać decyzję czy pismo z prośbą o skorygowanie. To wszystko jest niepotrzebne – uważa Pachnik-Łodzińska, podając jako wzór rozwiązanie z Niemiec, gdzie wszystko przygotowują urzędnicy, mając informacje, które wcześniej uzyskali od podatników. Gotowe propozycje pomocy wysyłają przedsiębiorcom, którzy akceptują je lub nie, i natychmiast wypłacane są pieniądze. Podobnie Węgry automatycznie zwolniły ze wszystkich składek całe branże dotknięte kryzysem.

Sama zaś pomoc w ramach Tarczy Antykryzysowej – tak jak każda pomoc państwa, z funduszami unijnymi na czele – rodzi zachowania patologiczne. – W Polsce niektórzy przedsiębiorcy zaczęli kombinować, żeby te dotacje dostać. Na siłę zaczęli ludzi zwalniać albo ograniczać im etaty, bo za to są pieniądze. To nie jest właściwy kierunek. Nie o to chodzi, żeby wymuszać pewne sytuacje w firmach. Pracownicy w sześć godzin muszą i tak wykonać wszystkie czynności, które robili w osiem godzin, albo zostają po godzinach, ale tego nie można wykazywać – opowiada Pachnik-Łodzińska.

Państwo jest zobowiązane do pomocy przedsiębiorcom w sytuacji, gdy samo blokadą gospodarki wywołało kryzys. Jednak z punktu widzenia rynku i podatnika nie jest optymalne ani pożądane, by państwo cokolwiek dawało jakiemukolwiek przedsiębiorcy. Wystarczy, by nie brało – podatków, składek i innych opłat – przynajmniej w takiej skali, jak to dzieje się obecnie. Konfederacja proponowała m.in. zwolnienie przedsiębiorców z płacenia ZUS, CIT i PIT. To by wymusiło prawdziwą redukcję wydatków publicznych i biurokracji. – Nie jestem za systemem rozdawnictwa. Wolałbym, żeby rząd nie wprowadzał ograniczeń, nie zamykał nas w domach, abym mógł sam zarabiać, a nie korzystać z dofinansowań – mówi przedsiębiorca z Pomorza.

Na dodatek Tarcza Antykryzysowa to olbrzymia ingerencja w rynek, czego skutkiem będzie też uprzywilejowanie jednych firm kosztem innych. Ale nie będą to stracone fundusze. – Z tej pomocy będzie zysk dla państwa, bo zwiększą się inwestycje, gdyż każdy przedsiębiorca ma mentalność inwestowania i rozwoju, chyba że jest stary i mu się nie chce. 80 proc. przedsiębiorców zainwestuje te pieniądze, na pewno ich nie straci – uważa Cygan, która dodaje jednak, że skoro te wszystkie pieniądze pomocowe dla firm są, to oznacza to, że państwo z tych przedsiębiorców za dużo zdziera i to jest główny problem. A jak czytamy na stronie Instytutu Misesa: „Każdy wzrost wydatków państwa, nowy dług publiczny, kreacja nowego pieniądza stanowią dodatkowe obciążenie dla osłabionego już sektora wytwórczego". Oznacza to, że za całą tę Tarczę ostatecznie i tak zapłacą… sami przedsiębiorcy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7463047971

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

V EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER GŁÓWNY

ORLEN

eprasa.pl 7463047971

Na inwestycje kolejowe tylko w tym roku zaplanowano ponad 12 mld zł. Na zdjęciu: wyremontowany dworzec w Kutnie FOT. PKP S.A.

Dać pieniądze czy pracę?

Łukasz Zboralski

Co jest lepszym ratunkiem w kryzysie – duże inwestycje państwowe czy wycofywanie się państwa z gospodarki i zwiększanie transferów socjalnych

Zatrzymanie gospodarki przez koronawirusowe lockdowny przyniosło kryzys gospodarczy. Wiemy o tym, choć w Polsce nie zaczęliśmy tego jeszcze poważnie odczuwać. I nadal nie wiadomo, jak to się na nas odbije, bo choć w Stanach Zjednoczonych już dawno wieszczono czarne scenariusze, to w maju zamiast dalszej redukcji ok. 8 mln miejsc pracy odnotowano rekordowy od 1939 r. wzrost zatrudnienia o 2,5 mln etatów. Giełdy zyskały optymizm.

Warto wspomnieć, że podczas obecnego kryzysu związanego z pandemią nastąpiło przesunięcie opinii i stanowisk. Po pierwsze, przedsiębiorcy, którzy poprzez swoich przedstawicieli w Polsce od lat domagali się ograniczania udziału państwa w gospodarce – zmniejszenia danin, a często w ogóle zmniejszania kontroli – nagle jednym głosem zaczęli się domagać jak największej państwowej interwencji.

Po drugie, na scenie politycznej nastąpiła zamiana retoryki. Rząd Zjednoczonej Prawicy, postrzegany jako władza rozbudowująca elementy socjalne – i nie bez powodu, bo transfery w postaci różnego rodzaju bezpośredniego wsparcia dla obywateli, na czele z programem „500+", są olbrzymie, liczone na miliardy złotych – mocno postawił na wielkie państwowe inwestycje (choć należy zauważyć, że wciąż próbuje też łączyć wsparcie socjalne z pobudzeniem gospodarczym – jest wszak pomysł „bonu turystycznego", który według ostatnich informacji pojawiających się w kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy miałby być przyznawany w formie dotacji 500 zł na dziecko w rodzinie).

Z kolei najbardziej słyszalny obecnie przedstawiciel opozycji – czyli kandydat na prezydenta Rafał Trzaskowski – proponuje rzecz dla osób liberalnych gospodarczo co najmniej zdumiewającą, czyli rezygnację z wielkich inwestycji. Rzucił więc pomysł m.in. porzucenia planów budowy w Polsce Centralnego Portu Komunikacyjnego i przekopu Mierzei Wiślanej (gdzie w odróżnieniu od CPK prace są już bardzo zaawansowane, koparki pracują od miesięcy) i przeniesienia tych funduszy do służby zdrowia.

Zauważyć należy, że rezygnacja akurat z przekopu Mierzei Wiślanej jest z innych powodów niż gospodarcze ważna dla potencjalnego elektoratu Trzaskowskiego – chodzi o ekologię. Jest to zatem starcie bardziej ideologiczne. Z kolei polska służba zdrowia jest oczywiście niedofinansowana od lat, ale rozwój pandemii nie wskazuje (na razie i oby tak zostało) na załamanie się systemu opieki i potrzebę jego nagłej rozbudowy.

Pozostaje odpowiedź na pytanie, czy przed potencjalnym największym od dekad załamaniem gospodarczym

eprasa.pl 7463047971

państwo powinno rozpoczynać wielkie inwestycje, czy raczej z nich rezygnować?

PAŃSTWA STYMULUJĄCE

Z interwencjonizmem państwowym mają od lat kłopot naukowcy i eksperci gospodarczy, a zwłaszcza z okresem II Rzeczypospolitej. A to właśnie do tego etosu swoje gospodarcze plany porównuje obecny rząd. CPK jest w retoryce w pewien sposób utożsamiany m.in. z budową portu w Gdyni. Rząd w komunikacji ze społeczeństwem idzie zresztą jeszcze dalej, bo minister aktywów państwowych Jacek Sasin porównał nawet polski interwencjonizm do powojennego planu Marshalla.

Historycznie z etatyzmem II RP mamy problem, bo na tle innych państw ten polski mechanizm wówczas nie okazał się doskonałym narzędziem napędzania gospodarki. Jego krytycy dość łatwo pomijają jednak inne uwarunkowania odbudowywanego kraju, w tym m.in. odcięcie części obszarów od olbrzymich rynków, którymi były kraje zaborcze. Trudno więc uznać, że rozbudowa kraju stymulowana przez państwo przynosiła coś złego. Chociaż posunięta za daleko zawsze może okazać się pułapką.

Analitycy Instytutu Staszica wskazują w tej kwestii na amerykański program New Deal (Nowy Ład), który wdrożono w USA w odpowiedzi na wielki kryzys po krachu gospodarczym w 1929 r. Jego głównym założeniem było tworzenie państwowych inwestycji. Efekty? Ponad 8 mln ludzi bez pracy znalazło zatrudnienie, zbudowano blisko 300 lotnisk, tysiące mostów i budynków użyteczności publicznej. Eksperci instytutu twierdzą, że ten rozwój infrastrukturalny położył podwaliny pod późniejszy rozwój gospodarczy USA.

Przy obecnym kryzysie Stany Zjednoczone zachowają się podobnie. Zapowiedziano inwestycje w infrastrukturę na poziomie 2 bln dol. Jeszcze większe inwestycje infrastrukturalne mają zostać uruchomione w Chinach.

W Europie też nie brakuje takich pomysłów. Warto wymienić choćby Wielką Brytanię, która czas kryzysu zamierza wykorzystać na inwestycje w infrastrukturę i przyspieszenie modernizacji miast pod kątem nowej mobilności. W maju ogłoszono uruchomienie 250 mln funtów na program zmiany infrastruktury pod kątem lepszej dostępności dla rowerów, pieszych i transportu publicznego. A cały pakiet inwestycji tylko w tej dziedzinie sięgnie 2 mld funtów. Nowa mobilność to zaś tylko jeden z programów inwestycyjnych.

CPK zaplanowano jako inwestycję na 14 lat wartą ok. 100 mld zł. Połowę ma stanowić dofinansowanie UE

POLSKIE SZCZĘŚCIA W NIESZCZĘŚCIU

Wielu ekonomistów uważa, że duże państwowe inwestycje w Polsce, które akurat trwają, pozwalają minimalizować skutki gospodarczego załamania. Widać to zresztą po branżach (np. w drogownictwie), których dziś nie dotykają kłopoty związane z redukcją zatrudnienia czy obniżkami płacy. Ba, spodziewa się nawet, że branże zaangażowane w państwowe zlecenia będą wsysać pracowników z obszarów, gdzie z zatrudnieniem zaczyna być problem. Same bowiem mają potencjał i potrzebę, a jednocześnie nastąpił pewien odpływ z powodu pandemii pracowników zza wschodniej granicy, którzy do tej pory zapełniali polską lukę na rynku pracy.

Podobnie jak podczas kryzysu w 2008 r. Polska ma szczęście. Tym razem akurat pomogło coś, co w normalnym czasie jest wadą – czyli to, że wiele z naszych planowanych inwestycji jest mocno opóźnionych. Z różnych powodów. Czasem, tak jak w przypadku kolei, problem narastał od rządów PO-PSL, bo o ile budowa dróg z pozyskiwaniem środków z UE szła dobrze, o tyle kadry czuwające nad koleją zupełnie nie dawały sobie rady. Innym razem opóźnienia wynikały z przyczyn niezależnych od zamawiającego. Przykładem może być przedłużona o lata budowa drogi S5 w Kujawsko-Pomorskiem, gdzie włoski wykonawca przestał pracować i w ten sposób próbował wymusić waloryzację kontraktu (inna sprawa, że nowi wykonawcy rzeczywiście wybudują tę drogę dużo drożej, bo warunki rynkowe naprawdę się zmieniały).

Ostatecznie mamy dziś w Polsce przed sobą 14 lat budowy CPK z przewidywanym budżetem 100 mld zł, z których niemal połowa ma pochodzić ze środków UE (i które – jak słusznie wytykał Trzaskowskiemu prezes CPK Mikołaj Wild – nie leżą dziś zdeponowane na kontach, by móc je tak po prostu przesunąć np. na służbę zdrowia).

Krajowy Program Kolejowy tylko na ten rok zakłada wydatki na inwestycje w wysokości 12,4 mld zł. Z kolei na lata 2021–2023 wydatki zaplanowano na poziomach: 15,3 mld zł, 12 mld zł i 8 mld zł. I raczej polskim problemem było do tej pory niewykorzystywanie tych pieniędzy i przekładanie prac na kolejne lata. Od sprawności aparatu państwowego zależeć będzie, czy w tej wyjątkowej sytuacji gospodarczej uda się plany realizować w 100 proc. albo nawet przyspieszać inwestycje zaplanowane na lata późniejsze.

W drogownictwie aktualnie w realizacji jest blisko 100 projektów, które obejmują budowę prawie 1,2 tys. km nowych tras. Trwają przetargi na blisko 200 km dróg, a GDDKiA przygotowuje kolejnych 138 zadań inwestycyjnych na budowę blisko 3 tys. km tras. Tutaj pomagają takie programy jak „100 Obwodnic" dla miast czy „Mosty dla Regionów". Trudniej będzie z inwestycjami z Funduszu Dróg Samorządowych. Samorządy boleśnie zaczynają odczuwać zmniejszenie wpływu podatków lokalnych i – niestety – tną plany inwestycyjne.

Państwowy interwencjonizm niesie też ze sobą zagrożenia. Możemy się uczyć na cudzych błędach. Wiemy, że hiszpański boom budowlany na drogach skończył się przerostem sieci płatnych autostrad. Już dekadę temu zaczęły upadać firmy, które dostały na nie koncesje. Utrzymanie dróg – remonty itd. – to potem olbrzymie wydatki. Według raportów w Hiszpanii do modernizacji jest 162 tys. km dróg, w tym autostradowych.

Drugi przykład dała Portugalia, która w radosnym boomie przed mistrzostwami piłkarskimi Euro 2004 budowała stadiony za ponad miliard euro. Zbudowała za dużo. I nie było szans ich nawet zapełniać. Stały się deficytowe, co było jednym z powodów kryzysu w tym kraju.

Trzeci problem z państwowym interwencjonizmem jest innego rodzaju. Dużo gospodarki w rękach państwa w oczywisty sposób krępuje przedsiębiorczość ludzi, ale nie tylko. Państwo może też łatwo przestrzelić z pomysłem, a wtedy tracą jako podatnicy wszyscy. Tutaj mamy własne lekcje, już bolesne – choćby marzenie o „polskiej dolinie kolejowej" poprzez inwestowanie w rodzime zakłady czy marzenie o „polskim aucie elektrycznym" i inwestowanie w spółkę, która miała się tym zajmować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7463047971

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kons-TY-tuc-JA! Do zmiany!

Napisałem o tym 150 felietonów. Teraz będzie 151. – po dłuższej przerwie. Po przerwie trwającej od 2010 r., gdy po tragicznej śmierci Lecha Kaczyńskiego szefem państwa został Bronisław Komorowski. Czyli od kiedy w koegzystencji z rządem Platformy i PSL prezydenta wywodzącego się z PiS zastąpił prezydent wywodzący się z PO. A potem było pięć lat współpracy Andrzeja Dudy – prezydenta wywodzącego się z PiS – z rządem PiS. Teraz historia może zatoczyć koło i wrócić do wojen na górze z czasów prezydentury Kwaśniewskiego i rządu AWS-UW oraz prezydentury Kaczyńskiego i rządu PO i PSL – tylko „jeszcze bardziej", bo temperatura sporu w Polsce jest dużo wyższa.

Tak czy owak, zamienienie przez PO kandydata na prezydenta z Małgorzaty Kidawy-Błońskiej na Rafała Trzaskowskiego zwiększyło groźbę przypomnienia sobie, jak fatalną konstytucję skrojono Polakom w 1997 r. – także w obszarze współdziałania prezydenta i rządzącej koalicji. Nie lubię teorii spiskowych, więc się ku nim nie skłaniam, ale przyjęty wtedy model na pewno cieszy niejednego szefa państwa, któremu nie zależy na dobru Polski – a któremu, poza szefem państwa polskiego, zależy? I jeśli Trzaskowski zostałby głową państwa, przekonalibyśmy się o tym szybko – zaraz po objęciu przezeń urzędu. Wróciłaby wojna na górze – dużo gwałtowniejsza niż wcześniejsze, te z kadencji Kwaśniewskiego i Kaczyńskiego. Wojna na górze, w której jak zawsze kluczową rolę odgrywałoby prezydenckie weto – o wprost atomowej sile, do którego przełamania trzeba głosów większości kwalifikowanej aż trzech piątych posłów w obecności co najmniej połowy ich ustawowej liczby. A Zjednoczona Prawica dysponuje większością niewiele większą niż jedna druga.

Przy tej okazji wróciłaby też pewnie debata na temat potrzeby zmiany konstytucji – na taką, która dawałaby rządowi szansę choćby w miarę skutecznego rządzenia także w przypadku, gdy prezydent nie wywodzi się z tego samego obozu politycznego. Czyli być może podjęto by – wreszcie! po 23 latach! – elementarną decyzję: jaki ustrój powinna mieć Rzeczpospolita Polska zamiast chaosu, w który wpędzono ją w 1997 r. Czy ma mieć ustrój kanclerski – z silną władzą rządu i prezydentem wyłanianym nie w wyborach powszechnych, lecz np. przez Sejm i Senat, wyposażonym w dużo słabsze weto niż dziś – czy jednak ustrój prezydencki – z silnym, wybieranym w wyborach powszechnych prezydentem i rządem dysponującym znacznie słabszą władzą niż dziś.

Zapewne i ta debata – jeśliby do niej doszło – podobnie jak wcześniejsze nie zakończyłaby się porozumieniem głównych partii w sprawie naprawy Konstytucji RP. A Polska nadal – raz po raz – będzie wpadać w kilkuletni dryf – za sprawą diabelskiego wynalazku z 1997 r., czyli ustroju „kanclersko-prezydenckiego". Ku uciesze wszystkich, którzy jej – czyli nam – źle życzą. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Premier na trawniku

Premier na zaimprowizowanej konferencji prasowej chwalił właśnie plan wsparcia dla budownictwa ze względu na pierwszą w kraju od 30 lat recesję, związaną z pandemią. Działo się to na tle niedalekiej budowy. Nagle z pobliskiego nowo postawionego domu wychynął brzuchaty i brodaty jegomość w dresie, boso, i donośnym głosem poprosił: „Czy wszyscy mogliby zejść z trawy!?".

W Australii politycy nie czują się właścicielami państwa

„Oczywiście, przesuńmy się" – potulnie powiedział premier i zszedł z trawnika po jednej stronie chodnika, ale dziennikarze się nie ruszyli.

„Słuchajcie, dopiero co to obsiałem" – rzekł jegomość.

„Bardzo proszę, przenieśmy się" – zwrócił się premier do dziennikarzy, którzy w końcu usłuchali. „Teraz jest w porządku!" – zapewnił premier brodacza. Brodacz zlustrował sytuację, rzucił do premiera: „Przepraszam, kolego!" i pokazał kciuk w górę. Premier odpowiedział tym samym gestem i konferencja trwała dalej.

Nie, to się nie stało w Polsce. Premier to nie Mateusz Morawiecki, tylko Scott Morrison z Liberalnej Partii Australii, szef rządu federalnego.

A oto inna scena z tego samego kraju. Marzec 2019 r., ówczesny minister obrony Australii Christopher Pyne ogłasza na konferencji prasowej nowego dowódcę australijskiego lotnictwa. Towarzyszą mu stojący obok najważniejsi dowódcy australijskiej armii. Nieco spóźniony dociera gen. Angus Campbell, szef sztabu. W pewnym momencie dziennikarze – jak to dziennikarze – zaczynają pytać już nie o wojsko, lecz o sprawy czysto partyjne, a konkretnie – wątpliwe podróże jednego z posłów. Wtedy gen. Campbell podchodzi do ministra i mówi mu cicho, ale mikrofony rejestrują rozmowę: „Panie ministrze, czy mogę prosić, żeby oficerowie się wycofali, kiedy pan odpowiada na pytania tego typu?". Minister kiwa głową: „Oczywiście" – i zwraca się do wojskowych: „Bardzo proszę, dziękuję panom". Oficerowie się odsuwają.

Gdyby ktoś mnie zapytał, jakiej zmiany w relacjach polityków z państwem i obywatelami bardzo bym sobie w Polsce życzył, to pokazałbym mu właśnie te dwie sceny, które mówią więcej niż długie studia. Pokazują, jak wyglądają sprawy w kraju, gdzie politycy nie czują się właścicielami państwa, ale wynajętymi do zarządzania nim specjalistami na płaconej przez podatników pensji. I gdzie ludzie nie traktują ich jak władców absolutnych, ale jak kogoś, kogo można ochrzanić, gdy depcze nam trawnik. Nawet jeśli trwa konferencja prasowa. ©℗

eprasa.pl 7463047971

REPUBLIKA

DZIENNIKARSKI POKER

Zapraszają:

Adrian Stankowski
Dorota Kania
Tomasz Sakiewicz

od **poniedziałku** do **środy**

19:00

oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl

Detektyw rodzinny

FOT. ADOBE STOCK

Joanna Bojańczyk

Pochłonięci teraźniejszością mało wiemy o rodzinnej przeszłości. Młodych to mało interesuje, a kiedy już dorosną i chcą się czegoś dowiedzieć, nie ma kogo zapytać. Sekrety pomaga odkryć genealogia. Czasem miłe, czasem przykre

Otrzymałam nowe propozycje znajomości. Nie, tym razem nie na Facebooku. Portal genealogiczny MyHeritage pyta, czy zechcę poznać Liliane z Francji, Phyllis z Kanady i Bruce'a z USA? Może warto byłoby, gdyż wszyscy oni są moimi krewnymi. Z Liliane, krewną ósmego stopnia i 12. stopnia w linii bocznej łączy mnie podobieństwo DNA 0,7 proc. Z Phyllis mam trochę mniej wspólnych genów – tylko 0,6 proc. i te same – ósmy i 12. stopnie pokrewieństwa. Takie same jak w przypadku Phyllis parametry czynią mnie kuzynką Bruce'a.

Mogłabym zainteresować się tymi osobami, chociaż nigdy w życiu o nich nie słyszałam. Mogłabym, gdyby nie to, że podobnych ofert My Heritage przysłał mi już wcześniej bardzo wiele. Krewną ósmego stopnia i 12. w linii bocznej jestem zapewne setek innych osób. Nic mnie z nimi nie łączy oprócz śladowego, wyliczonego przez algorytm podobieństwa.

Pierwszy stopień pokrewieństwa to rodzice i dzieci. Drugi – dziadkowie i wnuki. Czwarty stopień to cioteczne rodzeństwo, prapradziadkowie, praprawnuki, których można liczyć w dziesiątki, w zależności od dzietności w danej rodzinie. Czym zatem będzie ósmy stopień? Osiem pokoleń to różnica ok. 320 lat... Jeszcze trudniej wyliczyć to dla linii bocznej – czwarty stopień pokrewieństwa w linii bocznej to syn brata ojca, córka brata ojca, syn brata matki, córka brata matki, syn siostry ojca lub siostry matki lub córka siostry ojca lub siostry matki, to… Nie, nie będę nawet próbować szukać.

DZIEJE ZWYKŁYCH RODZIN

Jednak szukać warto, niekoniecznie aż tak głęboko, aż tak szeroko. Pochłonięci teraźniejszością mało wiemy o rodzinnej przeszłości. Młodych to mało interesuje, wystarczy im historia w szkole.

A kiedy już dorosną i chcą się czegoś dowiedzieć, to nie ma kogo zapytać. Dziadkowie nie żyją, dokumenty zginęły, nikt nie był zainteresowany ich przechowaniem. Była wojna. W jednopokoleniowych rodzinach okazjonalne spotkania rodzinne nie stwarzają okazji do opowieści. Dziadkowie zamiast snuć historie, uczą się od wnuków, jak obsługiwać komórkę.

A czasem i starsi nie są zbyt chętni ujawniać rodzinne tajemnice, nawet jeśli je znają. Bo te nie zawsze są powodem do chwały. Jeśli chce się je poznać, trzeba samemu zagłębić się w archiwa.

Tak zrobiła Joanna Szczepkowska, która niewiele wiedziała o pochodzeniu swojego dziadka Jana Parandowskiego i przeczuwając sekrety, sama

eprasa.pl 7463047971

przedsięwzięła osobiste poszukiwania. W swojej pasji nie była odosobniona. W samym ostatnim dziesięcioleciu ukazały się dziesiątki książek próbujących odtworzyć rodzinne życiorysy. Maciej Zaremba, Anda Rottenberg, Agata Tuszyńska, Monika Sznajderman…

Rafał T. Prinke pisze w „Poradniku genealoga amatora": „Historia ma bardzo różne oblicza. Z jednej strony mamy historię podręcznikową opowiadającą o królach i możnowładcach, biskupach i generałach, tworzących wielką politykę [...]. Z drugiej strony natomiast jest owa »mała ojczyzna«, miasto czy wioska, z której pochodzimy, gdzie żyli i pracowali nasi przodkowie. Często słowo »ojczyzna« kojarzy nam się właśnie z tymi stronami rodzinnymi, konkretnymi widokami, budynkami czy drzewami. Do nich wracają myślami ci, którzy musieli porzucić swe małe ojczyzny. Historia lokalna zawarta jest w dziejach zwykłych rodzin, ich trudu codziennego, zmagań z losem, przekazywania tradycji i wychowywania kolejnych pokoleń".

Kto chciałby rozpocząć badania powiązań rodzinnych, ma do dyspozycji wiele możliwości. Platformy genealogiczne: Ancestry, GENI, Moikrewni, GreatFamily, Ahnenblatt, Family Tree Builder, GEDCOM, GenoPro ułatwiają budowanie drzew genealogicznych, umożliwiają wymianę zdjęć i kontaktów. Fani genealogii spierają się, który z programów jest najlepszy. Najwięcej użytkowników, 92 mln, ma MyHeritage, platforma założona w roku 2003 przez izraelską firmę, która posługuje się 42 językami. Abonament kosztuje ok. 100 dol. rocznie. Od 2016 r. platforma oferuje również usługę testowania genetycznego. Przysyła pakiet do badania laboratoryjnego, który należy odesłać wraz z próbkami. Na wynik czeka się około miesiąca. Własne DNA można porównać tylko z DNA osób, które wykonały podobne badanie. Jeżeli wykazuje dużą zgodność kodu genetycznego, to za zgodą zainteresowanych można próbować dowodzić rzeczywistego pokrewieństwa. W ten sposób drzewo się rozrasta, wyrastają mu nowe gałęzie. Właśnie w ten sposób odnalazłam Liliane, Phyllis i dziesiątki spokrewnionych ze mną osób.

ANALOGOWE ŹRÓDŁA

Dla dociekliwego badacza równie ważne jak platformy internetowe będą analogowe źródła informacji: archiwa miejskie, kancelarie parafialne, kancelarie cmentarne. Ogromną bazę zdigitalizowanych danych genealogicznych ma Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, którego wyznawcy są potocznie zwani mormonami. Prowadzi ją i rozbudowuje od lat.

Dlaczego właśnie mormoni? Zasady tego Kościoła zakładają pośmiertny chrzest każdego, kto ma związek jakiegokolwiek szczebla z obecnymi wyznawcami. Ta baza danych ma służyć właśnie tym, którzy chcieliby odnaleźć absolutnie wszystkich swoich krewnych, w tym również zmarłych.

Podstawowa baza znajduje się w Salt Lake City w stanie Utah, gdzie powstał Kościół mormonów i gdzie znajduje się ich największe skupisko. Tam dostęp do danych jest nieograniczony. Ale na świecie istnieją także centra regionalne, które pełnią tę samą funkcję. W Polsce jak dotąd działają dwa ośrodki – w Warszawie i Łodzi.

Mormoni posiadają miliony danych. Skąd one pochodzą? W epoce sprzed RODO mormońscy badacze uzyskiwali je w parafiach, archiwach diecezjalnych. Zwykle wykonywali dwa mikrofilmy, w tym jeden dla archiwów, jako rodzaj rekompensaty za udostępnienie danych, drugi dla własnych potrzeb. W ten sposób archiwa mormonów stały się wspaniałym źródłem informacji, obecnie zdigitalizowanych. Osobom, które poszukują dokumentów rodzinnych rozproszonych po kraju, archiwa te oszczędzają podróży. Nie wszystkie parafie zgodziły się swoje zasoby udostępniać, zatem baza ta jest niepełna.

W czasach RODO wszystko się skomplikowało. Sama tego doświadczyłam, próbując uzyskać w parafialnym kościele w Milanówku świadectwo ślubu rodziców. Nawet ja, córka, nie mogłam zapoznać się z tym ściśle tajnym dokumentem, widać istotnym dla strategii kraju...

Niezastąpionym źródłem informacji jest również prasa z epoki. Tam można znaleźć ciekawostki, informacje o zdarzeniach, o których nie mówią oficjalne dokumenty. Tu pomocą w poszukiwaniach może służyć baza informacyjna POLONA opracowywana przez Bibliotekę Narodową. Zawiera ona zdigitalizowane obrazy niektórych czasopism i druków ulotnych. Generalnie są tam materiały od XVIII w. Bezcennym źródłem informacji są nekrologi, zawiadomienia o ślubach, informacje sądowe, komornicze, kroniki policyjne i wypadków. Cenną zawartość mają także roczniki informacyjne miast, które rejestrowały pozornie nieistotne, drobne zdarzenia. Ich lektura odkrywa całą sferę codziennego życia. Sądy honorowe oficerskie podają do wiadomości awantury, burdy i przekręty wsród kadry oficerskiej. Informuje się o pożarach, klęskach żywiołowych, obchodach świąt religijnych. Obok tego występuje zwyczajna tabloidowa siekanka: ktoś się upił i wywołał burdę, kogoś aresztowano, zlicytowano, zamordowano…

Sukces poszukiwań genealogicznych zależy od statusu rodziny, stanu dokumentów, ciągłości i nazwiska. Wielkie rody zostawiły po sobie dużą ilość akt w księgach metrykalnych i sądowych. Rodowody szlacheckie i mieszczańskie są dłuższe niż chłopskie. Ale drobna szlachta często sprzedawała i kupowała ziemię i w związku z tym się przemieszczała. Chłopi byli bardziej stacjonarni, w rodzinach rzemieślniczych przekazywano sobie zawód z ojca na syna, więc były one raczej osiadłe.

Jak pisze Rafał T. Prinke: „Właściwe nazwiska rodzinne tworzone w znakomitej większości od nazwy posiadanych wsi utrwaliły się ostatecznie pod koniec XVI wieku. […] Czas powstania nazwisk chłopów jest bardzo różny, w zależności od regionu. Na Śląsku i Wielkopolsce nazwiska bogatych kmieci sięgają zwykle połowy XVII, a niekiedy XVI wieku, we wschodniej części kraju znaczna liczba nazwisk powstała dopiero na początku XIX wieku, kiedy dziedziczne nazwisko stało się koniecznością prawną. Rodziny żydowskie w znacznej większości przyjmowały nazwiska dopiero w pierwszej połowie XIX wieku".

Szukanie przodków zaczęło być modne już w PRL. Oczywiście wyłącznie szlacheckich... Wszak my są panowie szlachta... W salonie państwa Karwowskich zawisł na ścianie portret przodka nabyty w Desie. Gdy PRL upadł, z podziemia wyszła arystokracja, ta nie musiała portretów kupować. Ale tych, którzy chcieli podnieść swój status społeczny, niekoniecznie mając do tego powody, przybywało. Pochwalić się dworkiem, błysnąć sygnetem czy orderami pradziadka zdobytymi za kampanię napoleońską. W księgach parafialnych może jednak czekać rozczarowanie: pradziadek nie był hrabią, majątek został zlicytowany, zanim powstał, a rodzina mieszkała w chałupie na Polesiu, nie w dworku z kolumnami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7463047971

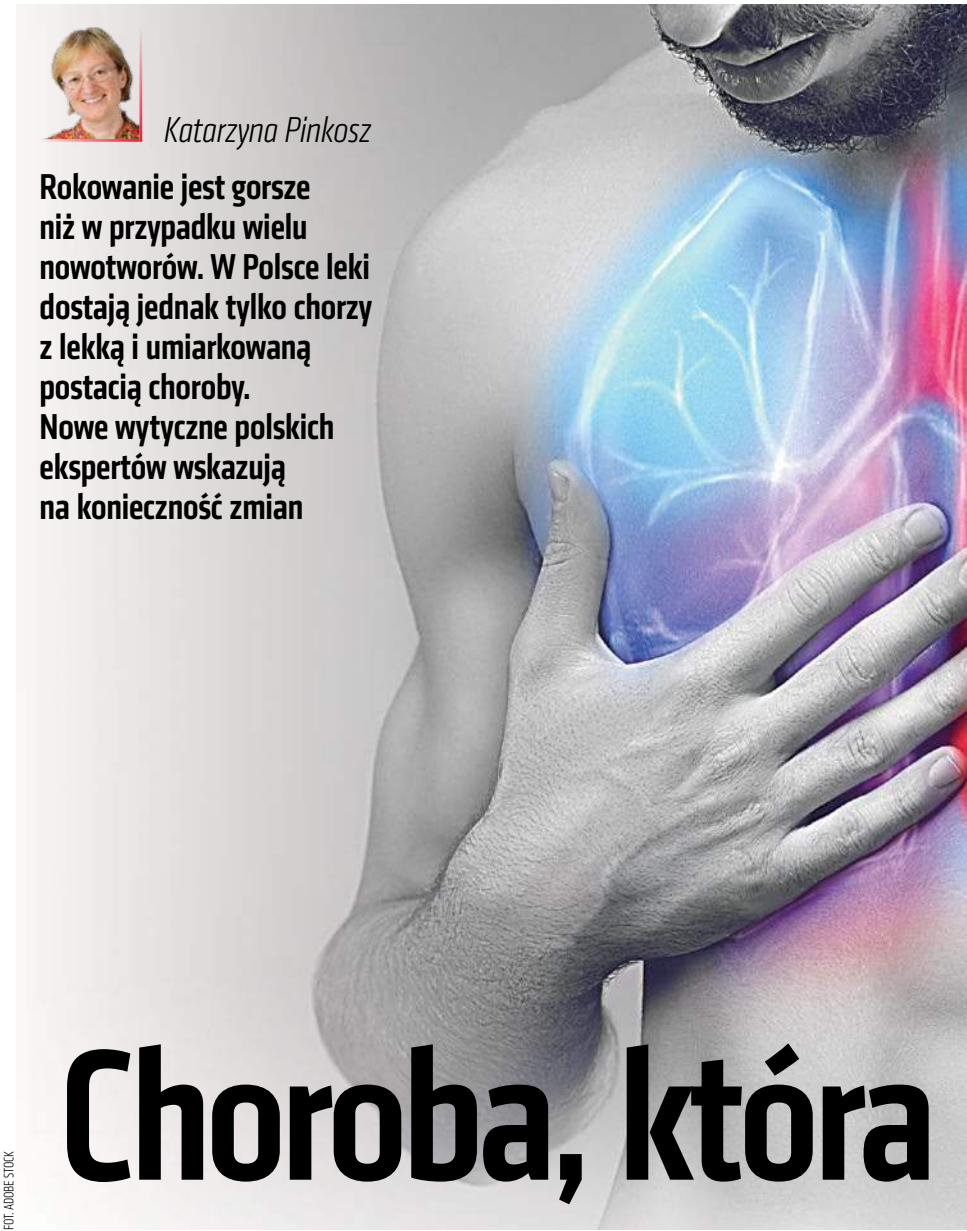

FOT. ADOBE STOCK

Choroba, która

Katarzyna Pinkosz

Rokowanie jest gorsze niż w przypadku wielu nowotworów. W Polsce leki dostają jednak tylko chorzy z lekką i umiarkowaną postacią choroby. Nowe wytyczne polskich ekspertów wskazują na konieczność zmian

Dariusz Klimczak, prezes Towarzystwa Wspierania Chorych na Idiopatyczne Włóknienie Płuc (IPF), choruje na IPF już kilka lat. Z nieznanej przyczyny (stąd słowo „idiopatyczne" w nazwie) jego pęcherzyki płucne zaczęły zmieniać się w zwłókniałą tkankę. Przypomina to bliznę, która tworzy się na skórze podczas gojenia, tyle że zmiany w płucach się nie goją. Zbliznowacenia z czasem obejmują coraz większy obszar, przez co pojemność płuc się zmniejsza. Choremu na IPF coraz ciężej oddychać, wykonywać nawet zwykłe czynności, coraz częściej pojawiają się duszność i kaszel. To mogą być objawy wielu chorób (m.in. niewydolności serca, przewlekłej obturacyjnej choroby płuc), dlatego zwykle już sam proces postawienia diagnozy jest wyzwaniem.

Choroba postępuje, a bez leczenia rokowanie jest gorsze niż w przypadku większości nowotworów. Dariusz Klimczak jest już po przeszczepieniu płuc – to na razie jedyna metoda wyleczenia IPF. Nie każdy jednak się do niej kwalifikuje, jest zresztą obciążona bardzo dużym ryzykiem, związanym m.in. z koniecznością przyjmowania do końca życia leków zapobiegających odrzuceniu przeszczepu, co bardzo osłabia układ odpornościowy. – Ostatnio kilka miesięcy spędziłem w szpitalu z powodu poważnych infekcji wirusowych i bakteryjnych. Kolejny raz otarłem się o śmierć. Dlatego osoby, których wydolność płuc jest na tyle dobra, że nie muszą mieć przeszczepienia, lepiej, żeby były leczone farmakologicznie – mówi Klimczak.

NOWE WYNIKI BADAŃ, NOWE WYTYCZNE

– Zdrowy 60-latek traci rocznie ok. 30–40 ml pojemności życiowej płuc w związku z naturalnym procesem starzenia. Chory na IPF, który nie jest leczony, traci rocznie ok. 200 ml pojemności płuc, a jeśli jest leczony – ok. 100 ml, choć oczywiście przebieg choroby jest bardzo indywidualny – opowiada prof. Wojciech Piotrowski z Kliniki Pneumonologii i Alergologii UM w Łodzi. Jedynymi lekami, które są w stanie zahamować przebieg choroby, są obecnie leki antyfibrotyczne. W Polsce, w ramach tzw. programów lekowych, są dostępne dwa. Niestety, nie wszyscy chorzy w Polsce mają możliwość ich stosowania. – W badaniach klinicznych, które dały podstawę do rejestracji obu leków, podawano je tylko chorym z umiarkowaną i lekką postacią IPF. Program lekowy był tworzony na podstawie badań klinicznych, nie wiedzieliśmy wówczas, czy te leki pomagają też ciężej chorym. Obecnie mamy już dane świadczące o tym, że leczenie może być skuteczne także u nich – przekonuje prof. Piotrowski.

Właśnie dlatego 21 ekspertów zajmujących się w Polsce IPF: pulmonolodzy, radiolodzy, patomorfolodzy, we współpracy z pacjentami stworzyło pierwsze w Polsce wytyczne leczenia IPF. Dzięki ich wprowadzeniu więcej chorych ma szansę na wcześniejszą diagnozę i skuteczniejsze leczenie.

WYKLUCZENIE Z LECZENIA: NIEETYCZNE

Pierwsza ważna zmiana w zaleceniach dotyczy stawiania diagnozy. – W ostatnich latach diagnostyka się poprawiła radiolodzy wykonujący badanie tomograficzne wcześniej zauważają zmiany w płucach, pacjenci trafiają do nas na wcześniejszym etapie choroby – mówi dr Katarzyna Lewandowska, która od wielu lat zajmuje się pacjentami z IPF w I Klinice Chorób Płuc Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc. Żeby usprawnić proces diagnozy, eksperci postulują, by nie było konieczne wykonanie biopsji. – Większość pacjentów to osoby starsze, mające choroby współistniejące. Biopsja może u nich spowodować zaostrzenie choroby. Powinna być wykonywana tylko wtedy, gdy pojawiają się wątpliwości co do rozpoznania – wyjaśnia prof. Piotrowski.

Druga ważna zmiana dotyczy kwalifikacji do leczenia. – Obecnie w ramach

eprasa.pl 7463047971

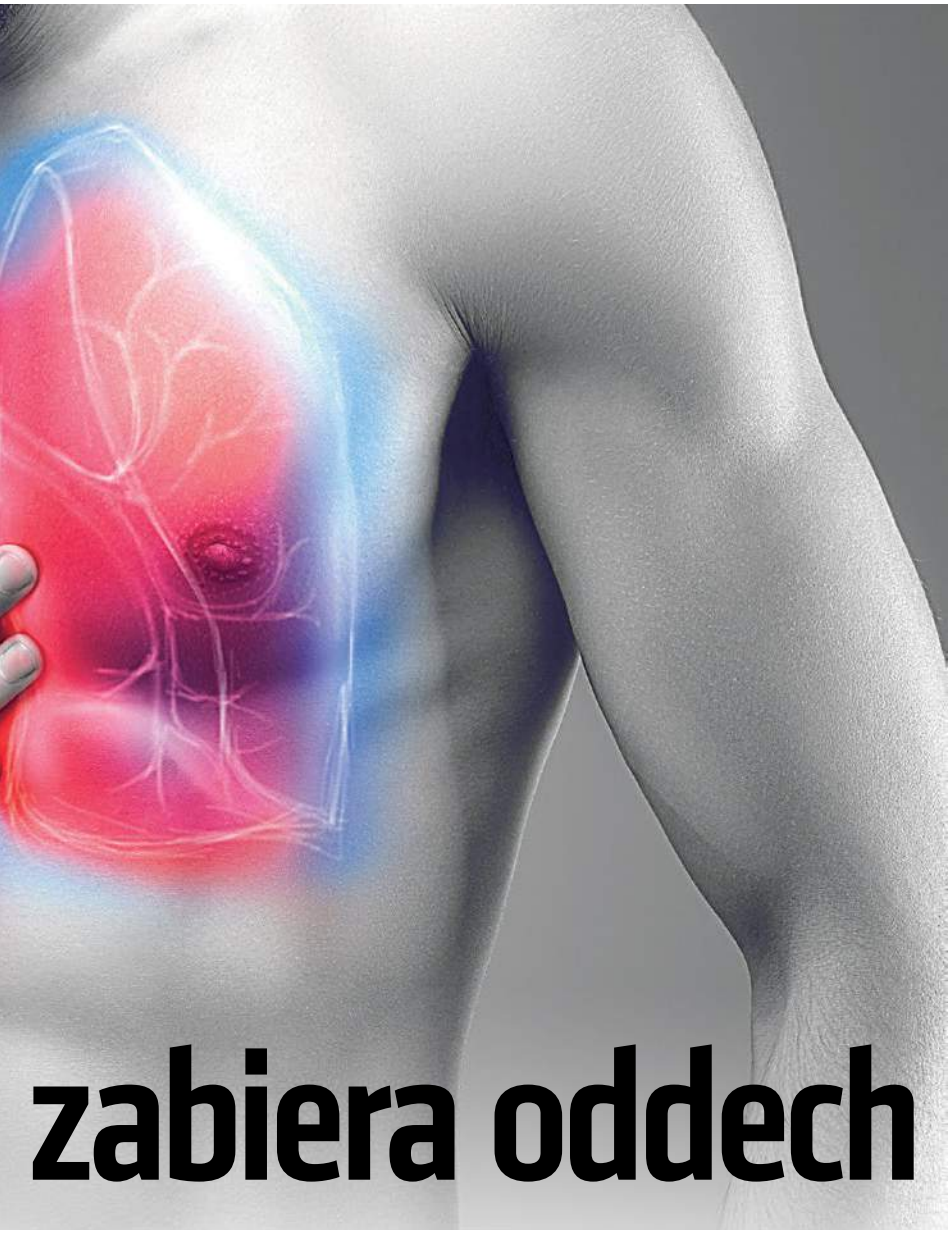

zabiera oddech

programu lekowego leki są dostępne tylko dla chorych, którzy spełniają określone kryteria, np. pojemność życiowa płuc nie może być niższa niż 50 proc. wartości należnej. W związku z tym pacjent, który ma 49 proc. pojemności płuc, nie może być leczony. Tymczasem on w zasadzie nie różni się od chorego, który ma 51 proc. pojemności płuc – mówi prof. Piotrowski.

Dostępne obecnie wyniki badań pokazują, że również chorzy mający mniejszą pojemność płuc odnoszą korzyści z leczenia. Eksperci postulują także zniesienie kryterium wyłączenia z programu lekowego. – Obecnie, jeśli pojemność płuc chorego spadnie więcej niż o 10 proc. wartości należnej w ciągu pierwszego roku leczenia, a potem w okresach półrocznych, to musimy zaprzestać podawania leku – wyjaśnia dr Lewandowska. Dla chorych to kryterium jest wyjątkowo bolesne. – Proszę sobie wyobrazić: badanie wychodzi źle, więc wypadasz z leczenia, czyli do niczego się już nie nadajesz. Nie można nikogo skazywać, żeby szybciej umarł. To tak, jakby człowiekowi, który ledwo chodzi, zabrać laskę i powiedzieć: „Możesz się czołgać" – oburza się Dariusz Klimczak.

Przy obecnych kryteriach programu jeśli mimo spadku pojemności płuc jest ona nadal wyższa niż 50 proc., to choremu można podać drugi lek antyfibrotyczny dostępny w programie. Nie rozwiązuje to jednak problemu, gdyż pacjent może na niego źle zareagować. Jeśli zaś pojemność płuc spadnie poniżej 50 proc., to chory zostaje bez leczenia. Pozostaje tylko podawanie tlenu czy rehabilitacja. Zdaniem dr Lewandowskiej to wręcz nieetyczne, gdyż stan osoby pozbawionej leczenia często gwałtownie się pogarsza.

DOPÓKI WYSTARCZY ODDECHU

– To, że u pacjenta pojemność płuc spadła o 11 proc., nie jest spowodowane tym, że lek „przestał działać". To nie jest tak jak w nowotworze, że guz zaczyna rosnąć, bo lek przestał być skuteczny. W kolejnych miesiącach pojemność płuc może spadać wolniej – dodaje dr Lewandowska.

Eksperci mają nadzieję, że pierwsze polskie wytyczne leczenia IPF spotkają się z przychylnością Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji oraz Ministerstwa Zdrowia, a program lekowy wkrótce zostanie zmieniony. Zalecenia już zostały przychylnie przyjęte przez środowisko naukowe za granicą, gdzie polscy pulmonolodzy są bardzo cenieni. – Gdy program lekowy był tworzony, nie dysponowaliśmy wynikami badań, które mamy obecnie. Dziś już wiemy, że kontynuacja podawania leku jest lepsza niż jego odstawienie, gdyż zmniejsza ryzyko dalszego szybkiego spadku pojemności życiowej – przekonuje prof. Piotrowski. Jego zdaniem zmiany w programie nie wiązałyby się wcale z dużymi kosztami ze strony NFZ. Obecnie programem jest objętych ok. 800 chorych, gdyby udało się zaadaptować go do nowych wytycznych, przybyłoby ok. 10–15 proc. chorych. Nie każdy pacjent z IPF może być bowiem leczony lekami antyfibrotycznymi, gdyż mają one również skutki uboczne. Jednak o tym, czy choremu podać lek i kiedy go odstawić, powinien móc decydować lekarz, a nie sztywne zapisy programu.

Chorzy na IPF są grupą ryzyka ciężkiego przebiegu COVID-19, gdyż ich płuca są już mocno uszkodzone. – Wychodzę z domu zawsze w maseczce, nie wchodzę do sklepu, jeśli jest dużo osób. Jestem ostrożny, ale nie boję się wirusa, tylko tego, że z powodu kryzysu związanego z pandemią będzie na tyle mało pieniędzy w budżecie, iż ktoś uzna, że programu lekowego nie trzeba zmieniać, bo zakres pomocy państwa w tym zakresie już został określony – mówi Dariusz Klimczak. Dopóki wystarczy mu oddechu, dopóty chce jednak walczyć o zmiany, bo wie, jaką wartość dla chorego ma każdy dzień życia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7463047971

RYCERZE I WARCHOŁY

Piękna metresa króla Władysława

JACEK KOMUDA

Spośród wielu królewskich kochanek Władysława IV Wazy jedynie Jadwiga Łuszkowska zagrzała na dłużej łoże władcy Rzeczypospolitej. Była to mieszczka lwowska, którą król poznał, kiedy wracał w chwale i glorii z wojny z Moskwą o Smoleńsk w 1634 r. Metresa zawładnęła sercem władcy na całe życie, natychmiast pojawiła się na dworze w Warszawie. A wszystko dlatego, że była niewiastą niezwykłej wprost urody. Karol Ogier, francuski dyplomata, który przebywał w Rzeczypospolitej, pisał o niej dwa lata później: „I bardzo piękna ona i wielkiego również pełna uroku, o ciemnych oczach i włosach i gładkiej ogromnie i świeżej cerze".

Jadwiga przebywała na dworze królewskim przez trzy lata, dając się poznać jako urodzona intrygantka, mimo że król nie dopuszczał jej do polityki. Prawdopodobnie w 1635 lub 1636 r. urodziła mu nieślubnego syna, zwanego Władysławem Konstantym Wazą. Aby nie dopuścić do skandalu, król wydał Łuszkowską za dworzanina Jana Wypyskiego. Sprawę tę komentowała szeroko szlachta, nieprzyzwyczajona do utrzymywania na dworze metres i nałożnic. Jak pisał Walerian Nekanda-Trepka w „Liber chamorum": „Wypyski służył przy dworze króla, ten anno 1636 pojął nałożnicę królewską. Temu dał król chorąstwo burskie, to jest chorągniew, że chorą giął, bo miała już w brzuchu dziecię przed ślubem". Jednak władca obdarzył męża kochanki nie tylko chorąstwem, ponieważ kilka lat później nadał mu starostwo mereckie na Litwie. Wywołało to kolejną falę drwin, iż szlachcic otrzymał nie starostwo mereckie, po łacinie: „merecensem", ale „nierządne" – „meretricensem".

Prawdziwe kłopoty zaczęły się jednak w 1637 r., kiedy Władysław IV poślubił Cecylię Renatę Habsburżankę. Jak to zwykle bywało, pomiędzy królową a kochanką doszło do ostrego spięcia i prawdziwej wojny. Jeśli wierzyć Albrychtowi Stanisławowi Radziwiłłowi, wszystko zaczęło się 19 września 1637 r., kiedy urządzono krwawe widowisko – szczwanie zwierząt. Jak podaje kanclerz: „Zakończyło się niewczesnym śmiechem, z którym, gdy psy zagryzły niedźwiedzia, wyrwała się Wenera". Wenera to oczywiście Łuszczewska, która pechowo odezwała się nie w porę. Królowa podobno zaczęła rozpytywać wówczas, kim jest owa dama; usłużni zaś dworzanie natychmiast uświadomili Cecylię Renatę co do rzeczywistej roli owej pani.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Łuszczewska nie miała dobrej opinii wśród dostojników. Oskarżano ją o czary – obawiała się jej zwłaszcza królowa. Pewnego razu w Daugach poczuła nagły ból w ręce, którego pozbyła się wzywając imienia Jezusa i Marii. Kanclerz litewski i inni dworzanie podejrzewali w rozmowie: „Czy dawna miłośnica króla [...] która wedle powszechnej opinii pełna była wszeteczeństwa i umiejętności czarodziejskich, czegoś nie uknuła przeciw pobożnej królowej".

Zapewne pod wpływem żony Władysław odesłał Wypyskiego i metresę do starostwa mereckiego, jednak odwiedzał ją do końca życia. Król bardzo często wyprawiał się na polowania do lasów nad Niemnem, a przy okazji zajeżdżał do kochanki. Można podejrzewać, że wizyty owe nie ograniczały się do wspólnego oglądania zachodów słońca nad litewską puszczą i czytania żywotów świętych. Prawdopodobnie romans królewski ciągnął się do końca życia. Władysław bowiem dziwnym trafem zmarł właśnie w Mereczu, 20 maja 1648 r.

Co się stało z nieślubnym synem króla i Łuszkowskiej, Władysławem Konstantym Wazą, urodzonym ok. 1636 r.? Nie mamy za wiele wieści na jego temat. Jak podaje Zygmunt Wdowiszewski w „Genealogii Jagiellonów i domu Wazów w Polsce", był on wychowywany najpierw na dworze ojca, zachował się nawet jego portret z królewiczem Zygmuntem Kazimierzem, a potem na dworze stryja, króla Polski Jana Kazimierza. W czasie wojen kozackich wyjechał do Francji, gdzie przybrał nazwisko hrabiego de Wasenau. Sumę 30 tys. liwrów, którą zapisał mu w testamencie Jan Kazimierz Waza, wydał na rozpustę, uczty i hulanki. Jednak nie przeszkodziło mu to udać się do Rzymu, gdzie spotkał inną swoją daleką krewną – królową Szwecji Krystynę, przebywającą tam po abdykacji i przejściu na katolicyzm. Krystyna mianowała go kapitanem gwardii. Później, w 1689 r., papież Aleksander VIII uczynił Władysława szambelanem. Nieślubny syn króla zmarł w Rzymie w 1698 r. jako ostatni potomek polskiej linii Wazów. Po jego śmierci kard. Jan Franciszek Albani, późniejszy papież Klemens XI, ufundował mu nagrobek w kościele pod wezwaniem Stygmatów Świętego Franciszka w Rzymie. ©℗

eprasa.pl 7463047971

TEST „DO RZECZY": MICROSOFT SURFACE LAPTOP 3

Eleganckie wzornictwo, niewielkie waga, bardzo dobry dotykowy ekran oraz niezła wydajność – to największe zalety sztandarowego notebooka Microsoftu.

Minimalistyczny design testowanego modelu – zwłaszcza w srebrnej kolorystyce – przywodzi na myśl prestiżowe laptopy z nadgryzionym jabłkiem w logo. Surface Laptop 3 jest w całości wykonany z aluminium i nie pozostawia wątpliwości, że jest to urządzenie klasy premium.

15-calowy laptop ma zaledwie 2 cm grubości i waży 1,5 kg. Nieźle. Nieco „taniej" wygląda klawiatura, ale ze względu na dość głęboki skok klawiszy jest ona wygodna w użytkowaniu. Doskonale działa też touchpad. Wbudowana kamera 720 p pozwala zaś na logowanie się za pomocą funkcji Windows Hello, sprawnie rozpoznającej twarz użytkownika zarówno w dzień, jak i w nocy.

Na pochwałę zasługuje także bardzo dobry dotykowy panel IPS o rozdzielczości 2496 x 1664 px. Ekran cechuje wysoki kontrast i świetne odwzorowanie kolorów. Szerokie są również kąty widzenia.

Mózgiem urządzenia jest czterordzeniowy procesor Ryzen 5 w wersji przygotowanej specjalnie dla Microsoft przez firmę AMD. Testowane urządzenie wyposażone jest także w 8 GB pamięci RAM oraz szybki dysk SSD o pojemności 256 GB. Efekt? Błyskawiczne uruchamianie się komputera i niezła wydajność, którą docenią użytkownicy programów do obróbki zdjęć lub amatorskiego montażu filmów. Miłośnicy zaawansowanych gier słusznie woleliby jednak procesor Intela – ale jeśli recenzję tę czyta fan gier, to od razu poradzę poszukać laptopa typowo gamingowego. Na Microsoft Surface oczywiście też da się pograć, ale Laptop 3 nie został stworzony z myślą o graczach, lecz raczej o ludziach biznesu, początkujących grafikach i fotoedytorach etc.

Ci zaś docenią zapewne wysoką kulturę pracy urządzenia: komputer działa praktycznie bezgłośnie, nie nagrzewa się, a na jednym ładowaniu potrafi wytrzymać od siedmiu do nawet 11 godzin (podczas przeglądania Internetu, słuchania muzyki czy oglądania filmów). Po stronie zalet można także wpisać niezłe głośniki. Microsoft Surface Laptop 3 umożliwia też obsługę pióra Microsoft Pen – trzeba je jednak kupić osobno, a zawias uniemożliwiający pełne otwarcie klapy matrycy mocno ogranicza jego użycie.

Minusy? Po pierwsze Surface Laptop 3 ma bardzo mało złączy. Z prawej strony urządzenia producent zainstalował jedynie magnetyczne złącze ładowania, a z lewej po jednym złączu USB-C (z Alt Mode, który pozwala podłączyć też monitor czy projektor), USB 3.1 oraz Jacka 3,5 mm. Tak skąpa oferta złączy może przeszkadzać w codziennym użytkowaniu: brakować może zwłaszcza drugiego portu USB-C, czytnika kart SD.

Miłośnikom zdalnej pracy na ławce w parku przeszkadzać może błyszcząca powłoka matrycy, a także niezbyt wysoka maksymalna jasność, co utrudnia wykonywanie służbowych zadań na łonie natury.

W testowanej konfiguracji Microsoft Surface Laptop 3 kosztuje 7099 zł. Z dyskiem SSD ograniczonym do 128 GB cena wynosi 6099 zł. ©℗

Jacek Przybylski

BEZPIECZNIEJSZA JAZDA

Jasne, to nie są ray-bany, ale wyglądają całkiem nieźle. No i zwiększają bezpieczeństwo jazdy na rowerze. O czym mowa? O HindSight: Rear View Cycling Glasses, w których specjalnie wygięte oprawki pozwalają na takie zamontowanie szkła i soczewek „odwrotnych", że ich boczne części zyskują efekt samochodowych lusterek. W praktyce kierujący jednośladem widzi dobrze nie tylko drogę przed sobą, lecz także nie odwracając się, może dostrzec przygotowujący się do wyprzedzania go pojazd. Dla miłośników ekologii ważne będzie też to, że oprawki zostały wykonane z surowców roślinnych. Cena okularów to ok. 1,2 tys. zł, a dostawa w październiku. Zamawiać można na Kickstarterze.

BARKI ARNOLDA

Od tygodnia otwarte są już sale gimnastyczne i siłownie, ale nie ma się co oszukiwać, koronawirus nie zginął, a kolejny etap pandemii dopiero przed nami. Wiele osób zmuszonych do zrezygnowania z treningów szuka więc domowych sposobów aktywności fizycznej. Rozwiązaniem mogą być RYZE-UPS, czyli podciągane „klamki", które składają się do rozmiaru książki, można je zamontować na niemal wszystkich drzwiach, automatycznie dostosowują się one do szerokości barków, by przy podciąganiu najbardziej efektywnie ćwiczyć mięśnie barków, ramion i pleców.

Cena: ok. 400 zł, zamawiać można na Kickstarterze, a dostawa w czerwcu przyszłego roku. ©℗

Wojciech Wybranowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 7463047971

REPUBLIKA SMAKÓW DOMINIKI CHOROSIŃSKIEJ

Nazywam się Dominika Chorosińska. Od roku jestem posłanką na Sejm RP, z zawodu aktorką, a z życiowego powołania żoną i mamą sześciorga dzieci. I gdy przychodzi do zrobienia wspólnego obiadu… każdy ma ochotę na coś innego. Cóż, każdy jest inny (przy stole zwłaszcza). I to jest piękne! Ale czasem problematyczne. W końcu która potrawa może sprostać tylu gustom? Która może być zarazem słodka i słona, miękka i chrupiąca, zdrowa i pyszna? Odpowiedź znalazłam na południu Europy…

Pizza! Pozwala na zaangażowanie wszystkich do kreatywnego bycia razem. Tu każdy znajdzie funkcję dla siebie, bo jest ich wiele: ugniatanie ciasta, wałkowanie, przygotowanie sosu, krojenie składników itp. A na poszczególnych częściach placka możemy położyć różne, preferowane przez danego kucharza, składniki. To rozwiązanie idealne, na miarę przecięcia gordyjskiego węzła!

Składniki:

(porcja dla 4 domowników):

- 1,5 szklanki mąki pszennej
- 0,5 szklanki ciepłej wody
- 25 g świeżych drożdży lub 7 g (łyżka) drożdży instant
- 200 ml przecieru pomidorowego
- łyżka oliwy z oliwek
- łyżeczka soli
- łyżeczka cukru
- suszona bazylia
- świeży bądź suszony czosnek
- kostka żółtego sera

Przygotowanie:

Mąkę i mieszamy z drożdżami, cukrem i solą. Stopniowo dolewamy wody, mieszając ciasto do uzyskania gładkiej i plastycznej masy odchodzącej od ścianek naczynia. Ugniecione ciasto wkładamy przykryte ściereczką wraz z naczyniem do ciepłego piekarnika na 25–30 min.

Trzemy na tarce kostkę żółtego sera. Kroimy wszystkie przysmaki, które będziemy kłaść na placek. Równocześnie do przecieru pomidorowego dodajemy łyżeczkę oliwy, łyżeczkę soli, suszoną bazylię lub inne ulubione suszone zioła. Możemy też dodać pokrojony drobno ząbek czosnku…

Blachę smarujemy oliwą z oliwek. Wyrośnięte ciasto wałkujemy do rozmiarów blachy. W międzyczasie rozgrzewamy piekarnik do 250 st. C (to zajmie chwilę). Po ułożeniu ciasta na blasze rozprowadzamy ostrożnie sos, a całość posypujemy żółtym serem.

Teraz czas na najważniejsze – nakładamy wszystkie składniki, które nadadzą pizzy, bądź jej konkretnej części, wymarzony smak! Każda propozycja z mojej strony byłaby ograniczeniem państwa wyobraźni. Pozostaje mi życzyć odważnych i oczywiście zdrowych eksperymentów!

Całość wkładamy do rozgrzanego piekarnika dosłownie na kilka minut, do czasu zarumienienia się ciasta przy krawędziach blachy. A następnie wyciągamy blachę i – jak mawiają Włosi – buon appetito! ©℗

oprac. raw

FOT. ARCHIWUM DOMINIKI CHOROSIŃSKIEJ

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

JOANNA BOJAŃCZYK

Niewinne przekąski

Nie jedz między posiłkami" – słyszałam w domu. Mogłam dostać najwyżej jabłko, kiedy byłam głodna przed obiadem. A już na krótko przed posiłkiem nie było mowy, żeby coś tak sobie chapsnąć. Reżim był ścisły: odstępstwem od reguły (która dziś zapewne uznana by została za opresyjną) był podwieczorek u babci Zosi. Kakao i ciasteczka o czwartej, piątej po południu. To wolno było zjeść, chociaż rzadko.

Co zresztą można byłoby przekąsić w tamtych czasach? Chipsy i batoniki nie istniały, w ogóle nie było czegoś takiego jak przekąski, „snacki" – słowo dobrze znane dziś każdemu pięciolatkowi. On przez cały dzień ma zwyczaj co pogryzać. W telewizji wszyscy coś z rozkoszą chrupią. W szkole, na treningu, na imprezach. A już siąść przed telewizorem bez paczki czegoś? „Nie ma chipsów, nie ma imprezy" – jak mówi reklama.

Przekąska to przecież coś całkiem niewinnego, coś małego, na co można nie zwrócić uwagi.

Ale te kęsy się sumują. „Od lat 70. ubiegłego wieku częstotliwość przekąszania nieustannie rośnie (i jest to zjawisko ogólnoświatowe)" – pisze w swojej znakomitej książce „Tak dziś jemy. Biografia jedzenia" angielska dziennikarka Bee Wilson. „Miejsce schematu: śniadanie, obiad, kolacja spożywanych w towarzystwie i o w miarę stałych porach zajmuje nowy, złożony z szeregu przekąsek, które spożywamy w samotności, niespecjalnie zwracając nawet na nie uwagę, a co dopiero mówić o delektowaniu się smakiem". I dalej: „Z wielkim zaskoczeniem dowiedziałam się, że mniej więcej jedna trzecia kalorii spożywanych przez przeciętnego, dorosłego Amerykanina pochodzi z przekąsek, a to oznacza około 600 kalorii w przypadku mężczyzn i około 500 w przypadku kobiet".

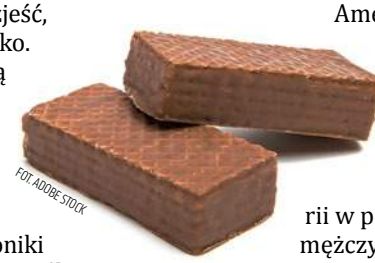

FOT. ADOBE STOCK

Zachęcani zachodnimi reklamami zaczęli też przekąszać mieszkańcy krajów, w których dotychczas nie było takiego zwyczaju. W Indiach, w Chinach. Kiedyś Hindusi przekąszali kupione na ulicy rodzime idli, naleśniki z czerwonego ryżu albo placki z ciecierzycy czy prosa. Dzisiaj te lokalne produkty są wypierane przez ofertę globalnego przemysłu spożywczego, który wciska je z entuzjazmem nowo pozyskanym rynkom.

Batoniki czekoladowe, orzechowe, owsiane, z ziarnami. Pyszne i zdrowe, w opakowaniach z szarego papieru. Wprawdzie drobnym druczkiem stoi, że tłuszcze, cukry i sól. Ale kto tam będzie się wczytywał w skład? ©℗

eprasa.pl 7463047971

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Na początku był śmiech

Nie ma co ukrywać, że piszę tu głównie o kompletnie nieistotnych sprawach. Czasem, aż się dziwię, że chcą to drukować. Dzisiaj jednak dla odmiany chciałbym napisać o rzeczy istotnej. A w każdym razie takiej, która może niektórym z nas ułatwić życie.

Otóż na początku każdego związku między kobietą a mężczyzną – a nie wykluczam, że w innych konstelacjach płciowych także – jest rozbawienie. Ilekroć dziewczyna opowiada, co jej się podoba w chłopaku, tylekroć pojawia się motyw rozbawienia. – On mnie bawi. Potrafi mnie rozśmieszyć. Jest zabawny – te stwierdzenia powtarzają się w licznych badaniach, których nigdy nie robili amerykańscy naukowcy. A może i robili, w końcu badają absolutnie wszystko.

Gdy matka opowiada córce o początkach swojego narzeczeństwa, także pojawia się ten wątek: „Twój tata potrafił mnie rozbawić". Myślę, że to zdanie pada prawie w każdej rodzinie, kiedy zbierze się jej na sentymentalne wspominki przy deserze spożywanym w upalny dzień na działce.

Umiejętność rozśmieszenia kobiety, jakże istotna na początku relacji, bardzo szybko traci na swej atrakcyjności. Żona nie potrzebuje od męża, by ją bawił. Czy może inaczej – potrzebuje, ale ma pilniejsze potrzeby. Bardziej zależy jej na wsparciu, odpowiedzialności, bezpieczeństwie, partnerstwie. I żeby facet opuszczał w toalecie klapę (to już absolutnie kluczowa sprawa). Przez lata wspólnego życia moc rozbawienia spada coraz niżej w hierarchii oczekiwań kobiety. A z klapą od sedesu czy wrzucaniem do pralki znoszonych skarpetek nie ma najmniejszych szans.

Co tu dużo mówić, w prozie codzienności niegdysiejsze talenty komiczne – tak przecież istotne jako wstępny wabik – nie tylko przestają być niezbędne, lecz także wręcz irytują szanowne żony. Ileż razy widziałem biednych mężów próbujących rozbawić swe ukochane, gaszonych przez wymowne przewracanie oczami albo pełne politowania porozumiewawcze spojrzenie do koleżanki? Cóż, nie ma co ukrywać – sam tego też doświadczyłem.

Tymczasem, co może wydawać się niedorzeczne, dla mężczyzny po tych wszystkich latach wciąż jest ważne, że potrafi rozbawić żonę. Kiedyś to było istotne da niej, teraz – dla niego. Chłopina chciałby mieć poczucie, że jego legendarny czar wciąż działa na najważniejszą kobietę jego życia.

Stąd sugestia dla żon i konkubin: jeśli zależy wam na harmonii waszego związku, to śmiejcie się z żartów waszych mężczyzn. Owszem, to mogą być zgrane dowcipasy i odgrzewane po raz enty te same kotlety. Prawie na pewno będą. Trudno. Skoro dla dobra związku udajecie orgazmy, to udawajcie też rozbawienie. Nie macie nawet pojęcia, jak to uszczęśliwi waszych mężów i konkubentów. Może nawet też coś poudają z wdzięczności. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Zbrodnia prawie doskonała

Chociaż historia ta przypomina akcję gangu Olsena, to różni się tym, że wydarzyła się naprawdę. Otóż w nocy z 28 na 29 maja na kilkunastu wiatach autobusowych w Warszawie rozwieszono plakaty w wulgarny sposób atakujące Łukasza Szumowskiego. Ministra zdrowia określono mianem „Szumo-winy", grożąc mu odpowiedzialnością karną za liczne afery i narażanie obywateli na utratę zdrowia. Zaskakującym zbiegiem okoliczności na miejscu w tym samym czasie był również dziennikarz „Gazety Wyborczej". W tekście „Ewangelia wg Łukasza Sz." opublikowanym o godz. 2.49 w nocy reporter relacjonował, jak „ktoś wiesza plakaty" oraz zapowiada, że „to dopiero początek". Równocześnie podkreśla, że osoby, z którymi rozmawia i które mu towarzyszą, „proszą o anonimowość". Kolejny niesamowity przypadek sprawił, że gabloty, z których wyjęto opłacone już reklamy – zastępując je Szumowskim – należały do spółki AMS, która podlega pod Agorę – wydawcę „Gazety Wyborczej".

Ponieważ sprawa zrobiła się gorąca i – jakby nie było – doszło do włamania, Agora musiała zgłosić podejrzenie popełnienia przestępstwa na policję. Sprawców 10 czerwca ostatecznie ujęto. Co się okazało? Jeden z nich to aktywistka znana z blokady Marszu Niepodległości, a drugi – jak podaje TVP Info – były aktywista Obywateli RP i dziennikarz związany z „Gazetą Wyborczą", Bartłomiej Sabela. Na miejscu nie wykryto również fizycznych śladów wyłamania zamków do gablot. Wszystko wyglądało tak, jakby ktoś je otworzył.

Od tego momentu historia błyskawicznie zmieniła swój bieg. Nagle okazało się, że po pierwsze, nikt z tymi ludźmi nigdy nie rozmawiał, a po drugie, „Wyborcza" całą współpracę uznaje za nieistotną. „W taki sam sposób jak Bartek Sabela (12 tekstów) to związany z »Wyborczą« jest Bronisław Wildstein (10 tekstów) :) I tak, żaden z nich nie miał etatu u nas. Nigdy nie był naszym dziennikarzem, to freelancer i autor książek" – bronił się na Twitterze Roman Imielski z „GW". Ponieważ mężczyzna podczas zatrzymania został zakuty w kajdanki, właśnie od tej strony postanowiła przedstawić sprawę Dominika Wielowieyska. „Za rozwieszanie plakatów z Łukaszem Szumowskim aktywistka została zatrzymana i zakuta w kajdanki (!). Policja twierdzi, że chodzi nie o plakaty, ale bezprawne użycie gablot reklamowych. Tak, tak, wierzymy na słowo. Gdzie są obrońcy wolności słowa z PiS, tak ostatnio aktywni?" – zapytała. Gdy weszliśmy w dyskusję i stwierdziłem, że choć kajdanki wydały mi się zbędne, to spółka Agory zgłaszająca włamanie musiała się liczyć z konsekwencjami działania policji, usłyszałem, że musiała, ale na zachowanie funkcjonariuszy wpływu nie ma. A przecież ci postępowali zgodnie z zapisami z art. 279 k.k., a zatrzymanie za podejrzenie popełnienia przestępstwa odbywa się na mocy prawa z kajdankami. Cóż za piękne błędne koło, prawda? ©℗

eprasa.pl 7463047971

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Rozum i emocje

Oglądając czasem wiadomości w pewnej prywatnej telewizji komercyjnej, oddalam się czasem na większą odległość, zresztą nie tyle z powodu obawy o fizyczne oddziaływanie płynących stamtąd treści, ile by nie słysząc dokładnie słów, wsłuchać się w ton wypowiedzi. To tak jakby podsłuchiwać awanturę zza ściany. Słyszymy podniesione głosy, ale nie wiemy, o co chodzi. Wiemy tylko, że atmosfera gniewu narasta i nie wiadomo, co się może wydarzyć. Słyszymy jakieś oskarżenia, jakąś perswazję, nawet chyba jakieś krótkie epitety, ale nie słyszymy argumentów. Czy na tej podstawie wolno nam sądzić, kto ma rację?

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Ton wiadomości wspomnianej stacji przypomina właśnie coś takiego. Jest perswazja, oburzenie, wypominanie, oskarżenia i dopiero przybliżywszy ucha, słyszymy, czego to wszystko dotyczy. Dotyczy opinii, a nie faktów. Z wiadomości tych nie dowiemy się dokładnie, co się stało, ale co należy o tym sądzić. „Właściwy" sąd nie jest nawet artykułowany. Widz powinien i tak to wiedzieć. Dostatecznie rozemocjonowany widz świetnie rozpoznaje sądy wypowiadane przez „swoich" i przez obcych. Szuka tylko potwierdzenia swoich emocji. Łapie w locie strzępy informacji, żeby umocnić się w tych emocjach. Gdyby w tym momencie usłyszał odmienną opinię, to jest tak roznamiętniony, że ruszyłby na przeciwnika z pełnym impetem. Gdyby ktoś podał w wątpliwość nawet te strzępy faktów, o których mowa, to zostałby zdelegalizowany jako ktoś, kto wierzy w bajki opowiadane przez ludzi z gruntu niewiarygodnych. Tak to działa, gdy wyłącza się rozum.

Doprawdy zdumiewa wprawa, jaką osiągnęli współcześni Polacy w erystyce, nawet nie studiując Schopenhauera. Prześcignęli nawet mistrza, nie fatygując się, by formułować opinie. Wystarczają im najczęściej emocje. Do sparaliżowania rozmowy na tematy polityczne wystarcza dziś najczęściej krótki epitet w rodzaju: „Słyszałeś, co ten kretyn ostatnio powiedział?". I niestety czasem tego rodzaju wstęp powinien wystarczyć, gdyż nie ma sensu dyskutować o wygłupach. Pytanie jednak, jak stwierdzić, co jest głupotą, a co nie. I tu włącza się prosty mechanizm: głupoty mówią i robią jedynie „oni". Dla stwierdzenia, że coś jest głupie lub nieuczciwe, wystarcza stwierdzenie, że słowa te lub zachowania przynależą do tych, których nie lubimy, a nie, że ocena tego powinna mieć podstawy rozumowe.

Gdy w pewnej rozmowie na temat polityki władz Warszawy sformułowałem sąd, że reprywatyzacja spowodowała pozbawienie mieszkań kilkadziesiąt tysięcy osób, usłyszałem argument, że dotyczy to zaledwie czterech tysięcy. Na pytanie, czy cztery tysiące wyrzuconych to też nie za dużo jak na państwo prawa, odpowiedzi zabrakło. Najwyraźniej swoi mogą dopuścić do nadużyć na sporą skalę, ale „tamci" nie powinni wydać bez zdania sprawy nawet kilku złotych na kanapki.

Dzisiejsze rozmowy Polaków na tematy polityczne mają coraz mniej sensu. Dotyczą bowiem nie faktów, a nawet nie opinii, ale emocji. Opinie winny być oparte na faktach, które można sprawdzić. Problem w tym, że istnieją fakty „nasze" i „nie nasze", wobec tego opinie muszą siłą rzeczy wynikać z emocji. Co więcej, są to najczęściej emocje silnie zakorzenione. Ktoś, kto raz został uznany za „wariata" lub „oszusta", nie ma prawa powiedzieć czy zrobić niczego sensownego. A jeśli nawet jego słowa lub działania są słuszne lub korzystne dla mówiącego, to należy pomniejszyć ich znaczenie, znaleźć jakąś skazę przeciwnika lub zmienić temat.

Emocje są naturalną częścią osobowości. Problem w tym, że są one złym doradcą w polityce. Emocje powodują, że ludzie tracą zdolność rozróżniania, co jest prawdą, a co fałszem, ba, tracą nawet ochotę, by je rozróżniać. W wyborach politycznych zaś są to sprawy zasadnicze. Żeby właściwie wybrać naszych reprezentantów politycznych, trzeba wiedzieć, jaka jest prawda w kwestii skuteczności w walce z pandemią, co naprawdę wzmacnia, a co osłabia praworządność, na ile ważny jest kapitał własny w gospodarce narodowej, dlaczego korupcja opóźnia rozwój gospodarczy, jak ważne są dochody budżetowe i jak dalece warunkują one politykę państwa, jak naprawdę wygląda pozycja Polski w świecie oraz co ją wzmacnia, a co osłabia. Emocje są dobre przy składaniu życzeń, oglądaniu meczu piłkarskiego czy sztuki teatralnej. Zastępowanie rozumu emocjami kończy się w polityce źle. ©℗

eprasa.pl 7463047971

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY **TYGODNIK „DO RZECZY"**

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

NOWOŚĆ!

W PREZENCIE **KSIĄŻKA**

RAFAŁ ZIEMKIEWICZ

„CHAM NIEZBUNTOWANY"

~~342~~ ZŁ > **138,00** ZŁ < OSZCZĘDNOŚĆ 204 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 7463047971

eDO App

Wygodne potwierdzanie tożsamości

Bezpłatna aplikacja eDO App pozwala zdalnie, bez wychodzenia z domu, potwierdzić swoją tożsamość.

Wystarczy dowód osobisty z warstwą elektroniczną oraz smartfon z NFC.*

DZIĘKI APLIKACJI:

- Potwierdzisz swoją tożsamość
- Założysz Profil Zaufany
- Skorzystasz z usług e-urzędu
- Złożysz swój podpis w internecie
- Podpiszesz wniosek o wydanie karty tachografowej w serwisie info-car

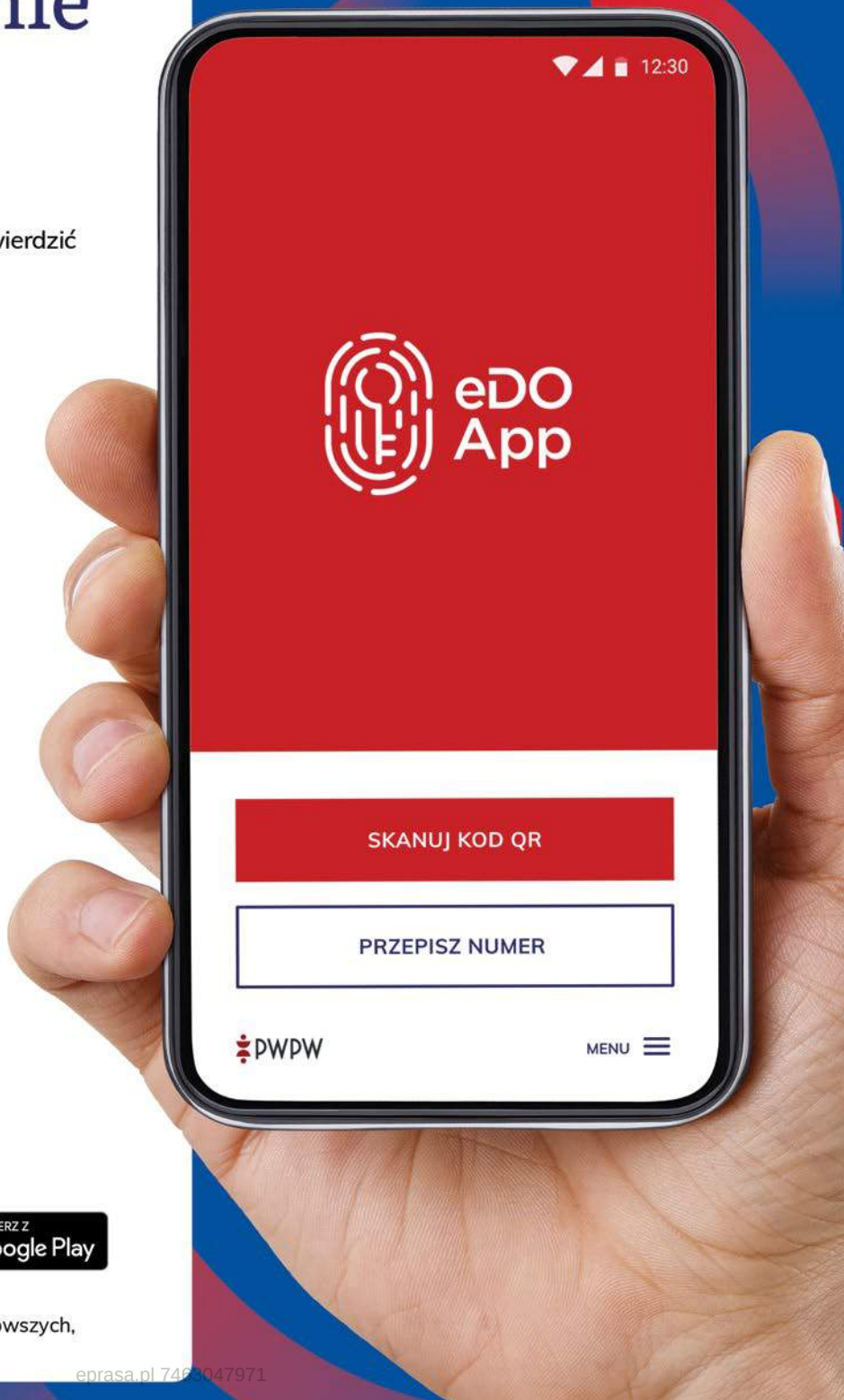

www.edoapp.pl

POBIERZ Z Google Play

*Aplikacja dostępna dla systemu Android 6.0 i nowszych, a już niebawem dla iOS.

eprasa.pl 7483047971